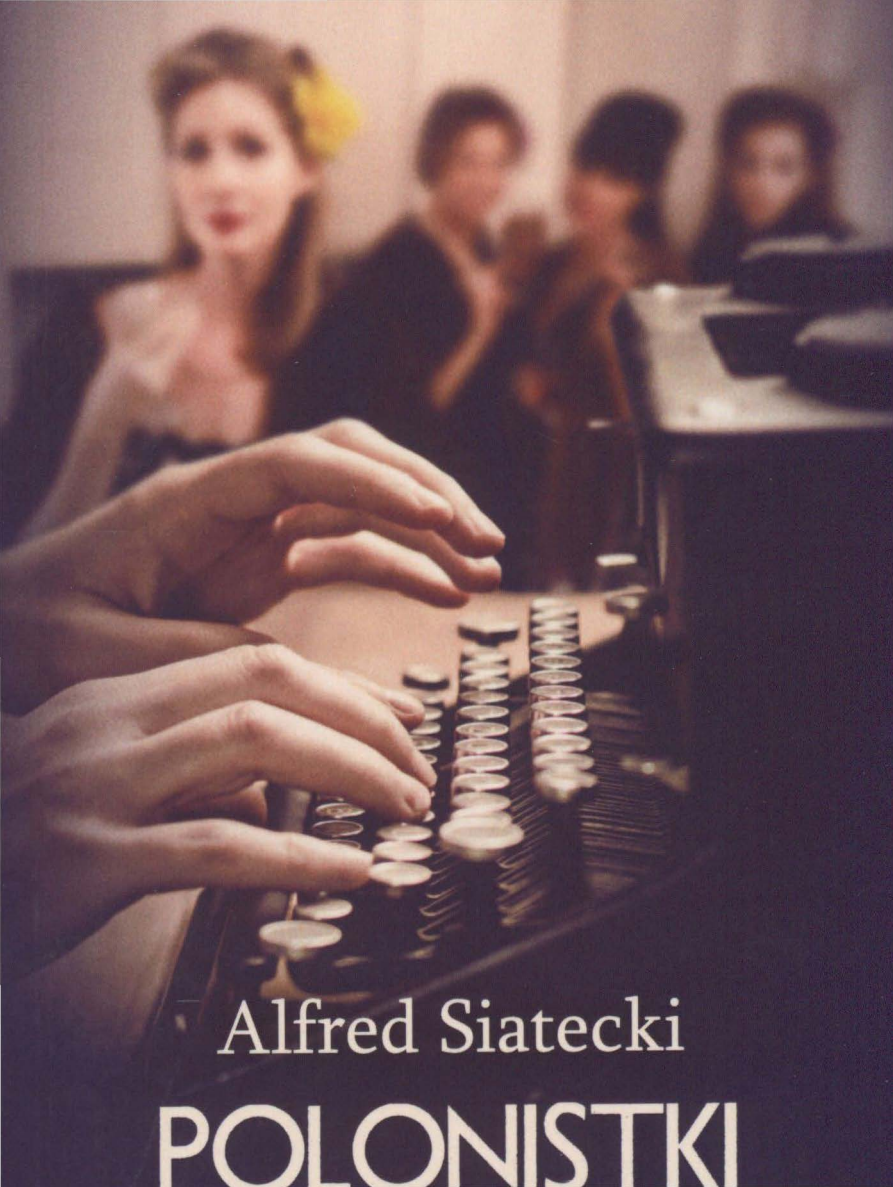




Alfred Siatecki

POLONISTKI

POLONISTKI



Alfred Siatecki

# POLONISTKI



---

*Oficyna*

Copyright © Oficynka & Alfred Siatecki, Gdańsk 2014

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana  
ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana  
w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2015

Opracowanie edytorskie książki: kaziki.pl

Opracowanie graficzne: Piotr Geisler

Projekt okładki: Anna M. Damasiewicz

Zdjęcia na okładce © Bartek Zyczynski | Shutterstock.com

© Scott Griessel | Depositphoto.com

ISBN 978-83-64307-39-3



*Oficynka*

[www.oficynka.pl](http://www.oficynka.pl)

email: [oficynka@oficynka.pl](mailto:oficynka@oficynka.pl)

*Nigdy się nas nie pyta, czego my naprawdę chcemy.  
Nam się daje. I nam się odbiera.  
Ot co, to cały sekret tego pieprzonego życia.*

*Maria Nurowska, Rosyjski kochanek*

## UCZESTNICY ZJAZDU

**Beata** — magister filologii polskiej. Nadal jest dyrektorką dużej szkoły, chociaż już może być na emeryturze nauczycielskiej. Do zajmowanego przez nią fotela przypomierza się pyskata zastępczyni. Beata zapisała się do rządzącej partii, ponieważ marzy, aby zostać senatorką lub radną. Twierdzi, że jest katoliczką. Nieźle gotuje i znakomicie piecze. Mieszka w Legnicy. Żona Eugeniusza.

**Inez** — magister filologii polskiej. Przeklinająca nauczycielka na wcześniejszej emeryturze. Ma się za schorowaną. Koleżanki ze studiów podejrzewają ją o skłonności homoseksualne. Wokół niej kręci się owdowiały lekarz, którego ona uważa za zbyt starego. Religia nie ma znaczenia w jej życiu. Nie dba o swój wygląd. Mieszka w Gorzowie.

**Jadwiga** — magister filologii polskiej. Po rozwodzie z Polakiem wyszła za mąż za Niemca. Jest opiekunką w domu starców leśników. Wedle prawa niemieckiego dopiero za trzy lata przejdzie na emeryturę. Tak jak jej

drugi mąż jest praktykującą ewangeliczką. Nie przykładą żadnej wagi do swego wyglądu. Mieszka w południowych Niemczech.

**Magda** — magister filologii polskiej. Jest kierowniczką sekcji w inspektoracie sanitarnym, gdzie dyrektorzy zmieniają się bardzo często, wtedy ona pełni ich obowiązki. Uważa się za katoliczkę, mimo to do kościoła chodzi dwa, trzy razy w roku. Od przyszłej wiosny może być na emeryturze. Ładna i zawsze elegancka. Mieszka w Zielonej Górze. Żona Marka.

**Natalia** — magister filologii polskiej. W żadnym miejscu długo nie pracowała. Ostatnio była referentką do spraw socjalnych w urzędzie miejskim. Dostała wręcz głodową emeryturę. Dwukrotnie owdowiała i znowu jest gotowa wyjść za mąż. Zapewnia, że jest wierzącą katoliczką, która każdy dzień zaczyna modlitwą. Nie potrafi ubrać się modnie. Mieszka we Wrocławiu.

**Pola** — skończyła filologię polską, doktor habilitowana nauk humanistycznych. Kieruje oddziałem kontroli środowiska i wykłada w szkole wyższej zawodowej. Już powinna być na emeryturze, lecz broni się przed tym krokiem. W zależności od sytuacji określa siebie jako osobę wierzącą i praktykującą. Bardzo przejmuje się swoim wyglądem. Mieszka w Wałbrzychu. Żona Nikosa.

**Eugeniusz** — z wykształcenia technolog żywności. Zawsze był dyrektorem i gorliwym członkiem partii lewicowej. Od jesieni jest posłem ugrupowania opozycyjnego wobec koalicji rządzącej. Uważa, że każdej niedzieli powinien być na mszy i koniecznie musi siedzieć w pierwszej ławce, aby ksiądz go widział. Do niedawna polował. Mieszka w Legnicy i Warszawie. Mąż Beaty.

**Marek** — przeciętny pisarz i dziennikarz. Gdy skończył sześćdziesiąt lat, natychmiast przeszedł na emeryturę, a zrobił to wyłącznie dlatego, aby w spokoju napisać powieść, która ma mu przynieść sukces. Ochrzczony, jednak religię traktuje bardziej jako tradycję niż wyznanie wiary. Egocentryk, uważający się za niedocenionego. Mieszka w Zielonej Górze i Jodłowie. Mąż Magdy.

**Nikos** — jako dziecko przyjechał na Dolny Śląsk z greckiej Macedonii. Mimo że z wykształcenia jest inżynierem rolnikiem, zawsze był urzędnikiem. Z powodu niepolskiego pochodzenia został zwolniony z pracy w administracji regionalnej. Był ochrzczony w cerkwi prawosławnej, ale uważa się za katolika. Od roku jest emerytem. Mieszka w Wałbrzychu. Mąż Poli.

# PIERWSZY DZIEŃ

## **Matka Magdy będzie miała sto lat**

Magda zastanawia się, gdzie urządzi przyjęcie z okazji setnych urodzin matki. To wypadnie dopiero w lipcu przyszłego roku, ale Magda z tego powodu już budzi się w nocy i rozmyśla. Musi wybrać takie miejsce, gdzie będzie nie za drogo i niedaleko od centrum miasta. Z bukieta przyjdą panie z Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Wschodnich. Na pewno prezydent złoży życzenia mamie osobiście albo za pośrednictwem swego zastępcy. Jak po ogień wpadną dziennikarze i zechcą wiedzieć, co jubilatka jadła w młodości, co na stare lata, czy często chorowała. Będą bracia Magdy z bratowymi, ich synowie z żonami i wnukami. Przy głównym stole musi starczyć miejsca dla stu osób. Jeszcze nie uzgodniła z braćmi, który wygłosi przemowę. Powie, że powinien to zrobić najstarszy, ale od operacji krtani on nie mówi, więc wskaże na najmłodszego. Ten zacznie się oblizywać, cmokać, przewracać oczami. Dwaj średni skulą się albo będą wodzili wzrokiem po podłodze. Dobrze, ja to zrobię,



zdecyduje Magda. Jestem kobietą. I doda, że skoro urodziła się jako piąte dziecko, osiem lat po najmłodszym, to nie była planowana.

— Ale ojciec ciebie najbardziej lubił — przypomni jej średni brat. Zawsze to powtarza podczas rodzinnych spotkań.

— I będziesz tak samo długo żyła jak matka — dorzuci najmłodszy, a jego żona przytaknie. — W naszej rodzinie kobiety są długowieczne. Taka prawidłowość.

Magda zacznie przemowę od stwierdzenia, że mimo kolosalnego postępu w medycynie niewielu ludzi dożywa stu lat. Jako kierowniczka sekcji nadzoru epidemicznego w inspektoracie sanitarnym wie nieco więcej na ten temat niż jej koleżanki. Mama nigdy nie chorowała poważnie. Na gripę owszem. W szpitalu była tylko wtedy, kiedy odwiedzała ojca. Ją i czterech starszych braci urodziła w domu. A może to nie sprawa postępu w medycynie, lecz genetyki i klimatu? Mama, jak babcia i prababcia, urodziła się koło Łucka na Wołyniu, gdzie zimy są naprawdę zimowe, a powietrze balsamiczne i czyste. Tam przyszli na świat czterej bracia. To znaczy mama urodziła sześciu chłopców, dwaj zmarli w dzieciństwie. Ja jestem powojenna. Mama ma wszystkie cechy swojej mamy, tak twierdził najstarszy brat, kiedy mógł mówić. Wprawdzie babcia nie dożyła setki, ale niewiele zabrakło. Zanim odeszła z tego świata, uporządkowała wszystkie swoje sprawy. Na cmentarzu przykościelnym wybrała miejsce na grób,

u stolarza zamówiła trumnę, a księdzę prosiła, aby nie wygłaszał długiej mowy na pogrzebie. Bez względu na pogodę zimą i latem każdy dzień rozpoczynała od obchodu podwórka i nakarmienia kota tak samo starego jak ona. Gdy w piątek rano nie wyszła przed dom, stryjek zajrzał do jej pokoju. Dziewięćdziesięciodziewięcioletnia babcia przysunęła stół do okna i na nim stała, opowiadała podczas stypy. „Co mama robi?”, zapytał. „Poprawiam firankę, bo źle się układa. Jak przyjdą sąsiedzi, w pokoju powinno być ładnie, żebyś się nie wstydził. Ja, synku, dziś umrę. Pamiętaj, aby przed włożeniem do trumny umyć mi ręce pachnącym mydłem”. „Mama przeżyje nas wszystkich”, powiedział stryjek i pomógł babci zejść ze stołu. Poszedł do swego zajęcia, ale coś nie dawało mu spokoju, więc wrócił do pokoju babci. Ona leżała na łóżku, w rękach złożonych na piersiach miała różaniec i książeczkę do nabożeństwa.

Nasza mama skończyła dziś sto lat, już przeżyła babcię. Identycznie jak babcia nigdy nie zawracała głowy swoim dzieciom własnymi sprawami. I ja taka chciałabym być.

Najmłodszy brat powtórzy:

— W naszej rodzinie kobiety są długowieczne. Taką prawidłowość. Ojciec nawet nie dożył sześćdziesiątki.

Bratowa dorzuci:

— Człowiek całe życie składa na emeryturę, a kiedy mógłby wygodnie żyć, nic z tego nie ma.

## **Marek uważa się za przeciętnego Polaka**

Czy mężczyzna po przekroczeniu sześćdziesiątki już powinien odkładać pieniądze na pogrzeb czy jeszcze za wcześnie na żegnanie się ze światem? Gdzieś tak od pierwszych dni maja Marek budzi się bladym świtem, ale nie wstaje z łóżka, tylko rozmyśla. Gdy próbował policzyć swoje sukcesy, doszedł do wniosku, że nie osiągnął nawet dziesiątej części tego, co sobie zaplanował zaraz po studiach. Chciał być tym wybitnym pisarzem, którego książki znajdują się w spisach lektur nadobowiązkowych, a jeszcze lepiej obowiązkowych wszystkich szkół średnich w Europie. Szekspira czy Goethego nie miał odwagi wypchnąć z programów szkolnych, zresztą podobnie jak Sienkiewicza, Mickiewicza czy nawet Gombrowicza. Ale jego książki mogłyby zastąpić bestsellery Márqueza, którymi zachwycił się w młodości, a jeszcze lepiej powieści Grassa lub dramaty Mrożka. Tuż po czterdziestce zrozumiał, że nie uda mu się z lekturami, więc postanowił zostać wziętym dziennikarzem w którymś z centralnych czasopism, lecz żadna redakcja nie odpowiedziała na jego podanie z dołączonymi wycinkami i szkicami nowych artykułów. Został dziennikarzem od wszystkiego i niczego w niemałej gazecie regionalnej. Magda czasem mu dokuczała, że po śniadaniu pisze o pogodzie, w porze obiadu zna się na notowaniach walut i prognozach ekonomicznych, przy kolacji komentuje decyzje rządu,

a zanim położy się do łóżka, zdąży zrecenzować przedstawienie w miejscowym teatrze.

Wie, że to banał, ale powtarza przy byle okazji: im człowiek jest starszy, tym szybciej biegną jego dni i ma coraz mniej czasu na zrobienie tego, co sobie zaplanował. Ktoś mu powiedział, że Zakład Ubezpieczeń Społecznych przyjął, iż statystyczny mężczyzna w Polsce umiera w wieku siedemdziesięciu dwóch lat. Marek uważa się za przeciętnego Polaka, więc zostało mu jeszcze dwanaście lat spierania się i kochania z Magdą, oczekiwania na prezenty urodzinowe i imieninowe, objadania się smakołykami ze stołu wigilijnego i wielkanocnego, a potem sięgania po nalewkę orzechową własnej roboty, narzekania na drożyznę, służbę zdrowia, młodzież, domokrażców, kierowców w ogóle, a kierowców miejskich autobusów szczególnie, pазernych księży i sklepikarzy, przykrych sąsiadów, szczekanie psów, powodzie, upały, austriackie gadanie polityków. Zanim zamknie oczy na zawsze, zdąży obejrzeć igrzyska olimpijskie w Soczi, Rio de Janeiro i jeszcze gdzieś. Przekona się, czy Polska znowu już w eliminacjach odpadnie z rywalizacji o piłkarskie mistrzostwo Europy. Co najmniej trzy razy będzie głosował na nowe składy sejmu, senatu i rady miejskiej. Żołnierze polscy wrócą z Afganistanu i pewnie znowu Amerykanie namówią rząd w Warszawie, aby posłał ich do któregoś państwa w Azji Południowej albo na Bliskim Wschodzie, bo światu grozi kolejna wojna z terrorystami. W 2013 roku kardynałowie wybrali następcę Benedykta

XVI, który sześć lat wcześniej przekroczył niemiecką granicę przeciętnej długości życia. Marek, obudziwszy się wczoraj bladym świtem, spytał sam siebie, a potem żonę, czy gdyby był bawarskim Niemcem, też miałby prawo do dłuższego o cztery lata pobierania emerytury.

— Zaraz po studiach wyjechałeś do Stuttgartu na tamtejszy uniwersytet — odpowiedziała Magda sennie.  
— Mogłeś zostać w Niemczech.

Ojcu Marka zabrakło sześciu dni do osiemdziesiątych pierwszych urodzin. Dziadek na poczekaniu układał ry-mowanki, politykował, nawet ganił księży, a gdy skończył osiemdziesiąt siedem lat, chciał się żenić z wdową po sąsiadku. Zdaniem Magdy Marek jest bardziej podobny do dziadka niż do ojca. Czy to oznacza, że będzie żył jeszcze niemal trzydzieści lat? Jeśli Magda ma rację, powinien zdążyć zrobić to, co sobie zaplanował zaraz po studiach, i zanim pożegna się ze światem, powie swoim synom i wnukom: Nigdy nie traćcie nadziei. Sukces przychodzi w najmniej spodziewanej chwili.

Marek przypomniał sobie, że Tomasz Mann napisał nieśmiertelnego *Doktora Faustusa*, mając siedemdziesiąt siedem lat. Już otworzył usta, aby o tym powiedzieć Magdzie, gdy uchyliły się drzwiczki tej klateczki w jego mózgu, za którymi tkwiła informacja, że rozgłos zyskał on za sześćsetstronicową powieść *Buddenbrookowie*, uhonorowaną Nagrodą Nobla, a tę opublikował w wieku dwudziestu sześciu lat. Sławny Niemiec zaczął ją pisać, mając dwadzieścia dwa lata. Dwadzieścia dwa lata!

Skończywszy dwudziesty czwarty rok życia, Hłasko był autorem *Pierwszego kroku w chmurach*, *Ósmego dnia tygodnia* i *Następnego do raju*. Dwudziestosiedmioletni Gogol napisał *Rewizora*, a po sześciu latach *Martwe dusze*. Zaraz po swoich dwudziestych czwartych urodzinach Wojacek cieszył się wierszami zebranymi w *Sezonie* i *Innej Bajce*. A dwudzieste szóste urodziny poety obchodzili nieliczni wrocławianie przy jego grobie na cmentarzu świętego Wawrzyńca.

— Nie ma reguły — dochodzi do wniosku Marek.  
— Ale wierzyć w sukces trzeba. Każda wiara jest tym, co trzyma człowieka na duchu.

Wiara. Religia również. Wiara jednak mocniej.

Często przypomina sobie Magdę, gdy po piątej albo może już dziesiątej randce wreszcie pozwoliła się przytulić i wtedy on chciał powiedzieć coś nadzwyczajnego, lecz nic takiego nie przychodziło mu do głowy. Wtedy Magda przejęła inicjatywę, mówiąc, że nie jest ważne, dokąd w życiu zajdzie, co osiągnie, ile będzie posiadał. Ważne, kogo będzie miał u swego boku. Od tamtego dnia Magda mu podpowiada i go gani. Marek jej słucha jak przedszkolak. Aż trudno w to uwierzyć.

W każdym samcu, nie wyłączając mężczyzny, jest coś takiego, co każe mu zostawić coś po sobie. Coś, co będzie zaświadczało, że nie tylko się urodził, ale i czegoś dokonał. Człowiek nie po to żyje, aby tylko żyć, ale dlatego, że jest potrzebny innym. Jeden tylko zbuduje dom, posadzi drzewo i spłodzi syna, a jeszcze lepiej wielu

synów. Drugi będzie wyjątkowo solidnym urzędnikiem albo założy fabrykę elektronicznych zamków do drzwi najnowszej generacji i po wielu latach zarządzania przekaze ją synowi, aby on też ją rozwijał i przekazał swemu synowi pod warunkiem, że zachowa nazwę wymyśloną przez dziadka. Ernő Rubik wynalazł magiczną kostkę, Samuel Henshall — korkociąg, Felix Hoffmann — aspirynę, Lewis Waterman — pióro wieczne, Momofuku Ando — zupę błyskawiczną, Douglas Engelbart — mysz komputerową. Ryszard namalował ogromny pejzaż na ścianach domów przy placu Matejki, co zanotowali encyklopedyści aż w Nowym Jorku. Jeśli po latach farba się złuszczy, Ryszard pozostanie w historii sztuki jako autor pierwszego na świecie obrazu municypalnego.

Wczoraj Marek był na pogrzebie Tadeusza, z którym zaczynał pracę w redakcji, on jako dziennikarz, a Tadeusz przy biurku sekretarza. Gdy dwa lata temu Tadeusz odszedł na emeryturę, niemal wszyscy uznali go za najlepszego sekretarza w dziejach redakcji. Rok później nieliczni dziennikarze pamiętali, czym Tadeusz się zajmował, a ostatnio nawet ci nieliczni przestali do niego telefonować, aby się poradzić. Biurko, przy którym od rana do nocy siedział Tadeusz, jego następca zamienił na konsolę recepcyjną, na miejscu krzesła postawił fotel obrotowy, zestaw telefonów zastąpił jednym aparatem z galerią przycisków. Kazał zdjąć ze ściany pejzaż olejny, który zdobił pokój za poprzednika Tadeusza i pewnie jeszcze wcześniej. W połówkach zszywkach też nie

pozostał żaden ślad po Tadeuszu, chociaż na to, co było w gazecie i jak ona wyglądała, decydujący wpływ miał sekretarz redakcji.

— Był skrupulatnym sekretarzem — powiedział nad grobem ten, który zastąpił Tadeusza dwa lata temu. Ani słowa o tym, że będzie go brakowało młodszym dziennikarzom, że świat jest niesprawiedliwy, bo krótko cieszył się emeryturą. Marek zastanawiał się, czy nowy sekretarz przypomni, że jeśli nawet Tadeusza dopadła grypa, to kierował sekretariatem redakcji z łóżka. Tego też nie powiedział.

## **Magda jest jeszcze atrakcyjna**

Marek ukrywa przed żoną, dlaczego tak uparcie ją namawiał, aby dopiero pod koniec sierpnia, a nie w czerwcu, jak się zdarzyło zeszłego lata, czy aż w październiku, jak bywało dawniej, zwołała swoje koleżanki z polonistyki na coroczny zjazd. Magda podejrzewa, że Marek ma pomysł na nową powieść, lecz jeszcze czegoś bardzo ważnego mu brakuje i jeśli nie znajdzie tego do połowy sierpnia, to będzie szukał podczas zjazdu. Każdy pisarz, który marzy, aby o jego twórczości rozmawiali nie tylko krytycy na sympozjach uniwersyteckich, lecz przede wszystkim czytelnicy w księgarniach i bibliotekach, wie, że pomysłów do książek dostarcza szare życie.

— Jak sobie życzysz, mój panie, na dni dobre, złe i te nieliczne ciche — mówi Magda głosem udającym



uległość i z kokieterijnym błyskiem w oczach przysłoniętych szklami kontaktowymi. — Każda twoja prośba, misiaczku, jest dla mnie tym, czym rozkaz dla żołnierza. A w ogóle to praca wyłącznie dla siebie nie ma sensu. Wszystko, czego się podejmuję, robię z myślą o naszych dzieciach, wnukach i tobie. Jak, tego jestem pewna, ty pracujesz ku mojej radości i dla mnie. Gdyby było inaczej, nasze drogi dawno by się rozeszły.

Magda i Marek nawet jako kochankowie w łóżku nigdy nie rozmawiają o swojej wzajemnej miłości. Mimo upływu blisko czterdziestu lat od poznania się na ostatnim roku studiów twierdzą, że miłości nie można wyrazić za pomocą słów. Gdy stanie się to konieczne, będzie oznaczało, że miłości już nie ma lub niebawem nie będzie.

Miłość nagle przychodzi i gdy jej źródółko nie wiadomo dlaczego wyschnie, nagle odchodzi. Rodzice Magdy i rodzice Marka kochali się po kres życia.

— Nam też to jest sądzone — twierdzi Magda.

Zawsze gdy Marek skończył pisać kolejną książkę, zamawiał dwa miejsca w luksusowym pensjonacie Pod Szczytem w Karpaczu, dopiero tam kładł przed żoną maszynopis albo, jak ostatnio, otwierał laptop i prosił, aby przeczytała to, co w tajemnicy przed nią napisał w pokoju, do którego ona nigdy nie zaglądała. Magda na gorąco wygłaszała swoje uwagi dotyczące składni, czasem podpowiadała rozwiązania fabularne i ożywiała dialogi, najczęściej jednak pytała o pierwowzory bohaterów. Obawiała się, że Marek i ją sportretuje, a wtedy nawet

znajomi z pracy, którzy poza weekendową gazetą niczego nie czytają, sięgną po książkę i dowiedzą się, jaka Magda jest naprawdę.

Od dnia następnego po ślubie Magda lubiła atakować Marka z byle powodu wyłącznie dlatego, żeby ostatnie zdanie należało do niej, do czego on się przyzwyczaił, ale od połowy maja zachowuje się tak, jakby nie dostrzegała jego wad, ponieważ sama nie jest bez grzechu. Wprawdzie usprawiedliwia swój krok gwałtownym sprowokowanym przez jeden kieliszek wódki wypity ponad normę, ale zdaje sobie sprawę z tego, że po naradzie pracowników inspektoratu w hoteliku Royal w Sławie była nieuczciwa wobec męża, któremu dwukrotnie przysięgała wierność, bo przed księdzem i urzędnikiem stanu cywilnego, co może potwierdzić Pola i Beata oraz Gienek i Nikos, a także Natka, Ina i Jadźka. Zaraz jednak pociesza się tym, że jeszcze jest bardzo atrakcyjna, skoro zastępca prezesa centrali mruknął do niej, a nie do którejś spośród tych kilkunastu młodek z cyckami na luzie i błyskotkami w gołych pępkach. Zresztą nie będzie się odzywała, jeśli Marek też spróbuje, jak jest z poetką w łóżku, tylko czy wtedy sprawdzi się jako mężczyzna z krwi i kości? O, kiedyś to on był niczym żołnierz na przepustce, Magda przypomina sobie długie niedzielne poranki i zadowolona znowu uśmiecha się pod nosem.

— Chyba to ostatni taki zjazd — zastanawia się Marek, a Magda myśli, że tym razem mąż ma rację, bo

przecież gdy i ona zostanie emerytką, nie będzie ich stać na urządzenie dorocznego spotkania absolwentek zielonogórskiej polonistyki.

— Zamiast hulać przez cztery dni, możemy rozmawiać przy herbatce i krakersach z supermarketu. — Jednak Magda próbuje mieć ostatnie zdanie. — Ja w każdym razie bez wyraźnego powodu nie potrafię zerwać kontaktów z najlepszymi koleżankami. Za dużo nas łączy.

Marek lekceważąco przecina ręką powietrze, co robi tylko wówczas, gdy jest przekonany, że ma rację, ale nie chce powiedzieć tego głośno. Ileż swoich rówieśniczek Magda zapraszała do ich mieszkania na dziewiątym piętrze i twierdziła, że to dozgonne przyjaciółki, by po krótkim czasie o nich zapomnieć albo nie poznawać nie tylko na ulicy, ale i w filharmonii czy teatrze.

— Wina twojej produkcji wystarczy na przywitanie i pożegnanie. Zresztą wino domowe jest zdrowsze niż te kupne alpagi w fikuśnych butelkach. Posadzysz więcej mięty i melisy, to zamiast liptona czy earl greya możemy pić herbatkę ziołową, posłodzoną miodem z pasieki, którą założysz obok kuźni. W lesie nazbierasz jagód na pierogi. Podgrzybków do bigosu też. W jeziorze nałapiesz płotek. A jeśli nie ty, to Ryży złowi. Ryby słodkowodne są tańsze niż morskie i smaczniejsze. I...

— ...będzie jeszcze przyjemniej niż ma być teraz.

— Skąd wiesz, że teraz nie będzie przyjemnie?

— Tak mi się powiedziało.

— Zanim otworzysz usta, najpierw pomyśl dwa razy, co zamierzasz powiedzieć — karci go Magda. — Znany i ceniony pisarz z ogromnym dorobkiem dziennikarskim, a nie umie zapanować nad językiem. Niekiedy zachowujesz się gorzej niż Ryży.

Marek znowu przecina ręką powietrze, czego obierająca papierówki na jabłecznik Magda nie widzi.

— A jak odniosą się do tej propozycji twoje koleżanki?

— Niby do czego, misiaczku?

— Do rezygnacji z dorocznych zjazdów absolwentek zielonogórskiej polonistyki — wyjaśnia spokojnie, chociaż aż się w nim gotuje. Magda nie umie przegrywać. — Potrafią zrezygnować z przechwalania się tym, co zdobyli ich mężowie i co one mają? Z opowiadania o zaradności dzieci i uroku wnuków? Ze zamiany samochodów na droższe i większe, z wycieczek do ciepłych krajów, z zabaw sylwestrowych w pałacach?

— Właśnie będziesz miał okazję je o to spytać. Być może zechcą odpowiedzieć na twoje pytania.

— Beata, Natalka, Jadźka... były kiedyś twoimi przyjaciółkami. Mogłaś powierzyć im swoje tajemnice i spodziewać się przyjaznej porady. Teraz są tylko koleżankami ze studiów, którym przybyło centymetrów na biodrach, opadły piersi, włosy posiwiały. W waszych dorocznych zjazdach jest więcej przyzwyczajenia i rytuału niż potrzeby rozmowy.

— Ode mnie żadna nie usłyszy, że pora zakończyć zjazdu. Broń Boże, abyś ty im to powiedział. Ja do twojego pisania się nie wtrącam, chociaż niekiedy powinienam.

Marek udaje, że uwagi żony przyjął obojętnie, ale zapisał w pamięci każde zdanie, które powiedziała. Wystarczy jedno słowo, żeby nawet po kilku tygodniach powtórzył całą scenę drobiazgowo, nie pomijając drgań jej głosu czy gestykulacji rąk. Człowiek z jego talentem do obserwacji ludzi powinien zostać agentem służb specjalnych albo psychoterapeutą w poradni dla wdów.

— Broń cię, Panie Boże, abyś to, co się zdarzy podczas zjazdu, wykorzystał w swoich powieściach — przestrzega Magda. W rzeczywistości pragnie zostać bohaterką nowej książki Marka. Jej koleżanki na pewno też nie będą miały nic przeciw temu. Każdy człowiek chce, aby jego czyny zostały zapisane i przekazane potomnym, a im mniej lat stąpania po ziemi mu pozostało, tym częściej o tym myśli. Są tacy, którzy zamiast cieszyć się wolnością na emeryturze, piszą swoją biografię, oczywiście pomijając to, co było wstydlive w ich życiu.

— A może byście się wybrały na wspólną wycieczkę za granicę? Na przykład do Tunezji czy Turcji. Albo na Kubę. Drożej, ale i na dłużej. A jeszcze lepiej w lutym do Egiptu na pełne dwa tygodnie wystawiania do słońca tych już trochę obwisłych brzuchów i pomarszczonych czoł.

— Czy mnie również masz na myśli?

— Nie śmiałbym.

— W Tunezji, Turcji, Egipcie, Grecji, Chorwacji każda z nas była. Niektóre nawet po dwa razy. Jeśli powinniśmy wspólnie gdzieś pojechać, to jedynie do Ziemi Świętej.

— Coś w rodzaju peregrynacji w intencji zdrowia na stare lata i błagania Wszechmogącego o przebaczenie za popełnione grzechy?

Na co Magda odpowiada głosem opanowanym:

— Papież ma swego spowiednika, zatem i on, mimo iż jest Summus Pontifex, czyli Najwyższym Kapłanem, grzeszy myślą. A być może również mową i uczynkiem.

— Wypowiadać się, odbębnić pokutę i znowu grzeszyć, jakie to proste. Potem znowu się wypowiadać i znowu...

— Zdaniem Gogola „Człowiek jest słaby, a przeciwnieństwa losu silne”.

— W ten sposób można usprawiedliwić złamanie każdego z dziesięciu przykazań.

— Tyle lat jesteśmy ze sobą, to i dobrze wiesz, że nie mam aż tak ciężkich grzechów, abym musiała je taszczyć do Ziemi Świętej — kończy rozmowę Magda i ucieka wzrokiem do miski z jabłkami.

## **To musi być najlepsza powieść**

Marek jest pewny, że już w poniedziałek od rana, gdy Magda będzie prała i sprzątała po zjeździe, on zamknie

się w swoim pokoju na poddaszu, podniesie pokrywę laptopa i zacznie pisać taką powieść, o jakiej opowiadał czytelnikom podczas spotkań autorskich. Dziennikarkom podczas audycji telewizyjnych czy radiowych, gdy go pytały, co ma teraz na warsztacie, tłumaczył zawile, że trudzi się nad książką o ludziach, którzy mimo indoktrynacji nie zmarnowali swego życia i chcieliby zdobytym doświadczeniem podzielić się z młodszymi. Gdy dopytywały się, kiedy powieść będzie gotowa, nigdy nie podał konkretnego terminu. Planować jest bardzo łatwo, trudniej z realizacją marzeń, a najtrudniej składać sprawozdanie z tego, co się zrobiło.

Od dawna zastanawiał się, czy już powinien pisać powieść rozliczeniową czy jeszcze poczekać. A jak długo czekać? To może zamiast spowiedzi w fabularnej formie utrwalić wspomnienia, w których każdy grzech przeszłości da się usprawiedliwić? Większość mężczyzn w wieku Marka pragnie takiej spowiedzi wyłącznie dlatego, żeby nikt nie powiedział o ich synach przekazujących rodowe nazwisko, że są dziećmi człowieka małego ducha. Wraz z zamążpójściem córek wszelkie opinie o ich ojcach, nawet te chwalebne, odchodzą w zapomnienie.

Bardzo rzadko od rana, za to prawie codziennie po południu Marek czyta książki, ale nie tak jak polonistki u kosmetyczki czy w poczekalni u dentysty, tylko z długopisem w palcach i notatnikiem pod ręką. Jeśli znajdzie unikatowe zdanie, perełkę w gąszczu refleksji, uczy się go na pamięć jak wiersza w podstawówce, i dla pewności

zapisuje, żeby w swoich powieściach nie powtarzać myśli innych autorów. W ten sposób powstał zapisnik cytatów. Czasem zagląda do niego i wtedy kolejny raz dochodzi do wniosku, że to, co jemu wydaje się unikatowe, nie jest sztuką, a jedynie umiejętnością formułowania wniosków na podstawie codziennych obserwacji i rozmyślań. Niektórzy uważają to za talent.

Napisać dobrą książkę jest trudniej, niż zbudować dom, a Marek marzył, aby jego książki przypominały osadę, w której każdy czytelnik czuje się tak samo dobrze jak w swoim mieszkaniu. Gdyby pisanie było łatwiejsze od stawiania domów, wszyscy, którzy potrafią utrzymać długopis w palcach lub okazyjnie kupili laptopy, pisaliby. Krytycy twierdzą, że jedną powieść opartą na własnych przeżyciach każdy potrafi spłodzić. Taka książka będzie ciekawa. Niewielu autorom udaje się obronić kolejną powieść przed napadem recenzentów. Najczęściej bywa tak, że to, co oklaskują czytelnicy, nie podoba się krytykom. Odwrotne zjawisko zdarza się rzadko.

Jest wiele kobiet i mężczyzn, którzy harują od świtu do zmroku bez nadziei na jakikolwiek sukces. Marek też należy do tej grupy, chociaż ciągle wierzy, że napisze taką powieść, o której będzie głośno. I recenzenci obwieszczają, że sukces można odnieść w każdym wieku. Podczas spotkania koleżanek Magdy musi mieć uszy i oczy otwarte szeroko, wtedy zbierze materiał do powieści mającej szansę uznania przez krytykę za dzieło wysokiego lotu. Dziwne, że o tym, co jest dobre w literaturze współczesnej,



decyduje kilka osób. Ich gust się liczy, a nie gust tysięcy, a może i milionów czytelników. Prawda, zwyczajni czytelnicy, których przecież jest najwięcej, nie mają czasu na śledzenie nowości wydawniczych, więc podążają za modą, to znaczy biorą do ręki te książki, których istnienie uczciwi recenzenci przemilczają. Nieuczciwi, mamieni gotówką płynącą z kieszeni wydawców, wychwalają je, jakby to były arcydzieła równe *Idiocie* Dostojewskiego albo co najmniej *Człowiekowi bez właściwości* Musila.

W listopadzie pierwszy raz w życiu Marek poszedł do Muzeum Środkowego Nadodrza na wieczór wspomnień o tych zielonogórzanach, którzy w ostatnim roku zakończyli ziemski żywot. Nikt spośród opowiadających o zmarłych nie wspomniał, że byli oni również kierownikami lub dyrektorami, jakby te stanowiska nie miały żadnego znaczenia w życiu człowieka, a przecież zajmowały czas. Aktor tkwił w zapamiętanych rolach, architekt w domach, pisarz w książkach, sportowiec w rekordach i medalach, nauczyciel w sukcesach uczniów. Tamtego wieczoru Marek zrozumiał, że być porządnym urzędnikiem czy zarządcą, to jedynie służba, a ona w życiu człowieka twórczego i ambitnego oznacza stratę czasu. Sukces zaczyna się wtedy, kiedy człowiek, wygrzebawszy z ziemi pamiętki przeszłości, potrafi zainteresować nimi sąsiadów albo nie boi się wydawać opinii sprzecznych z akceptowanymi przez rządzących. Ile artykułów Marek napisał w ciągu czterdziestu lat, nigdy nie policzył, bo

nikogo to nie interesuje. Czasem zastanawia się: ile spośród tych tekstów zachowało się w pamięci czytelników?

Bohaterkami jego nowej powieści będą koleżanki Magdy ze studiów. Postanowił, że nawet nie zmieni ich imion. Któż oprócz nich zauważy, że sporządził wnikliwy zapis obserwacji, spostrzeżeń i toczonych rozmów bez zahamowań? Powstanie najszczerza opowieść, niemal reportaż. Najtrudniej jest napisać książkę, którą czytelnicy uznają za uczciwą i będą czerpali z niej jak ze źródła mądrości.

---

Z ZAPISNIKA

---

*O czym pisać. O tym samym, o czym dotąd. O sobie. Mało wymyśliłem fabuły. Było to niepotrzebne. Każdy człowiek jest wielką tajemnicą i wystarczy, żeby zgłębiał siebie i spisywał swoje doznania i stany, i jest to ciekawe.*

Edward Stachura, *Dziennik*

---

## **Dwie autostopowiczki**

Opodal drogi zaraz za parkingiem przy wyjeździe z miasta stoją dwie dziewczyny w krótkich spodniach i bluzkach nawet niesięgających pępków. Jedna nad głową trzyma tabliczkę z napisem „Sława”, druga macha wyciągniętą przed siebie ręką z tipsami w kształcie kocich pazurów,

przyklejonymi do naturalnych paznokci. Samochody śmigają obok, jakby kierowcy nie widzieli niebrzydkich dziewczyn proszących o podwiezienie do Sławy. Może kierowcy jadą tylko do Nowej Soli albo biorą je za prostytutki, które często biwakują w pobliżu tego miejsca, ale przecież kurwy nie machają rękoma i nie piszą na tablicy, dokąd chcą jechać.

Marek przypomniał sobie, że kiedy był w wieku autostopowiczek, też latem stał przy wylotówce z miasta i machał ręką. Wtedy niewiele prywatnych aut osobowych jeździło po wyboistych drogach, służbowe wołgi przemykały dostojnie, wioząc urzędników i dygnitarzy partyjnych, którzy takich jak Marek uważali za obiboków. Zatrzymywały się jedynie lubliny, stary i ziły, lecz zanim kierowca pozwolił wędrowcowi wsiąść do kabiny, pytał, czy ma ważną książeczkę autostopu, i domagał się co najmniej dwu kuponów. Kto uzbierał dziesięć kuponów, mógł je wymienić na czajnik z gwizdkiem albo komplet szklanek z koszyczkami, większa liczba takich karteczek oznaczała premię w postaci radia na tranzystorach albo nawet zegarka, a rekordzista był pokazywany w telewizji niczym bohater.

— Jadę tylko do Jodłowa — informuje Marek. Dziewczyny nie wiedzą, gdzie to jest, więc robią pytające miny. — Stamtąd do Sławy niewiele ponad dziesięć kilometrów. — Uśmiechają się radośnie i wsiadają do fiata, wciągając ogromne plecaki. — Jodłowo albo Jodłów jest kolonią letniskową wylegującą się na brzegu Jeziora

Tarnowskiego Małego. Większość jej sezonowych mieszkańców to średnio zamożni wrocławianie i zielonogórzanie. Tych naprawdę nadzianych forszą stać na utrzymanie domku nawet na hiszpańskiej Riwierze.

— Aha — bez zdziwienia odzywa się ta z trzema kolczykami w nosie i po jednym w ledwie zaznaczonych brwiach. Jasne włosy ma ścięte na pazia. Wygląda ładnie.

— W miejscowym sklepie można kupić nawet ryby morskie, mimo to mieszkańcy Jodłowa, przyzwyczajeni do robienia sprawunków w wielkomiejskich marketach, po niemal każdą rzecz jeżdżą do Sławy. Na pewno więc nie będziecie czekały długo, aż ktoś podrzuci was do centrum miasteczka.

— A pan?

— Jadę przygotować domek letniskowy na zjazd koleżeński. Od jutra pięć przyjaciółek mojej żony będzie odgrzewało swoją bujną młodość i niepokoiło się o szczęśliwą przyszłość. Ja zaś będę starał się te ich złote i czarne myśli zanotować w głowie, a potem przeniosę na laptop, by w końcu utrwalić na papierze w postaci książki. — Dziewczyny nie rozumieją, więc wyjaśnia, że ma zamiar napisać powieść, po którą będą się ustawiały kolejki czytelników w każdym wieku. — Dotąd spod mojego pióra wychodziły przeciętne kryminały i zbiory opowiadań z dreszczykiem. Za ostatnią powieść, na razie przetłumaczoną na niemiecki i czeski, dostałem ważną nagrodę literacką.

— Ojej, to z pana jest prawdziwy pisarz?!

Marek przytakuje zadowolony i w lusterku przygląda się dziewczynom. Teraz obie wydają mu się bardzo ładne, ta bez kolczyków w nosie wprost śliczna. Ponieważ żadna nie pyta, jak się nazywa, mówi:

— Jestem Edward Władysław Zofisyn. To pseudonim literacki oznaczający, że moją matką jest Zofia. Władysław mam po ojcu, a Edwardem zostałem podczas bierzmowania. Wielu pisarzy występuje pod zmienionym imieniem i nazwiskiem i tak przechodzi do literackiej historii świata. Na przykład Aleksander Głowacki podpisywał swoje książki jako Bolesław Prus. Zanim autor *Polski Piastów* został Pawłem Jasienicą, nazywał się Leon Lech Beynar. Stendhal to Marie-Henri Beyle, a Anna Seghers miała w dowodzie osobistym Netty Radványi. — Zastanawia się, czy nie przesadził z porównaniem się do tak znakomitych pisarzy, zwłaszcza że dziewczyny siedzą jak trusie. — W księgarniach nie jest łatwo natrafić na moje książki, ale w bibliotekach znajdują panie powieści i zbiory opowiadań mojego autorstwa. Domyślam się, że panie nie czytały niczego, co zostało opatrzone moim pseudonimem literackim — w głosie Marka słysząc niezadowolnienie. — Jestem przekonany, że w ramach podziękowania za podwiezienie sięgną panie po moje książki, do czego nieśmiało zachęcam.

— Zrobię to natychmiast po powrocie z wakacji — zapewnia ta z kolczykami w nosie i brwiach. Druga dziewczyna milczy, patrząc za szybę.

## Ryżego ssie od rana

— Ja ci zaraz jaja oberwę! — złości się Marek, gdy dostrzega rudą głowę wystającą zza krzaka przy furtce. — W zeszłym tygodniu prosiłem, abyś do tego czwartku wykosił trawę. Prosiłem czy nie?

— Jo.

— Prosiłem też, abyś przystrzygł żywopłot?

— Jo.

— Kazałem ci wywieźć śmieci jak najdalej od domu, ale nie do lasu?

— Jo.

— A ty co zrobiłeś? Nic. I jeszcze cudze śmieci wywaliłeś przy samej drodze. Pewnie od tej dentystki. Ludzie gotowi pomyśleć, że to moje.

— Ni.

— Co „ni”? Jak z tobą nie można po ludzku, to poszukam kogoś innego do roboty. Chętnych nie brakuje — ogłasza Marek i zaraz szczypie się w policzek, bo za takie pieniądze, jakie on daje Ryżemu, żaden mieszkaniec Jodłowa nie zechce kosić trawy co tydzień, strzyc żywopłotu, wynosić śmieci i jeszcze pilnować domku, a jesienią rąbać drewno do kominka.

— Płacę ci co tydzień, żebyś miał na chleb?

— Jo.

— A ty...?

— Daj pan piontala, bo mie, kuruła, ssie od rana. — Ryży powoli wstaje, używając do tego obu rąk, nóg i pleców.

— Ubzdryngolisz się tym zagzajerem na kościach i sam będę musiał kosić. Teraz dam ci na cienkie piwo. Dopiero jak zrobisz to wokół domu, o co prosiłem przed tygodniem, dostaniesz na miksturę w kartoniku.

— I palić się chce, kuruła.

Marek wyjmuje z kieszeni kilka drobniaków, akurat powinno wystarczyć na puszkę najtańszego piwa i paczkę najmniejszych papierosów bez filtra.

— Ile już masz lat?

— Niedugo czydzieścisiedym — odpowiada Ryży, załamując palce u obu rąk.

— Trzydzieści siedem?

— Jo.

— Chyba pięćdziesiąt siedem.

— Ni. Czydzieścisiedym na wigilie, kuruła.

Marek jest przekonany, że Ryży zbliża się do jego wieku. Może postarzają go fioletowe żyłki pod oczami i wąsy zrudziałe od dymu papierosowego. Nigdy z bliska mu się nie przyglądał, ale gdy teraz Ryży powiedział, że niedługo skończy trzydzieści siedem lat, Marek zrobił dwa kroki przed siebie i pyta:

— Zastanawiałeś się, z czego będziesz żył na emeryturze?

— Po co?

— Jak się ma dwadzieścia kilka lat, nie myśli się o starości. Potem mężczyzna się żeni, wychowuje dzieci i nawet się nie spostrzeże, kiedy został dziadkiem. To miłe być dziadkiem.

— Jo ni.

— Co ty „nie”?

— Jo ni mam baby, kuruła, to i ni mam dzieciu.  
Ha, ha.

— To jak sobie wyobrażasz swoją starość? Kto poda ci kubek wody w razie choroby?

Ryży nie odpowiada, nawet nie wzrusza ramionami obojętnie, czego Marek się spodziewał, strzyka śliną w krzaki i zgarbiony rusza posuwiście w stronę jeziora, skąd ścieżką między krzakami najbliżej do sklepu.

## **Spotkanie autorskie, którego nie było**

Skwar, zamiast zelżeć nieco, wraz z popołudniem tężał. Jeszcze dwa lata temu druga połowa sierpnia była chłodniejsza, ale w zeszłym i w tym roku nie ma czym oddychać. Meteorolodzy przepowiadają, że tak będzie aż do końca pierwszej dekady września. Potem nagle północny wiatr przypędzi jesień.

Nie mam innego wyjścia, jak tylko przebrać się w ciuchy robocze, wyciągnąć kosiarkę z szopki i najpierw wykosić trawę przed domkiem, potem przystrzyc żywopłot wzdłuż drogi, krzywi się Marek, zły na Ryżego. Magda zawsze gotuje więcej zupy, żeby i dla tego ochlapusa starczyło, ja daję mu kilka złotych na jedzenie, chociaż wiem, że on nie kupi chleba, tylko ruchem głowy poprosi sklepowego, aby mu podał najtańszą nalewkę w kartoniku i plastikowy kubek. Ryży wróci dopiero przed wieczorem, mimo że ledwie będzie się trzymał na



nochach. Dopiero wtedy zechce coś zrobić. A jeśli spotka przed sklepem takiego samego jak on, któremu ktoś podobny do Marka też da kilka złotych, to dziś na pewno nie wróci. Jutro, nie po południu, jak jest w zwyczaju, a z samego rana mogą przyjechać pierwsi goście. Inez lubi zaskakiwać, bo co to dla niej — o siódmej wsiądnąć do tego swojego matiza, arcydzieła koreańskich inżynierów i polskich robotników, które miało być azjatycką kopią trabanta, jak się śmieje Gienek, i choćby zabłądziła w Sławie, to cztery godziny później naciśnie na klakson przed domkiem w Jodłowie. Dlatego Marek nie może czekać na Ryżego, zaraz musi zacząć koszenie, żeby jutro trawnik był puszysty jak turecki dywan, gdy przyjaciółki Magdy zdejmą buty. Zajmie mu to co najmniej dwie godziny i z godzinę strzyżenie żywopłotu.

Kosiarka stoi w szopce zaraz przy drzwiach, w pobliżu powinien leżeć przedłużacz, Marek zapala światło i długo się rozgląda, mimo to nigdzie nie widzi niczego w kolorze pomarańczowym. Zagląda do składziku na drewno i hydroforni, pod schody, za krzewy winorośli. Ryży sprzedał przedłużacz jak kiedyś siekierę, która miała mu służyć latami, domyśla się wzburzony.

— Czyżby pan czegoś szukał? — odzywa się nowy sąsiad, widząc, jak Marek zagląda we wszystkie zakamarki i mruży pod nosem. — Potrzebny był mi przedłużacz. Spytałem Ryżego, a on pokazał na szopkę, to pożyczyłem sobie. Gniewa się pan z tego powodu?

Już ma wypalić ze złością, że poprzednik nowego sąsiada, zanim o cokolwiek poprosił, najpierw przychodził z piwem, gdy słyszy wołanie z drogi:

— Proszę pana, halo, gdzie tu mieszka jakiś pisarz?!

— Za furtką stoi młoda kobieta w ciemnych okularach przesuniętych na czoło i berecie oznaczonym harcerską lilijką. — Pan sklepowy powiedział, że ten pisarz ma domek w Jodłowie niedaleko starej kuźni. Podobno zawsze przyjeżdża na weekend. Pan sklepowy nie jest pewny, czy dobrze widział. Z godzinę temu drogą koło sklepu jechał jakby samochód tego pisarza. Kolor lakieru ma być identyczny jak tego, co stoi przy wjeździe do garażu — pokazuje ręką na czerwonego fiata pandę.

— Lepiej nie mogła pani trafić — odpowiada sąsiad Marka, podchodząc do furtki.

— To pan? — harcerka uśmiecha się zadowolona i rusza w jego stronę.

— Mnie Pan Bóg nie obdarował talentem literackim. Jako celnik dodatkowo znam się na grzybach i rybach. Poszukiwanym pisarzem jest ten pan — wskazuje głową Marka.

Kobieta otworzyła usta i wpatruje się podejrzliwie w celnika.

— Niech mnie pan nie rozśmiesza! — woła i patrzy na Marka zdumiona.

— Przysięgam, że mówię prawdę.

— Znany pisarz jeździ fiatem pandą?

— A czym, wedle pani, powinien jeździć znany pisarz? — odzywa się Marek, odchrząkując.

— Bo ja wiem... Musi go być stać, jak mówią moi uczniowie, na beemkę, audicę, najnowszy model merca... Słowem, na coś z górnej półki. O, niedawno mieliśmy spotkanie z posłem, przyjechał do nas najnowszą skódką koloru kanarkowego.

— A tapicerka?

— Prawdziwa skóra oczywiście. Barwa kasztanowa w rumiane ciapki.

— Co w barku?

— Do koloru, do wyboru. Ja się poczęstowałam kieliszkiem brandy.

Oparty o furtkę nowy sąsiad pali papierosa i śmieje się, jakby był na występie najlepszego kabaretu.

— Ja więc, zdaniem pani, nie wyglądam na pisarza — ni to pyta, ni twierdzi Marek, autentycznie zdumiony jej uwagą.

— Prawdziwy pisarz, proszę pana, powinien czymś szczególnym się wyróżniać.

— Na przykład... cierpieć z powodu kaca po nocnej balandze. A jeszcze lepiej mieć kaca i spuchnięty nos jako wyraźną oznakę wstydlivej choroby, którą go zaraziła zakochana w nim bibliotekarka.

— Na przykład mieć brodę i wąsy, nosić druciane okulary jak, daleko nie szukając, Fiodor Dostojewski czy Władysław Stanisław Reymont albo ze współczesnych Paweł Huelle.

— Muszę panią rozczarować. Jeden z ostatnich laureatów Nagrody Nobla, węgierski prozaik Imre Kertész nie zapuścił brody ani wąsów, na co dzień nie nosi okularów, w dodatku jest łysy. Identycznie jak hiszpański noblista w dziedzinie poezji Vicente Aleixandre czy angielski polityk i pisarz w jednej osobie Winston Churchill.

— Prawdziwy pisarz współczesny, godny zainteresowania, to taki twórca, którego lektury uczniowie przerabiają na lekcjach języka polskiego.

— Albo już jest nieboszczykiem jak Kapuściński — dodaje Marek, wyraźnie kpiąc, czego ona jednak tak nie odbiera. — A jeśli jeszcze żyje, to na pewno ma willę w Warszawie. — Harcerka kiwa głową na znak zgody. — To znaczy, proszę pani, że Różewicz nie jest prawdziwym pisarzem, bo mieszka we Wrocławiu. Szymborska też nie była wybitną poetką, bo mieszkała w Krakowie. Miłosz również nie był znakomitym autorem, bo zanim przeniósł się do Krakowa, wykładał na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley. Wprawdzie niejaki Mrożek Sławomir porzucił Kraków, ale nie dla Warszawy, lecz dla dużo mniejszej Nicei.

Harcerka robi zdziwioną minę, mimo to jeszcze nie kapituluje. Przypomina, że od kiedy w nowym dowodzie osobistym nie ma miejsca na wpisanie wykonywanego zawodu, każdy może się podawać za pisarza. Zresztą ona coś wie na ten temat, ponieważ od trzech lat jest nauczycielką języka polskiego w jednym z najlepszych prywatnych liceów, gdzie również prowadzi dwa kółka

literackie: jedno dla uczniów, drugie dla ich rodziców. Dopiero gdy Marek prosi, żeby zaczekała, aż on przyniesie z domku kilka swoich ostatnich książek, robi się czerwona na twarzy i natychmiast zsuwa ciemne okulary z czoła na oczy.

— Sądzę, ba, jestem przekonana, że panu jako inżynierowi dusz również zależy na wychowaniu młodzieży w duchu patriotycznym. Dopóki żył nasz ukochany papież Jan Paweł II, młodzi ludzie mieli od kogo się uczyć. Dziś coraz trudniej być wychowawcą, ponieważ młodzieży brakuje powszechnie akceptowanych autorytetów moralnych. Dlatego — harcerka składa ręce jak do pacierza — przysłałam do pana z ogromną prośbą. Błagam na wszystkie świętości, niech mi pan nie odmawia.

— A o co chodzi?

— Przepraszam za to nieporozumienie na początku — robi naprawdę błagalną minę. — Tylko proszę się zgodzić.

— Nie mówię tak ani nie. Muszę wiedzieć, czego ode mnie pani oczekuje.

— Już wyjaśniam. Otóż na cyplu mamy obóz harcerski — uśmiecha się trochę zalotnie. — Dostaniemy refundację wydatków z funduszy europejskich pod jednym warunkiem: musimy zrealizować wszystkie punkty programu narzuconego przez Brukselę. Jednym z nich jest spotkanie z pisarzem. Zaprosiliśmy na nie znaną we Wrocławiu profesor prawa i autorkę książek w duchu chrześcijańskim, a ona, menda, dziś rano zadzwoniła, że

z powodu nagłej choroby męża nie może przyjechać do Jodłowa. I co my teraz...?

Marek rozkłada ręce. Chce powiedzieć, że to nie jego sprawa. On do wieczora musi zrobić to, czego nie zrobił Ryży przez tydzień, czyli skosić trawę przed domem, przyszczyć żywopłot, wynieść makulaturę do pojemnika przy sklepie i kiedy to skończy, pewnie jeszcze o czymś pilnym sobie przypomni.

— Jeśli nie macie ze sobą żadnych książek, mogę wypożyczyć kilka moich ostatnich powieści.

— Wolałabym, żeby pan przyszedł osobiście — harcerka znowu się uśmiecha, ukazując naprawdę ładne zęby. — Myślę, ba! jestem przekonana, że pan też na tym skorzysta. Na obóz zabrałam naprawdę inteligentną młodzież.

— Dziś nie mam czasu. Jutro przyjadą tu koleżanki żony ze studiów z mężami. Od blisko czterdziestu lat każdego roku jedna z nich urządza zjazd. W tym roku kolej na moją żonę. Ponadto dziś nie jestem psychicznie nastawiony na spotkanie autorskie z młodzieżą. Proszę zobaczyć, ile pracy jeszcze czeka mnie na podwórku.

— Może jednak? Błagam...

— Przyjdę jutro — proponuje dla świętego spokoju. Jest mu trochę żal harcerki. — Albo najlepiej w sobotę po obiedzie. Już wiem, zjawię się razem z posłem opozycji, który przyjedzie do Jodłowa ze swoją żoną z Legnicy. Dodatkowo mogę poprosić o towarzystwo byłego wicewojewodę z Wałbrzycha.

Harcerka kręci głową.

— W sobotę po obiedzie rozjeżdżamy się do domów. Na jutrzejsze przedpołudnie zaplanowaliśmy zwiedzanie muzeum w Głogowie, po południu mamy dyskotekę. Program jest sztywny, na jakąkolwiek zmianę rada obozu nie pozwoli. Zresztą byłoby to niewychowawcze.

— W takim razie... — Marek znowu rozkłada ręce i już chce odejść, gdy harcerka mówi:

— Jeśli naprawdę dziś pan nie może przyjść, to...  
— Z kieszonki na piersi wyjmuje karteczkę z wydrukowanym jego pseudonimem literackim. — Proszę tu podpisać. Chodzi o formalność. Wszyscy tak robią. Przecież ja nikomu nie powiem, pan też nie będzie rozgłaszał, że nie odwalił tego spotkania.

---

Z ZAPISNIKA

---

*Pisarz nigdy nie zapomina dnia, w którym po raz pierwszy przyjmuje pieniądze lub pochlebstwo w zamian za opowieść. Nigdy nie zapomina tego momentu, kiedy po raz pierwszy słodka trucizna próżności zaczyna krążyć mu w żyłach, wierząc, że jeśli zdoła ukryć swój brak talentu, sen o pisarstwie zapewni mu dach nad głową, ciepłą strawę pod wieczór i ziszczy się największe marzenie: ujrzy swoje nazwisko wydrukowane na nędznym skrawku papieru, który zapewne go przeżyje. Pisarz skazany jest na wieczne wspomnianie tej chwili, bo właśnie wtedy został zgubiony na zawsze, a za jego duszę już wyznaczono cenę.*

Carlos Ruiz Zafón, *Gra Aniela*

---

## Piwo z sąsiadem na zgodę

Jeszcze tylko przysstrzyć żywopłot wzdłuż drogi i goście mogą przyjeżdżać, cieszy się Marek, wpychając kosiarkę do szopki. Sądził, że koszenie zajmie mu co najmniej dwie godziny, tyle czasu potrzebował Ryży, aby trawa przed domkiem była miękka i równa jak dywan, a jemu wystarczyła niepełna godzina. To może i godzina na strzyżenie żywopłotu za dużo, tym bardziej że od połowy sierpnia krzewy rosną wolniej niż w maju i czerwcu. Owoce, które miały wydać na świat, już cierpliwie czekają, aż nabiorą rumieńców. W sprawie potomstwa podobieństwo między roślinami i ludźmi jest dostrzegalne gołym okiem, jeśli nie liczyć sposobu rozmnażania. Do takiego wniosku Marek doszedł dopiero w Jodłowie, gdy kupił domek pod klonami, wcześniej tylko widział kwitnące łąny rzepaku lub czuł miodowy zapach lip, gdy jechał na wieś.

— Niemiłosierny tropik. Goręcej niż na Synaju — gdera Marek, zganiając ręką muchy ze spoconej głowy. Nagle nabiera ochoty na piwo prosto z chłodziarki, ale musiałby wybrać się do sklepu, a przecież nie pójdzie w przepoconym podkoszulku i sandałach, które pamiętają ludową Polskę. Uważa się za znanego pisarza i dziennikarza, toteż nie będzie przemykał obok domków profesorów, lekarzy, biznesmenów, chociaż większość z nich to fachowcy niegodni takich zaszczytów.



Gdyby zaraz po przyjeździe włączył bojler elektryczny, już miałby się czym umyć, a tak podgrzanie wody na gazie, kąpiel i zmiana ciuchów zajmie mu z pół godziny. Dziesięć minut w jedną stronę, drugie tyle na powrót, pod warunkiem że nie zatrzyma go żaden profesor, lekarz czy biznesmen. W zeszłym tygodniu też chciał przemknąć niezauważenie, a ledwie zatrzasnął furtkę, właściciel hurtowni wędlin już warował na drodze i zapraszał go na degustację szynki drobiowej po chłopsku. Chciał porozmawiać z najlepszym redaktorem na bardzo ważny temat, który musi poruszyć gazeta, bo to sprawa interesująca szerokie kręgi społeczeństwa. Zamiast się ucieszyć, bo jedzenie za darmo, a pewnie i picie, Marek powiedział, że przeszedłszy na wcześniejszą emeryturę, skończył z zawodem dziennikarza. Hurtownik, zrobiwszy kwaśną minę, odszedł na swoje podwórko, ale zaraz przy nim pojawił się profesor od wiatraków w towarzystwie swojej asystentki.

— Przepraszam pana — słyszy za sobą znany głos. Odwraca się i widzi nowego sąsiada, jak wyciąga do niego prawą rękę z puszką piwa. — To w ramach podziękowania za wypożyczenie przedłużacza. Gdyby nie pańska pomoc, musiałbym jechać do sklepu w Sławie. Szkoda mi było czasu. I paliwa.

— Przecież ja niczego panu nie pożyczałem.

— Nie mogłem się doczekać, to sam się obsłużyłem.

— Postąpił pan, sąsiedzie, wedle zasady: co twoje, to i moje.

— A co moje, tego nie ruszaj — śmieje się sąsiad. — Ja nie z tych. Dlatego przyniosłem browarek na zgodę. W każdych okolicznościach możesz pan liczyć na rewanż z mojej strony.

— W przyszłości wolałbym...

— Z zawodu jestem celnikiem na przejściu w Olszynie to i najlepiej wiem, że z dobrymi sąsiadami trzeba żyć w zgodzie, bo mogą być gorsi.

## **Jadźka przyjechała pierwsza**

Na jednym piwie się nie skończyło. Po czwartej puszcze celnik nie miał wątpliwości, że Marek jest nie tylko wymarzonym sąsiadem, lecz i najlepszym pisarzem współczesnym, którego książki niebawem pojawią się w każdej księgarni na świecie.

— W gimnazjach... Co ja gadam? Już w podstawówkach dzieci będą się o panu uczyły. A jak sąsiad wykorzysta to, co ja wiem o kanałach przemytniczych, tłumaczenia na niemiecki, angielski, francuski, nawet syberyjski murowane. Nagroda Nobla pewniejsza niż wygrana w totolotka. Temat niesamowity i na czasie. Nic, tylko nagrać na dyktafon i dać żonie do przepisania. Fabuła nadaje się na serial filmowy. Mnie w ramach wdzięczności postawi sąsiad skrzynkę piwa.

Marek jeszcze nie przytakuje, na razie otworzył usta, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o propozycji celnika,

gdy ciszę przerywa klakson samochodu. Obaj natychmiast odwracają głowy w stronę płotu, za którym hamuje okurzony passat. Chyba nie harcerka po mnie na kolejne spotkanie, chce powiedzieć Marek, co w oczach sąsiada byłoby potwierdzeniem tego, jak jest popularny.

— Co, ja znowu pierwsza? — słyszy znajomy głos. Wcale się nie dziwi. Odkąd Jadźka mieszka w Niemczech, zawsze przyjeżdża pierwsza. Ostatnim razem wyprzedziła Inez o tydzień.

— Jesteś pierwsza — potwierdza Marek śpiwnie, wychodząc za furtkę i rozciągając ręce na powitanie. Jadźka przywiera do niego tak mocno, że czuje sutki jej ciężkich piersi uwolnionych ze stanika. Robi mu się głupio, bo ona rozsiewa zapach perfumerii, a on w brudnym, przepoconym podkoszulku. — Ledwie zdążyłem skosić trawę, nowy sąsiad przyszedł się zaprezentować i przyniósł zimne piwo. — Chce jej przedstawić celnika, ale nie ma go w zasięgu wzroku.

— Nie przejmuj się. Ja przyzwyczajona. Jak mój Gottliebuś chce sobie poruchać, to zanim do mnie do łóżka przyjdzie, najpierw pędzi na piwo do knajpy. Jemu na trzeźwo już nie staje. — Marek spuszcza oczy zmieszany. — Mnie zapach piwa nie przeszkadza, byle facet był jak facet i swojej roboty nie spała.

— Każdy powinien...

— Pewnie nie zdajesz sobie sprawy z tego, jaki Pan niesprawiedliwy jest. Jednemu tycią kuśkę daje, a drugiemu bombowca. Mojemu Gottliebusiowi niewiele do

normy brakuje. Magda mówiła, że ty jeszcze, jak trzeba, wszystko masz na miejscu i po godzinie odpoczynku znowu możesz — uśmiecha się do niego z podziwem, odchrząkując dwa razy. — Na starość ciało wysycha i się kurczy. Spośród blisko setki moich leśnych dziadków może co dziesiąty jeszcze ma się czym pochwalić.

Jadźka, a od ponad dwudziestu lat Hedwig, przyjeżdża na zjazdy koleżeńskie aż z południowych Niemiec, mieszka na uboczu bawarskiej wsi, skąd pół godziny do Norymbergi i dziesięć minut do pałacu zamienionego na dom starców leśników. Zanim przefarbowwała się na Niemkę, szła do łóżka z każdym nauczycielem, a najczęściej z wuefistą, który po roku małżeństwa rzucił ją dla brzydkiej jak siedem grzechów głównych szkolnej dentystki. Po tym doszła do wniosku, że protestanci są porządniejsi od katolików, bo rzadziej zdradzają swoje żony, więc ona powtórnie wyjdzie za mąż, ale tym razem za ewangelika. Ponieważ żaden kawaler czy rozwiedziony protestant nie zwracał na nią uwagi, chociaż każdej niedzieli siadała w drugiej ławce przed ołtarzem kościoła ewangelicko-augsburskiego, wysłała ogłoszenie matrymonialne do niemieckiej gazety dla luteran. Po niecałym tygodniu dostała ponad setkę listów, w każdym tkwiło kolorowe zdjęcie przystojnego mężczyzny i zapewnienie, że jako żonie będzie lepiej Jadźce na ziemi niż innym duszyczkom w niebie. Najpierw spodobał się jej właściciel fabryki kosmetyków spod Berlina, potem zamieniła go na profesora uniwersytetu w Dreźnie, by

po kolejnych godzinach analizowania fotografii i charakteru pisma wpatrywać się w niebieskie oczy pastora z Magdeburga.

— Który do mnie najbardziej pasuje? — spytała Magdę, rozkładając przed nią podobizny kandydatów.

— Jaką masz pewność, że profesor to profesor i nigdy nie był na usługach Stasi albo jakiejś KGB? A pastor, jesteś przekonana, że nie donosił do bezpieki? Czyżby ten od kosmetyków żył na bezludnej wyspie i miał kryształowe sumienie? W takim razie jak się dorobił? Jeśli koniecznie chcesz wyjść za Niemca, to nigdy za wschodniaczka.

— Też wolalabym wybierać między facetami z Zachodu, ale co zrobię, jak zgłosił się tylko jeden. Jakiś Gottlieb, od roku wdowiec, ledwie sięga mi do ramion. Jakby tego było mało, rudzik.

— I może piegowaty na tym, co ma poniżej pasa?

— Tego jeszcze nie wiem.

— Dużo starszy od ciebie?

— Niedawno wyprawiał czterdziestkę.

— Akurat. Czym się zajmuje?

— O swoim fachu nie wspomina. Nie pisze też, ile zarabia. I o dzieciach ani słowa.

— Ma samochód?

— Tam każdy ma samochód, bo w zachodnich Niemczech auto nie oznacza luksusu.

— Racja. U nas facet może nie mieć jaj, byle miał auto — stwierdziła Magda. — Mieszka w bloku?

— Ma domek na bardzo spokojnej wsi, skąd bliżutko do wielkiego miasta na en. W tej wsi jest kościół z cmentarzem, szkoła, boisko, restauracja i minimarket.

— I ty jeszcze się zastanawiasz? Bierz zachodniaka.

— Kiedy on rudy. Na zdjęciu aż złocisty.

— Skończył czterdziestkę, więc niedługo wyłysieje albo posiwieje, to i nie będzie śladu po rudziźnie. Jak już bardzo będziesz się go wstydziła, każesz mu przefarbować włosy.

Dzień po dyskretnym ślubie i cichym weselu w bocznej salce kasyna wojskowego Jadźka wyjechała do Niemiec. Z pół roku ani nie narzekała, ani nie chwaliła się, jak jej dobrze u boku Gottlieba. W ogóle się nie odzywała, chociaż przed wyjazdem nawet Marka zapewniła, że dostanie widokówkę z każdego hotelu, w którym będzie spała z mężem podczas podróży poślubnej. Tuż przed wakacjami wszystkie jej koleżanki ze studiów otrzymały paczuszki pełne słodyczy, niektóre czekoladki wyglądały na przeterminowane, ale ponieważ nie załatywały stęchlizną, codziennie wieczorem Magda chrupała po jednej i codziennie rano narzekała, że nie może wcisnąć się w sukienkę, którą miała na sobie dopiero kilka razy.

Na inauguracyjny zjazd absolwentek zielonogórskiej polonistyki Jadźka nie przyjechała, na drugie spotkanie wpadła jak po ogień, na trzecim też nie zachowywała się jak żona majątnego junkra, czego oczekiwała przede wszystkim Inez. Dopiero na czwartym zjeździe przyznała

się, że Gottlieb, owszem, ma wysoką pozycję, lecz nie w nadleśnictwie ani w urzędzie gminy, na co liczyła przed weselem, tylko jako starszy cechu kominiarzy. A z podróży poślubnej nie wysyłała widokówek, bo zamiast gzić się w hotelach i trwonić pieniądze na głupstwa, malowała ściany pokoi ich domu, lakierowała podłogi, myła okna i czekała na mężusia z obiadkiem.

— Czyli nie musisz zapierdalać na etacie jak każda z nas — stwierdziła bardziej z zazdrością niż z niedowierzaniem Inez.

— Co to, to nie. Mam tydzień pracy, tydzień wolnego.

— Oczywiście jako translatorka w biurze tłumaczy — powiedziała Beata.

— Jako dyplomowana opiekunka medyczna.

Beata i Inez zrobiły pytające oczy, Natalia zmierzyła koleżankę podejrzliwie, Pola znowu miała skwaszoną minę, a Magda wcisnęła głowę w ramiona, czekając, kiedy Jadźka przypomni, że to ona wskazała jej kandydata na męża.

— Jakby ja studia skończyła w Lublinie czy Krakowie, musiałaby dyplom magisterski nostryfikować. Uniwersytet Zielonogórski tak samo jak Gdański oni uważają za swój. Po roku pracy z podopiecznymi na kurs do Nürnberg mnie wysłali. Po dwóch latach zdała ja egzamin państwowy i dostała świadectwo dyplomowanej opiekunki medycznej. Coś jak magister pielęgniarstwa.

— I...? — Beata aż wygięła plecy w kabłąk z ciekawości.

— I zramolałymi starcami leśnikami się opiekuję. Oni pod siebie robią, myć się nie chcą, są głusi, zaślinieni i najczęściej wtedy się obnażają, kiedy ja do ich pokoi wchodzę.

— Fe! — krzyknęła Pola ze wstrętem. — Nie dla mnie takie zajęcie.

— Inaczej ty by mówiła, gdyby wiedziała, ile za to płacą — zgasiła ją Jadźka.

### **Ryży prosi o pożyczkę**

— Ta, co przyjechała passatem z Niemiec, to dobra znajoma? — chce wiedzieć celnik, gdy o zmroku Marek zaczął strzyc żywopłot. Teraz sąsiad wygląda na takiego, który nie zaśnie, póki nie dowie się wszystkiego ze szczegółami.

— Jadwiga albo Hedwig, jak wołają na nią w Niemczech, jest koleżanką mojej żony ze studiów. Oprócz niej Magda ma jeszcze cztery serdecznie koleżanki. Razem studiowały polonistykę na uniwersytecie w Zielonejgórze. Wspólnie wynajmowały mieszkanie na Jędrzychowie. Prace magisterskie napisały u tego samego profesora Pasternika. Tylko z mężczyznami różnie im wyszło. Inez jest jeszcze panną, może nawet dziewicą, a Natalia dwukrotną wdową, oglądającą się za facetami. Każdego roku, od blisko czterdziestu lat, spotykają się to u jednej, to u drugiej, to u trzeciej i czwartej, piątej, szóstej podczas tak zwanego zjazdu koleżeńskiego. Jedzą, piją, śmieją się,



wspominają studenckie lata, ale najwięcej się chwala. Na przykład Beata starszym synem, który studiował biologię molekularną w Heidelbergu czy Würzburgu, teraz jest doktorem na Uniwersytecie Stanforda w Kalifornii. Jego żona też obroniła doktorat, a ich bliźniaki już w zeszłym roku mówiły do babci po angielsku, mimo że jeszcze nie skończyły czterech lat. Która ma męża, wyłączając Jadżkę, zawsze przyjeżdża w jego towarzystwie. Jak się starzeją koleżanki mojej żony, zobaczy pan jutro — kończy Marek rozmowę. Zapaliwszy wszystkie lampy na podwórzu, dalej strzyże żywopłot.

— Ja cię nie mogę — kręci głową sąsiad.

Marek czuje się oszukany przez Ryżego. Liczył na jego pomoc i znowu się przeliczył. Gdyby tydzień wcześniej albo tydzień później Ryży go zawiódł, jakoś by to zniósł, ale nie teraz, kiedy pierwszy gość już w domu, a on ma jeszcze tyle roboty na podwórku. Jako pisarz z doświadczeniem dziennikarza powinienem umieć przewidywać zamiary wszystkich ludzi, a ja dałem się oszukać prostemu człowiekowi. Zamiast podpatrywać, jak inni prozaicy rozwiązują problemy swoich bohaterów, muszę zacząć chodzić na wykłady z psychologii, postanawia akurat wtedy, gdy za jego plecami zatrzymuje się Ryży.

— Czy ty chociaż masz dowód osobisty?

— Jo.

— Jest w nim jakieś nazwisko?

— Jo.

— A imię?

— Jo.

— Jakie?

— Ryzy.

— Nic więcej?

— Jo.

Marek chce mu wyjaśnić, że każdy człowiek ma imię i nazwisko, niektórzy nawet dwa imiona, a lekarki czy plastyczki po wyjściu za mąż każą księdzu do nazwiska panieńskiego dopisać nazwisko męża, gdy Ryzy prosi go o pieniądze.

— Na chlyp — dodaje i wyciąga rękę pewny, że coś dostanie.

— Jeszcze nie odpracowałeś tego, co ci dałem przed południem.

— Jutro.

— A przy czym odpracujesz, jak trawę sam wykosiłem, strzyżenie żywopłotu zaraz skończę?

— Cusik najdzie się duruboty, kuruła. Uło, papruki-cza będzie wykibnuć.

— Do lasu?

— Jo.

— Zamiast pieniędzy dostaniesz coś do jedzenia. Na przykład pół chleba i pęto kiełbasy. Nie kaszanki, tylko prawdziwej kiełbasy wiejskiej, po którą rano chodziłem na bazar.

— Pieniudze.

— Wrócisz do sklepu i kupisz jeszcze jeden kartonik nalewki. Który to dziś będzie?

— Czeci... To...? Dasz pan czymam udezyć wkimono?

Kiedys Ryzy powiedział, że jest mu wstyd z powodu pijaństwa, ale jeszcze większy byłby wstyd, gdyby on, przez profesorów, lekarzy, miejscowych hurtowników uważany za pijaka, nie pił. W myślach Marek przyznał mu rację.

## **Jadźce bardzo chce się pić**

Jadźka zajęła łóżko w pokoju dwuosobowym na poddaszu z panoramą lasu za oknem. Mogła wybrać pokój jednoosobowy, z którego widać wioskę namiotów na cyplu obmywanym przez wody jeziora, ale ona woli spać obok Inez, żeby mieć z kim rozmawiać przed zaśnięciem, a i również, o czym żadna nigdy nie napomknęła, do kogo się przytulić. W jedynce więc rozgości się Natalia i znowu będzie zrędziła, że nawet pośród koleżanek jest sama.

— Powietrze u was takie rześkie, że aż w głowie się kręci. Nie to, co u moich leśnych dziadków — odzywa się Jadźka do Marka słuchającego wiadomości telewizyjnych. W czwartek nic ważnego się nie wydarzyło, mimo to Marek zawsze sprawdza, czy czegoś nie przegapił.

— Dlatego kupiłem ten domek i z dala od przemądrzałych facetów spędzam każdą wolną chwilę.

— I pewnie całymi dniami oczu od ekranu laptopa nie odrywasz, tylko te swoje książki piszesz.

— Jest wiele prawdy w tym, co powiedziałaś.

— A Magda nie buntuje się przeciw takiemu życiu na dwa domy? Przecież nie po to za męża wyszła, co by być sama w łóżku.

— Magda ma swój przyjazny świat, ja swój. Przy najmniej raz w tygodniu, najczęściej w sobotę i niedzielę, wybrani mieszkańcy naszych światów, czyli Magda i ja, spotykają się piętro wyżej i spędzają ze sobą nie minuty, jak to bywa u małżonków w trzydzieści kilka lat po ślubie, lecz godziny, kilka razy w roku bywa, że i nawet noce — mówi szeptem i pokazuje palcem na sufit, nad którym jest ich sypialnia.

Jadźka najpierw mruga znacząco, jakby akceptowała takie życie, a potem wyciąga się w fotelu i nogę zakłada na nogę. Koszula nocna odsłania jej tęgie uda, a ona udaje, że tego nie widzi, albo nie zwraca uwagi na swój wygląd. Zachowuje się jak większość Niemek, które cenią ubiór praktyczny.

— Panie święty, jak gorąco — otwiera usta szeroko i wachluje się koszulą. — Możesz podać mi coś do picia?

— Czy schłodzona woda mineralna wystarczy?

— Coś konkretniejszego ja by wołała. Dawno nie piła polskiej wódki z sokiem pomidorowym. Krwawa mery czy jakoś podobnie. Ja smak już zapomniała. W Niemczech najlepiej mi smakuje *kirschwasser*. Jak to będzie po polsku?

— Prędszej wiśniówka niż czereśniówka. Niemcy nie odróżniają wiśni od czereśni.

— A nie krwawa mery?

— Krwawa mery to oprócz białej wódki i soku pomidorowego odrobina chrzanu, pieprzu, troszkę sosu worcestershire i kilka kropel tabasco. O istnieniu tych ostatnich składników, jestem przekonany, nie słyszał właściciel tutejszego sklepu, zatem dziś nici z krwawej mery. Może jutro w Sławie trafię na sos worcestershire. Z tabasco pewno nie będzie problemu.

Marek otwiera barek, do wysokiej szklanki wlewa co najmniej setkę wódki i ćwiartkę soku grejpfrutowego, z zamrażalnika wyjmuje dwie kostki lodu, czeka chwilę, aż sok opadnie na dno, i koktajl stawia na stoliku, przy którym siedzi Jadźka.

— A ty nic nie wypijesz? Nie jesteś jeszcze taki stary, abyś musiał udawać abstynenta. Starsi ludzie lubią sobie gołnąć, wiem coś o tym.

— Przed twoim przyjazdem wyżyłopaliśmy z sąsiadem po cztery puszki piwa. Niewiele mniej niż Ryży. Zatem dzisiejszy plan płukania nerek wykonałem przed terminem i z nadwyżką.

— Zaslugujesz na premię — twierdzi Jadźka, kiwając głową, jakby akceptowała to, co postanowił Marek, po czym bierze szklankę w prawą rękę i pociąga kilka łyków. Nawet się nie krzywi. — Czy tej nocy będziemy sami?

— Pola i Nikos stawia się jutro w samo południe. Beaty z Gienkiem można się spodziewać nie wcześniej jak przed zachodem słońca. O której zjawi się Inez, tego pewno nawet Pan Bóg nie wie. Z Wrocławia do

Zielonejgóry przez Sławę jest tylko jeden autobus, więc na pewno nim przyjedzie Natalia.

— A twoja Magda?

— Magda może zjawić się w najmniej spodziewanym momencie. Jedno jest pewne: dziś nie przyjedzie. Póki nie napiecze, nie nagotuje, nie nasmaży tyle, żeby osiem osób miało czym się opychać i zachwycać przy stole przez trzy dni i kogo wspominać po wyjeździe z Jodłowa. Ona jest praktyczna jak Niemka i lubi być chwalona jak Polka.

— Twoja Magda zawsze wychodziła z założenia, że jedynie to, co jak grom z jasnego nieba na nas spada, robi wrażenie.

O tym nie wolno mi zapomnieć w powieści, gdy będę wyjaśniać, dlaczego ten zjazd na pewno musiał być ostatni. Gdyby nie było Jadźki w salonie, Marek wyciągnąłby rękę po notes, który leży obok zapiśnika cytatów, a ponieważ ona patrzy na niego, stara się to zdanie zachować w pamięci. Często udawało mu się zapamiętać nawet wyraz twarzy mówcy.

---

Z ZAPIŚNIKA

---

*Bo, proszę pani, może i Olaf Pims też pisze znakomite książki, ale ja potrzebuję encyklopedii i paru opakowań aspiryny, żeby zrozumieć, o co mu w ogóle chodzi. To snob zwracający się tylko do tych, którzy przeczytali tyle co on.*

Éric-Emmanuel Schmitt, *Odette i inne historie miłosne*

---

## **Jadźka nie może zasnąć**

Marek nie lubi długo siedzieć przed telewizorem, za to zawsze przed snem przez dwie, trzy godziny czyta książkę. Stara się być na bieżąco przynajmniej z twórczością nowych polskich autorów. Specjalnie nie interesują go intrygi ani sprawy, które młodzi pisarze roztrząsają na papierze, zresztą akurat współczesne polskie fabuły są mu bardziej obce niż wybory czarnoskórego prezydenta Stanów Zjednoczonych, podpatruje jedynie, jak młodzi prozaicy rozwiązują problemy swoich bohaterów. Czasem zazdrości im spostrzeżeń i wniosków, dlatego zawsze ma przy sobie notatnik na złote myśli innych, a potem wykorzystuje je w swoich powieściach jako cytaty.

— Nie mogę zasnąć — szeptem żali się Jadźka, jakby nieśmiało wetknąwszy głowę do sypialni. Nim Marek pomyślał, co jej poradzić, już siedziała na krawędzi jego łóżka.

— Wybrałaś pokój na poddaszu, a tam latem goręcej niż w piekle — wyjaśnia.

— Tobie też dziś duszno — twierdzi Jadźka, pokazując wzrokiem wilgotny ręcznik zakrywający jego nagi brzuch i biodra.

— Ostatni raz spałem w pidżamie z dziesięć lat temu. Było to w szpitalu po tym, jak wycięli mi polipy z jelita grubego.

— Ja bym się bała.

— Dostałem się w ręce błyskotliwego onkologa, który, zamiast czekać na wynik badania, natychmiast zrobił to, na czym się znał. Cierpienie choćby w słusznej sprawie nie ma sensu.

Jadźka podkula lewą nogę pod siebie, a prawą wyciąga w bok i prostuje w kolanie. Koszula nocna zsuwa się z pulchnych ud, prawie odsłaniając spojenie nóg, na co ona nie zwraca uwagi. Magda też nie krępowała się przy Marku, ale to żona, a on zna jej ciało niemal jak swoje. Kilka lat temu przed wyjazdem do Abruzji, dokąd Polacy jeszcze nie jeździli, miała zamiar opalać się bez stanika. W związku z tym pewnego dnia zawołała go do łazienki. Założywszy stringi, położyła się na dywaniku i poprosiła, aby nożyczkami skrócił jej włosy łonowe, raz nawet kazała je zgolić, aby nic nie wystawało spod wąskich w kroku opalaczy. Przecież mogła o to poprosić kosmetyczkę, która każdego ostatniego dnia miesiąca za pomocą samoprzylepnego paska wyrywa jej włosy spod pach, z łydek i przedramion, spod nosa i uszu, ale pewnie się wstydziła.

— Skoro nie możesz zasnąć z własnej woli, dam ci czopek nasenny — proponuje Marek, wysuwając szufladę z nocnej szafki.

— Tamten czopek ja by wołała — śmieje się Jadźka, pokazując głową na jego podbrzusze przykryte wilgotnym ręcznikiem. Zanim Marek zrozumiał, co ma na myśli, poczuł ucisk jej dłoni.



# DRUGI DZIEŃ

## **Magda zjawiała się za wcześnie**

Było dobrze po północy, gdy Markowi udało się nakłonić Jadźkę, aby wróciła do pokoju na poddaszu. Nie spodziewał się przyjazdu Magdy w środku nocy, ale źle się czuł z jej koleżanką w małżeńskim łóżku, tym bardziej że wbrew jego woli Jadźka wymusiła taką sytuację. Długo przewracał się z boku na bok, słyszał muzykę na cyplu, śpiewy pod sklepem, dochodził go nawet warkot samochodów na drodze do Sławy, oddzielonej od Jodłowa ścianą lasu. Jaśniało na dworze, odzywały się pierwsze drozdy lub szpaki, a Marek jeszcze nie spał. Kiedy zasnął, nie wiedział.

Obudził go głos sąsiada wpadający do sypialni przez szeroko otwarte okno. Chwilę leżał i nasłuchiwał, z kim celnik tak wcześnie rozmawia. Czyżby z Ryżym? Pewnie dał garść drobniaków na nalewkę i zapewnia go, że systematycznie będzie dostawał zapłatę, jeśli najpóźniej do południa w czwartek każdego tygodnia wykosi trawę przed domkiem, przystrzyże żywopłot, podleje kwiaty

i przygotowuje zapas drewna do kominka na zimę. Za to samo Marek płaci Ryżemu od lat, Magda dodaje resztki jedzenia, chociaż robotnik z niego marny, tyle że jedyny w Jodłowie, któremu czasem chce się pracować. Gdyby Marek nie zaplanował napisania powieści, sam by kosił, strzygł, podlewał, rąbał. Jeśli ta powieść okaże się best-sellerem, na co liczy, będzie musiał spotykać się z czytelnikami w całym kraju, rozdawać autografy, udzielać wywiadów. Zagraniczni wydawcy też zechcą zarobić na jego książce, co oznacza zaproszenia na międzynarodowe targi, na kiermasze i wieczory autorskie, a wtedy czasu na pracę fizyczną wokół domku nie starczy. Nie może więc pozwolić, żeby sąsiad podkupił Ryżego. Bez chrząkania wstaje z łóżka, podchodzi do okna i gdy ma zamiar dać o sobie znać, słyszy głos Magdy:

— O, któraś już nie mogła się doczekać! Która to? Pewnie Jadźka.

A cie florek!

— Stało się coś, że przyjechałaś tak wcześniej? — pyta Marek zaskoczony i zamiast się ucieszyć, wytyka żonie: — Przecież miałaś być najwcześniej dopiero w samo południe.

— Całą noc gotowałam i piekłam. Boże, jaka jestem zmęczona... Położę się chociaż na dwie godzinki. Ty w tym czasie przenieś wszystko z mojego samochodu do spiżarni.

W nocnej koszuli do ud i boso Jadźka zbiega po schodach, pada Magdzie w objęcia, a po chwili dostrzegłszy

Marka w oknie sypialni, macha do niego ręką i się uśmiecha, jakby dziękowała za to, co było w nocy.

— Ja mu pomogę — zapewnia koleżankę. I jeszcze mówi coś tylko do Magdy, a ta grozi Markowi palcem.

## **Poufna rozmowa w spiżarni**

— Co powiedziałaś Magdzie?

— Kiedy?

— Jak się z nią witałaś.

— Co na krok z oczu nie powinna ciebie spuszczać.

— Na pewno tylko tyle?

— *Natürlich. Ganz bestimmt.*

— Nie jesteśmy w Niemczech. Tu się rozmawia po polsku. Ewentualnie po angielsku. Z języków obcych moje pokolenie jednak najlepiej zna rosyjski.

— Powiedziała ja, aby ciebie z oczu nie spuszczała.

— I ani słowa więcej?

— A ty chciał, aby ja ciebie pochwaliła? Jest za co chwalić?

— Wszystko wyłącznie twoja wina.

— Moja? Dlaczego wyłącznie moja, Marek?

— Gdybyś nie przyszła do sypialni... Nie usiadła na brzegu łóżka w tej zbyt krótkiej koszuli... Z cyckami prawie na wierzchu... Nie położyła ręki na ręczniku... Nie...

— Mógł ty delikatnie, za to zdecydowanie mnie powiedzieć, aby ja do swego pokoju poszła.

— I byś posłuchała?

— *Nein*. Za to miałby ty czyste sumienie.

— W takim razie...?

— Jak rozmowa na nasze chłopy zejdzie, to Beata królowa narzekania. Jej Żenia zamka w drzwiach nie zreperuje. Do garnków nawet końmi go nie zapędzi. W łóżku z niego pożytku tyle co z moich leśnych dziadków. Kościół i polityka mu tylko w głowie. Pola o swoim Nikosiku kropka w kropkę jak Beata albo jeszcze więcej narzeka. A Magda o tobie nawet jednego marnego słowa nie powiedziała. — Marek robi pytające oczy i udaje, że nie rozumie. Jadźka wyjaśnia: — Czemu ona ma narzekać, jak w tej bardzo ważnej dla kobiety sprawie ty jeszcze... ho, ho... *Teufelskerl*. Po polsku: chwyt, zuch... Ja coś dla ciebie przywiozła. Po tym będziesz lepszy od mojego Gottliebusia, a on to potrafi.

---

Z ZAPISNIKA

---

*Bo słowa to wielka łaska. Cóż ma tak naprawdę człowiek prócz słów dane? I tak nas wszystkich czeka kiedyś wieczne milczenie, to się jeszcze namilczymy. Może przyjdzie nam ściany z bólu drapać za najmarniejszym słowem. I każdego słowa nie wypowiedzianego na tym świecie do siebie będziemy jak grzechów żałować. Tylko, że będzie za późno. A ileż takich słów nie wypowiedzianych zostaje w każdym człowieku i umiera razem*

*z nim, i gnije z nim, i ani mu potem w cierpieniu nie służy,  
ani w pamięci. To po co jeszcze sami sobie zadajemy  
milczenie?*

Wiesław Myśliwski, *Kamień na kamieniu*

---

## **Magda nie lubi długo spać**

Marek wchodzi do sypialni akurat wtedy, kiedy obudzona Magda już się przeciąga. Nie pyta, co się jej śniło, od czego zawsze zaczynał rozmowę, tylko siada na brzegu łóżka i wzięwszy ją za rękę, obiecuje w myślach, że nigdy więcej nie dotknie Jadźki, Poli, Beaty, Natalki czy innej kobiety, gdy będzie leżała obok niego albo go kusiła. Jeśli obietnicy nie dotrzyma, wyznaczy sobie taką pokutę, jakiej nawet najsroższy spowiednik by nie wymyślił. Boi się, że zaraz Magda pociągnie go na siebie i wtedy wyjdzie prawda na jaw, ale ona tylko kładzie dłoń na jego kolanie. Zawsze gdy czuł dotyk jej palców, nawet witając się po powrocie z dłuższej podróży, był gotów spełnić każde oczekiwanie. Delikatne i smukłe palce Magdy mają w sobie jakiś magnes, któremu Marek nie potrafi się oprzeć.

— Kiedyś mogłam spać do południa i jeszcze mi było mało — przypomina mu Magda. — A teraz wystarczy godzinka, góra dwie, i jestem wypoczęta.

Marek chce powiedzieć, że to nic niewłaściwego, bo człowiek zawsze zachowuje równowagę: wraz z wiekiem

ubywa potrzeby snu, przybywa za to doświadczenia i wiedzy oraz kilogramów, ale pewnie źle by to odebrała. Nie ma ani jednej takiej kobiety na świecie, która umie się pogodzić z utratą młodości i zainteresowaniem mężczyzn. Magda wysoko trzyma głowę, gdy idzie osiedlową uliczką z wnuczką, a Staś nie przestaje zadawać jej pytań, na które ona stara się jasno odpowiadać. Wolałaby jednak, aby sąsiedzi, podziwiający ją i wnuczka, szczególnie ją podziwiali, że jeszcze taka gibka, zgrabna i przede wszystkim atrakcyjna.

### **Jadźka pamięta o gospodarzach**

Magda najpierw wzięła prysznic, potem poprosiła Marka, aby posmarował jej plecy kremem, który maskuje plamy wątrobowe, a na końcu wcisnęła się w rybaczkę i bluzkę na szelkach. Miała zamiar włożyć nogi w buty na wysokim obcasie, zrezygnowała jednak z tego, bo byłaby wyższa od koleżanek, a we własnym domu nie chce się wyróżniać.

— Ja o was pamiętała. Prezenty przywiozła! — woła Jadźka, gdy Magda i Marek wchodzi do dużego pokoju, który podczas każdego zjazdu koleżeńckiego zamienia się w salon, bawialnię, jadalnię i świetlicę. Kilka razy zdarzyło się, że przyjechało więcej gości do Jodłowa, wtedy ten pokój był również sypialnią.

— Nie trzeba było... — mówi Magda, uśmiechając się do paczuszek leżących na stole.

— To dla ciebie — Jadźka podaje Markowi pudełeczko pachnące apteką.

— Pro-sta-jahr forte? — czyta, sylabizując.

— Wyciąg z owocu boczni piłkowanej, zwanej też palmą sabalową, po łacinie *Serenoa repem*, rosnącej na atlantyckich wybrzeżach Ameryki.

— Aha... A na co to pomaga?

— Każdy mężczyzna po sześćdziesiątce musi brać coś na zahamowanie przerostu prostaty. Inaczej zaburzenia w oddawaniu moczu i rak murowany. Moje leśne dziadki dostają prostajahr forte za darmo. Przy okazji sprawność seksualną im podnosi, a przez to samopoczucie się poprawia. To lek forte, ma przedłużone działanie. — Jadźka patrzy na Marka, jakby dawała mu do zrozumienia, że po zjedzeniu wszystkich kapsulek z pudełeczka Magda będzie jej wdzięczna. — Ty jeszcze nie taki stary, coby... Tabletki brać trzeba *prophylaktisch*.

— Profilaktycznie — tłumaczy Magda, co Jadźka akceptuje jednym, za to szybkim ruchem głowy.

— Od pięciu lat, zawsze w drugiej połowie listopada, chodzę na badania kontrolne. Gdyby coś było nie tak z moją prostatą, urolog na pewno przypisałby jakiś lek. Czy odczuwasz moją niższą sprawność? — pyta żonę.

Magda karci go wzrokiem.

— Kobiety łykają środki na łagodny przebieg menopauzy, mężczyźni powinni przyjmować coś, co zapobiega przerostowi prostaty — uśmiecha się do Jadźki, jakby prosiła o potwierdzenie jej wyjaśnienia.

— To się łyka czy...?

— Raz dziennie podczas posiłku. Moi leśni dziadkowie dostają przy śniadaniu. Przyjmowanie prostajahu na czczo nudności może powodować — poucza Jadźka. — A to dla ciebie. Androvit. Zestaw uzupełniający niedobór witamin i minerałów. W naszym wieku musowo brać.

Magda przyciąga Jadźkę do siebie i cmoka ją przy uchu.

— Zbytecznie zawracałaś sobie głowę prezentami — niby ją gani. — Chociaż z drugiej strony postąpiłaś jak najlepsza koleżanka. Ja z Markiem zanim wpadniemy do wnuczka, a odwiedzamy go nawet i dwa razy w tygodniu, idziemy do sklepu po byle co. Spaliłabym się ze wstydu, gdybym na jego pytanie: „Babciu, co mi przywiozłaś?” nie miała choćby lizaka. Dziecko lubi dostawać prezenty, a co mówić o dorosłym!

— Każdy się cieszy, gdy ktoś o nim pamięta.

## **Magda odkrywa źródło prezentów**

— Jak ona się nie wstydzi?! Nieźle zarabia i nie stać jej choćby na bombonierkę za trzy euro? Markowe perfumy mogła mi przywieźć. Ucieszyłabym się nawet z pomadki czy majtek... A tobie prostajahr? Lekarstwo na zahamowanie przerostu prostaty? Jestem ciekawa, skąd ona wie, że masz przerośniętą prostatę. Co, może spała z tobą?

— Nie — zaprzecza Marek i ucieka wzrokiem na podwórze, gdzie widzi Ryżego palącego papierosa.



— Ona myśli, że jeśli jestem kierowniczką działu organizacyjnego, a nie sanitarnego, to nie znam się na specyfikach paramedycznych. Mnie androvit w prezencie? — pyta podniesionym głosem Magda. — Niepiśmienną babę ze mnie robi!

— Nie tak głośno — prosi Marek.

— Przecież androvit jest specyfikiem przeznaczonym dla mężczyzn po sześćdziesiątce. Uzupełnia niedobory witamin i minerałów pod kątem poprawy sprawności seksualnej oraz prawidłowego funkcjonowania prostaty. Czy ja mam prostatę? Albo jestem niesprawna w łóżku? No, powiedz jak księdzu w konfesjonale.

— Co do prostaty, to widziałem ją wyłącznie na plakacie w poradni urologicznej. A jeśli idzie o sprawność w łóżku... masz jeszcze tyle potencji, że mogłabyś faceta zajeździć na śmierć.

— I tobie się to nie podoba?

— Co?

— Że ja mam jeszcze tyle potencji. Wolałbyś, żebym leżała jak nadmuchana lalka z lateksu?

— Wolę cię taką, jaka jesteś. Z tymi zadrami.

— No... A te prezenty? — Magda ma łzy w oczach.

— Sama mówiłaś, że nie wyobrażasz sobie choinki bez chociażby najskromniejszej paczuszki. Każdy lubi dostawać prezenty, a tylko nieliczni je dawać.

— Ale nie takie. Pewnie tym swoim leśnym dziadkom, jak ich nazywa, przy śniadaniu podaje witaminę C

zamiast prostajahru. To, co Jadźka zrobiła, jest gorsze niż kradzież. Mareczku, myśmy dostali prezenty z przestępstwa.

— A cie florek.

— Dziadkowie zachodzą w głowę, dlaczego nie mogą się wysikać...

— ...a to z powodu podmiany medykamentu na zahamowanie przerostu prostaty — kończy Marek na wesoło i wybucha perlistym śmiechem niczym karkonoski wiatr.

Magda też się śmieje.

— Teraz chodź do naszego łóżka. Sprawdzę, kiedy jesteś lepszym kochankiem: przed zażyciem prostajahru czy po. — Nie zważając na jego opór, chwyta go za ramię i prowadzi do sypialni.

## **Inez znowu zabłądziła**

Marek bierze pilota do ręki, aby nastawić radio na jakąś lżejszą muzykę, przy której w Magdzie wyzwoli się energia, a jemu przybędzie wigoru, gdy gasnący warkot samochodu wkrada się do sypialni. Magda podchodzi do okna, zza firanki widzi opla tigrę przed furtką i ze zdumienia robi wielkie oczy. Kogo stać na takie cacko? Pewnie Eugeniusz dorobił się na posłowaniu. Po chwili Inez wystawia nogi z samochodu, rozgląda się, jakby nie była pewna, czy trafiła pod właściwy adres.

— Teraz nic z tego nie będzie — mówi Magda do męża i schyla się po ogrodniczki, których pozbyła się zaraz za progiem. — Musimy przenieść nasze *spiccato* na nocne godziny.

— Nic to — pociesza się Marek, chociaż jeszcze nie wie, dlaczego muszą przenieść *spiccato* na noc. W sprawach łózkowych często posługiwali się kodem znanym muzykom, co ich nie tyle bawiło, ile podniecało. Najpierw *andante*, przypominała Magda, potem będzie przejście z *espressivo* do *rallentando* i *forte*, a na końcu *fortissimo*. Były to jedyne słowa włoskie, jakie zapamiętał Marek, wyłączając płynące na cały świat zawołanie *Santo subito* po śmierci Jana Pawła II. — W niedzielę wieczorem, jak goście odjadą, urządzimy sobie koncert i wtedy nadrobimy zaległości. Najpierw będzie „Cztery razy po dwa razy, osiem razy raz po raz. O północy ze dwa razy i nad ranem jeszcze raz” — nuci, czego nigdy nie robił.

— Kazesz mi aż dwa dni z okładem czekać na to, na co teraz miałam taką ochotę?

— Może jeszcze dziś nadarzy się okazja — odpowiada niepewnie Marek, oglądając tigrę zza firanki.

— Po kolacji urzniesz się z Nikosem jak arcybiskup albo jeszcze bardziej niż Ryży, bo Gienek jako poseł ze chce trzymać fason — przewiduje Magda. — Będę musiała zatargać cię do łóżka, rozebrać i rano podać coś na kaca. Przecież ty, kochany, nie znasz umiaru w piciu alkoholu.

— Jestem pisarzem, czyli artystą, jak się kiedyś mówiło, inżynierem dusz, a organizm każdego artysty do twórczego funkcjonowania potrzebuje dużo ognistego paliwa. Czy znasz dobrego fachowca, który nie pije?

Magda już nie słucha, pociągnąwszy usta błyszczkiem, zbiega po schodach do salonu, stamtąd przez taras na podwórko i wyciąga ręce do Iny. Marek podąża za żoną niby cień, staje z boku i przypatruje się Inez. Znowu nie dostrzega nawet pyłku pudru na jej policzkach, widzi za to ślady po zgolonych wąsach, brwi niewyskubane, pewnie już siwiejące, bo podczernione, włosy ufarbowane na kolor wypłowiałego hebanu i obcięte na pazia, sprane džinsy na wąskich biodrach. W rowku między pągóreczkami piersi dynda złoty krzyżyk na łańcuszku. Inez wygląda jak chłop od kosy, powtarza Marek w myślach to, co tyle razy mówiła przy nim Magda, gdy wracali ze zjazdu. Imię też ma takie, że trzeba długo główkować, aby domyślić się, jakiej jest płci. Kiedyś spytał żonę, co Inez ma tam, gdzie schodzą się nogi. Magda nie odpowiedziała, tylko kazała mu puknąć się w czoło, jakby zadał pytanie bez sensu.

— Nieszczęśliwa osoba — podsumowała, a Marek dalej nie wiedział, kogo więcej w Inez: kobiety czy mężczyzny.

— Ja pierdołę, znowu zablądziłam — przyznała się Ina. — Pamiętałam, kurwa, że macie domek gdzieś niedaleko Sławy w miejscowości o leśnej nazwie. Zerknęłam na mapę, jest Lubiatów, Lubogoszcz, Radzyń... Najbardziej

mi pasowało Dębowo. Pojechałam więc tam, spytałam w sklepie. Ni chuja. Poszłam do sołtysa, wymieniam nazwisko. Taki tu nie mieszka. Nikt we wsi nie słyszał o żadnym pisarzu i jego domku. O, kurwa, mam przesrane.

— Po pierwsze, Marek podpisuje swoje książki pseudonimem Edward Władysław Zofisyn. Po drugie, Jodłowo, Ina, albo Jodłów, bo obie nazwy funkcjonują — kolejny raz Magda wbija jej do głowy nazwę letniska. — Dębowo leży po drugiej stronie Jeziora Sławskiego. Tam jest tradycyjna wieś z muczącymi krowami, kurami grzebiącymi na podwórkach, pyrkaniem traktorów. Co innego tutaj. Domek obok domku, a niektóre jak pałace czy dworki szlacheckie za wysokim płotem, z kortami tenisowymi, basenami, w cieniu palm. Na posesji profesora politechniki rosną nawet drzewa pomarańczowe i, wyobraź sobie, owocują.

— U was, kurwa, też jak w ciepłych krajach — zauważa Inez, pokazując oczyma na agawy w ceramicznych donicach, wygrzewające się w słońcu.

— Na zimę Marek wnosi je do garażu. Wtedy troszkę chorują, więc muszą dostawać większą dawkę specjalnej odżywki. Do czego jak do czego, ale do roślin mój mąż ma rękę.

Inez kiwa głową z podziwem. Rozgląda się po podwórku, zapuszcza wzrok aż za płot do sąsiada, jakby czegoś szukała.

— Przyjechałam pierwsza czy mi się tak wydaje?

— Nie licząc nas, druga — oznajmia Magda.

— Druga? — dziwi się, a dostrzegając niemiecką tabliczkę rejestracyjną na passacie, dodaje złośliwie: — Niemra mnie wyprzedziła. Najdalej ma i jest pierwsza? Kurwa, tęsknota musiała popędzić jej kota.

— Marek mówi, że Jadźka przyjechała wczoraj w porze kolacji. Nawet zajęła ci miejsce w pokoju na poddaszu.

Inez krzywi usta z dezaprobatą.

— Nie będę z nią spała w jednym pokoju, ponieważ ona zawsze przypierała się do mnie bez powodu. Wolę z Nataką. Ta przynajmniej jest delikatna i nie wypycha nosa w cudze sprawy.

— A gdzie Niemra się zadekowała? — Magda pyta Marka.

— Gdzież by, jeśli nie w swoim pokoju. Odpoczywa po podróży. Jechała taki kawał drogi...

— Musieliście długo figlować, skoro sen zmorzył ją w samo południe.

Uwagę żony Marek puszcza mimo uszu. Jeszcze w nocy wytrzepał poduszki i prześcieradło, ale coś po Jadźce mogło pozostać pod kołdrą. Nie będzie awantury, jeśli dopiero za kilka dni Magda znajdzie ciemny włos, nawet nie spyta, czyj to, tylko zrzuci go na podłogę, uznając za swój albo przypadkowy. Ale gdyby dziś Magda znalazła świeży ślad kobiecej obecności w ich łóżku małżeńskim, to wybuch wojny domowej byłby pewniejszy niż zmiana pogody.

## **Pola i Nikos spóźnili się jedenaście minut**

Zegar w kuchni wybija dwunastą. Magda zarzuca torbę Iny na ramię i prowadzi ją do pokoju na poddaszu, gdzie spodziewa się zastać Jadżkę w łóżku. Spyta, co ją tak przypiliło, że na ten zjazd przyjechała pierwsza. Pewnie znowu pokłóciła się z Gottliebem albo faktycznie, jak opowiada, ma dość niemieckiej mowy, leśnych dziadków i tego wszystkiego, co widzi z okna swego domu. Im Jadżka jest starsza, tym częściej wspomina o powrocie do Polski.

Marek zawisa łokciami na furtce, zaraz powinien zobaczyć peugeota z wałbrzyską rejestracją. Pola i Nikos zapowiedzieli swój przyjazd w samo południe. Są tak punktualni, że wedle nich można regulować zegarki.

— Ja cię nie mogę — podziwia tigrę sąsiad. — Pana koleżanki to same nadziane kobiety.

— Owszem, koleżanki, tyle że mojej żony. Nie udają, a pracują sumiennie, to i mają czym się pochwalić. Takie czasy.

— Pan też sumiennie pracuje i czym jeździ?

— Najlepszym samochodem świata, jak twierdzi mój trzyletni wnuczek. Czyli pandą.

— A powinien pan mieć co najmniej alfę romeo.

— Przyzwyczaiłem się do produktów koncernu Fabbrica Italiana di Automobili Torino. Od trzydziestu kilku lat jestem wierny jednej kobiecie, jednej marce aut, jednej...

— Powiedzmy — przerywa sąsiad i uśmiecha się dwuznacznie.

Czyżby wczorajsze ochy i achy Jadźki nie dały mu spać? Marek mierzy wzrokiem odległość od okna sypialni do domku sąsiada. Celnik mógł słyszeć każdy okrzyk, tym bardziej że Jadźka miesza słowa polskie z niemieckimi. W czasie chłodnej nocy nawet językowy koktajl nie napotyka na przeszkody. Co innego w dzień, kiedy powietrze gęstnieje od pyłu i potu.

— Zapomniałem wyjaśnić: koleżanki mojej żony pracują, a nie podpisują listę obecności — puentuje Marek niezbyt elegancko.

Sąsiad prostuje się, wypina brzuch, podchodzi do furtki i otwiera usta, aby powiedzieć, jaka to mordęga być celnikiem na granicy polsko-niemieckiej, gdy na zakręcie najpierw pojawia się chmura kurzu, za nią czerwony peugeot.

— Wałbrzyszanie — obwieszcza Marek, wychodząc na drogę.

Sąsiad przytakuje z zaciekawieniem, jakby i on czekał na gości.

— Ostatni raz wsiadłam latem do twojego samochodu. — Palcami obu rąk Pola odrywa bluzkę od piersi i wdmuchuje pod nią powietrze. — Nikos, panie i władco mój, tak się nie da podróżować. Bezwzględnie musisz zainstalować urządzenie klimatyzacyjne. W przeciwnym razie nigdy nie wsiądę do twego samochodu.



— Wywalić forszę na klimę? W naszym klimacie to nie ma sensu — odpiera atak żony Nikos. — Ile w Polsce trwa la-lato? Od czerwca do sierpnia. Niecałe trzy mie-miesiące.

— Będzie dłuższe, ponieważ każdego roku klimat ociepla się prawie o jeden stopień.

— Chyba w ska-ali Fa-fahrenheita. — Nikos, gdy się zdenerwuje, zaczyna się jąkać, tak że trudno go zrozumieć.

— Nie. W obowiązującej w europejskiej części świata skali Celsjusza.

— W Polsce ocie-ocieplenie? Pewnie nad Mo-morzem Egejskim.

— Jako szefowa oddziału kontroli środowiska wiem więcej niż ty, ludowy działacz i urzędnik państwowy wypędzony na wcześniejszą emeryturę.

— Źle ci? Z uczelni wracasz do domu, a tam świeży o-obiadek cze-czeka na ciebie — odgryza się Nikos.

— Proszę cię bardzo, abyś nie wdawał się ze mną w dyskusję. To nie ma sensu.

— Jak Kuba Bogu...

— I przypominam ci, że dysertację doktorską zrobiłam z fascynacji przyrodą w polskiej poezji współczesnej. Habilitowałam się z wpływu przyrodolecznictwa na twórczość poetów lingwistów — nie ustępuje Pola.

— ...tak Bóg Kubie.

— Skoro było cię stać na najnowszy model peugeota, nie powinieś żałować pieniędzy na klimę. Zresztą dostałeś odprawę emerytalną to i masz za co.

— Za odprawę kupiłem te-tego pe-peugeota.

— Spóźniliście się jedenaście minut — Marek pokazuje na zegarek, przerywając zwadę. Nie wie, czy tym, co za chwilę powie, nie ściągnie na siebie piorunującego spojrzenia Poli, ale nie znajduje w swojej głowie lepszego sposobu rozładowania napięcia, więc mówi: — Tyle, to znaczy jedenaście minut, trwa przeciętnie stosunek seksualny.

— Myślisz, że dlatego się spóźniliśmy? Z zegarkiem w rękę obliczyłeś, ile minut zajmuje coś takiego?

— Ja, gdy coś jest dla mnie bardzo ważne, nie patrzę na zegarek. Co innego niezły i ostatnio modny prozaik brazylijski, którego książki pewnie znasz. Ile trwa stosunek seksualny, obliczył Paulo Coelho, pisząc powieść właśnie pod takim tytułem.

Pola nie usłyszała albo nie zrozumiała tego, co powiedział Marek, zebrawszy myśli, najpoważniej minuta po minucie rozlicza się ze straconego czasu:

— W Legnicy już mieliśmy niewielkie spóźnienie. Po drodze wysłałam do was dwa esemesy. Oba wróciły z informacją, że nie można dostarczyć wiadomości.

— Nie wszystkie sieci telefonii komórkowej w pobliżu Sławy mają swoje dobrze ustawione maszty. W zależności od stanu pogody zasięg jest albo zanika. W taki upał jak dziś trzeba wyjść na cypel i stamtąd rozmawiać przez telefon. Co innego w zimie.

— Byliśmy w Indiach. Wyobraź sobie, że codziennie telefonowaliśmy do naszego dziecka, raz nawet aż spod granicy pakistańskiej. Słyszalność idealna. Ile to kilometrów?

— Z Wałbrzycha na Okęcie prawie sześćset i do Waranasi co najmniej czte-cztery ty-tysią-ące — odpowiada Nikos.

— Jest pan w błędzie — nie zgadza się sąsiad. — Cztery tysiące będzie do New Delhi. Stamtąd do świętego miasta Waranasi jeszcze półtora tysiąca kilometrów w linii prostej.

— Możliwe — ustępuje Nikos. — W każdym razie bez tru-trudu łączyliśmy się z na-naszym dzieckiem... A skąd pan t-t-tak do-obraze zna Indie? Też zwiedzał pan ten kraj? Kiedy? Na ja-jakiej trasie? Żołądek nie wytrzymał, co?

— Najdalej byłem nad Balatonem. A świat znam, bo jako kierownik zmiany w urzędzie celnym muszę znać. Każdego roku biorą nas na kurs, potem robią egzamin z geografii i zmian w przepisach.

— Rzeczywiście bardzo trudno dodzwonić się do Jodłowa — potwierdza Marek. — I dlatego jest to najlepsze miejsce na świecie dla pisarza. Tu każdy jest zdany wyłącznie na siebie. Czasem na Ryżego i sklepowego oraz jego żonę.

Żadne nie spytało, kim jest Ryży, jakby wszyscy wiedzieli, że w każdej wsi ktoś taki musi być.

## Nikos czytał ostatnią powieść Marka

— Nad czym teraz pra-pracu-ujesz? — pyta Nikos, otwierając już drugą puszkę piwa.

— Mam szczerzy zamiar napisać powieść z podtekstem psychologicznym o wzajemnej pomocy w starszym wieku, pod roboczym tytułem *Zjazd koleżeński*. Z doskoku pracuję nad nią od miesięcy. Zaraz po waszym wyjeździe z Jodłowa wezmę się za solidną robotę. Czekam jeszcze co najmniej rok orki od świtu do zmroku i drugie tyle przekonywania wydawcy, że to nie byle co — odpowiada Marek nieszczerze.

— Czyżby książek autora z takim nazwiskiem jak two-oje nie chcieli drukować? W kiosku na naszym osiedlu w Wałbrzychu wi-widziałem coś twojego.

— Za socjalizmu ograniczenia wydawnicze osiągały jedynie tego autora, który atakował władze i system. Wtedy to się bardzo opłacało, bo zaraz pojawiał się ktoś związany z opozycją i robił wszystko, żeby książka ujrziała światło dzienne w Maisons-Laffitte pod Paryżem, Chicago czy Londynie. Wydawca płacił zielonymi, za które mogłeś żyć jak książę. Czyj maszynopis przekroczył granicę państwową, miał przechłapane u władz, bo zrobił je w konia, i był na ustach piszących, bo udało mu się je wykiwać. Kogoś takiego rządzący skazywali na nieistnienie, ale zostawał bohaterem środowiska literackiego. Teraz władze tak często się zmieniają, że nie zdążą przeczytać nawet tego, co napisali autorzy im sprzyjający.

— Tu się zgadzam.

— Wśród dzisiejszych wydawców książek i gazet dominują wczorajsi handlarze zegarkami, proszkiem do prania czy nawet kartoflami. Oni są nowi w branży, dlatego chcą przede wszystkim zarabiać i odbierać hołdy na salonach. Zanim podpiszą umowę z autorem, każą księgowemu dokładnie wyliczyć zysk, żeby mieli na pałac, na służbę, na napiwki, na łapówki. Nie powinni dokładać do wszystkich książek, ale powinni ryzykować. Dziś, Nikos, jeśli nie jesteś znajomkiem wydawcy, nie istniejesz jako autor. Chyba że nazywasz się Mrozek albo Chmielewska, ewentualnie Krajewski.

— Ten od kry-yminałów o Breslau i Lwowie?

Ku radości Nikosa Marek przytakuje i ciągnie dalej:

— Wyobraź sobie Wiesława Myśliwskiego, który przychodzi do wydawnictwa z powieścią i zamiast zacząć od tego, kim jest i co napisał, pokornie pyta, jaką szansę ma jego nowa książka. Niech pan zostawi maszynopis w sekretariacie, usłyszysz od portiera. Przeczytamy i odpowiemy. Po miesiącach odpowiadają na papierze firmowym: z przykrością informujemy, że nie skorzystamy z pierwszeństwa druku.

— Ano, tak to jest — wtrąca z poważną miną Nikos, jakby akceptował to, co drażni Marka.

— Na szczęście dla mnie moje nazwisko literackie nie oznacza pustego dźwięku w wydawnictwie Monte Verde. Wydrukują wszystko, co napiszę, i odpowiednio do wartości książki zapłacą. Dzięki temu wydawnictwu jako autor istnieję na rynku księgarskim.

Nikos wyciąga się na leżaku, palce dłoni splata z tyłu głowy, wzrok zapuszcza aż do ruin kuźni, jakby tam szukał pytania, które powinien zadać Markowi. Czytał jedynie to, co mu Pola podsuwała, a ona zawsze miała uszy otwarte, to i wiedziała, co wziąć w ręce, aby w towarzystwie wypaść nie najgorzej.

Marek czeka, kiedy usłyszysz, czy Nikosowi podobała się jego ostatnia powieść. Jak wszystkie poprzednie, tak i tę wysłał do Wałbrzycha z dedykacją i życzeniami przyjemnej lektury. Z opinią takich czytelników jak Nikos nigdy się nie liczył, byłoby mu jednak miło, gdyby usłyszał kilka zachwytów. Mimo iż stara się naprowadzić Nikosa na ścieżkę czytelniczą, ten ciągle gapi się na ruiny kuźni. Co on tam wypatrzył? Będę musiał kazać Ryżemu postawić wysoki płot albo posadzić bluszcz, żeby zasłonił ten bałagan.

— Czytałeś moją najnowszą książkę?

— O-o-oczywiście. Najpierw Po-polusia, potem ja.

— I jak oceniasz to, co wyszło spod mojego pióra?

Nikos patrzy na Marka z lękiem, jakby nie wiedział, co powiedzieć, żeby go nie urazić.

— Ciekawe spojrzenie.

— Tylko tyle?

— No, inte-eresujące.

— Może zauważyłeś coś, co powinienem być mocniej zaakcentować? Na co liczyłeś, a zabrakło tego w powieści. Czego się spodziewałeś? Jako czytelnik odczuwasz jakiś niedosyt?

— Nie.

Bez książek Nikos też byłby szczęśliwy, uważa Marek i nie ma do niego pretensji. Czyta dlatego, że Pola go do tego przymusza. Zresztą ona też sięga po książki nie z własnej woli i potrzeby, ją mobilizuje otoczenie. Dopiero gdy zostanie emerytką, będzie zajmowała się tym, co lubi, czyli wyszywaniem serwetek w przyrodnicze motywy.

— Co robisz w wolnym czasie? Jako w miarę młody emeryt bez specjalnych zainteresowań musisz mieć go za dużo.

— Dwa razy w tygodniu chodzę na basen, w każdy piątek podlewam kwiaty, w sobotę od-odkurzam, w niedzielę jak nie na festyn, to idę do lasu, w co trzeci poniedziałek m-mam zebranie związku emerytów. Codziennie rano kupuję gazetę i pół chleba, bo wędliny i inne zakupy są na głowie Po-polusi. Od czasu do czasu występuję w sądzie jako tłu-umacz przysięgły z polskiego na grecki i odwrotnie. Ra-az w miesiącu spotykamy się w gronie byłych wicewojewodów z województw Dolnego Śląska. Zbiera się nas czasem i ośmiu.

— Po co?

— Żeby przedyskutować bie-bie-eżącą sytuację polityczną. Wymienić poglądy. Dokonać o-oceny zmian kadrowych na-a najwyższych szczeblach władzy.

— Kto was słucha?

— Przynajmniej jesteśmy w po-porządku wo-wobec siebie.

— Nie szkoda ci czasu? Przecież nie wrócisz do urzędu. Młodzi traktują takich jak ty jak skamieliny z epoki lodowcowej.

— Im brakuje doświadczenia, a ja je mam. Powinni t-to wziąć po-od uwagę.

— Komputer pewnie włączysz, ale nie wiesz, na który klawisz nacisnąć, żeby z niego korzystać. Nie znasz angielskiego.

— A od czego są a-a-asystenci?

— Gdybyś miał ogródek, polował, zbierał grzyby... Nie narzekasz na nadmiar wolnego czasu?

— Nie. A ty?

— Ja przede wszystkim jestem niewolnikiem pisania. Mam też i inne zajęcia, wprawdzie mniej absorbujące. Na przykład latem przynajmniej raz w tygodniu muszę wykosić trawę przed domem, co miesiąc strzygę żywopłot, w upalne dni późnym wieczorem podlewam kwiaty i warzywa na grządkach. Daje mi to tyle radości... Po każdej nowej książce robię serię spotkań z czytelnikami. Bywa, że z rana jestem w liceum w Sanoku, w południe wpadam na uniwersytet w Rzeszowie, a wieczorem odpowiadam na pytania w Zamościu. Następnego dnia tempo identyczne. I tak nawet przez tydzień, dwa.

Nikos znowu splata palce dłoni za głowę i wbija wzrok w ruiny kuźni.

— Skąd bierzesz pomysły do swoich książek? — Nareszcie zadaje takie pytanie, jakie Marek słyszy na



każdym wieczorze autorskim. — Gdy czytałem ostatnią t-twoją po-powieść, tę o aktorze, który wyjechał do Kana-ady, nadziwić się nie mogłem, że tyle tam zaskakujących szcze-szczegó-ółów.

Marek chciałby odpowiedzieć inaczej, niż robi to podczas spotkań z czytelnikami, ale nic mądrego nie przychodzi mu do głowy. Mówi coś o talencie, umiejętności obserwacji, słuchaniu i kojarzeniu niezwiązanych ze sobą zdarzeń, podpatrywaniu innych pisarzy i notowaniu ich złotych myśli w zapiśniku.

— O-oczywiście tę nową książkę, którą dopiero napiszesz, przyślesz Polusi i mi. Z de-edykacją — przypomina Nikos. Marek kiwa głową. — A o czym ona będzie?

— O Poli, o Beacie... o tobie... Nikos, masz okazję przejść do historii literatury. Pod warunkiem że zrobisz coś, co będzie warte zanotowania i poinformowania o tym czytelników.

---

Z ZAPIŚNIKA

---

*Otóż należę do kategorii autorów, którzy rozpoczynają pracę nad książką wyłącznie po to, żeby wreszcie mieć tę książkę z głowy, a proszeni o opisanie jej źródeł i rozwoju sięgać muszą po takie starożytne określenia, jak Interakcja Inspiracji z Kombinacją — co brzmi, przyznaję, jakby magik dla objaśnienia jednej sztuczki wykonywał inną.*

Władimir Nabokov, *Lolita*

---

## **Pola chce wiedzieć, dlaczego Marek odszedł z gazety**

— Podoba się wam, chłopaki, passat Jadźki, co? — pyta Pola, zaglądając do wiadra z zimną wodą, gdzie się chłodzą puszki piwa i coca-coli. — Ile takie cacko może kosztować? Nas na pewno nie stać.

— Szko-oda pieniędzy — odpowiada Nikos. — Lepiej kupić peugeota i dwa ty-tygodnie spędzić na Belle Mare.

— Gdzie? — Magda robi pytającą minę. Nigdy nie słyszała o takiej miejscowości, a zwiedziła pół świata i przejrzała chyba wszystkie katalogi firm turystycznych.

— Wczasowisko na Ma-mauritiusie, wyspie w archipelagu Ma-askarenów, przy wschodnim wybrzeżu Afryki na Oceanie Indyjskim. Na tamte-ejszych plażach polską mowę słyszy się tak samo często jak w Kołobrzegu.

— Ruską jeszcze częściej — komentuje Pola.

— A gdzie ich nie spotkasz?

— Na razie na Księżycu.

Marek przypomina sobie, że na Mauritiusie, wtedy kolonii brytyjskiej, po raz pierwszy w dziejach poczty wydano znaczek z błędem. Dziś za tę czarną jednopensówkę można kupić tuzin passatów i jeszcze zostanie na beztroskie podróże do miejsc ciekawszych niż Belle Mare.

— Ile taka wycieczka kosztuje?

— Prawie tysiąc e-euro na osobę. Plus gotówka na-a napiwki i upominki. Żeby przez dwa tygodnie czuć się swobodnie, trzeba wybulić co naj-najmniej półtora patola.

— Dziś na taki wydatek mnie nie stać. Muszę usklądać na założenie centralnego ogrzewania w naszym domku. Mam zamiar mieszkać w Jodłowie od jesieni do jesieni.

— Gdybyś pozostał w redakcji... — zaczyna Pola i urywa. — Swoją drogą, jestem bardzo ciekawa, dlaczego na pięć lat przed ustawową emeryturą zrezygnowałaś z nieźle płatnej pracy w gazecie. Nikos też został wcześniej emerytem, ale on nie miał wyboru. Mój mąż musiał zwolnić miejsce dla kochanki bubka z rządzącej partii.

— Ano, tak to jest — kiwa głową Nikos, jakby się pogodził z tym, co go spotkało.

— Dałeś się ogolić na sucho. Po tylu latach nienagannej pracy w jednym miejscu. Mówiłam: Nikos, weź dobry przykład z żony.

— To znaczy? — zaciekawia się Magda, puszczając oko do Marka.

— Czułam, że dyrektor ma zamiar przeprowadzić tak zwaną reorganizację w inspekcji, to znaczy na moje miejsce przyjąć kogoś z polecenia szefa swojej partii. Zaprosiłam więc mego proboszcza na domowe rekolekcje.

— I jakiej rady ci udzielił?

— Musi pani zapisać się do partii aktualnie mającej władzę. Jeszcze się nie zdarzyło, aby partyjni pozwolili skrzywdzić swego członka. — Pola milczy, jakby czekała

na pochwałę, że dobrze wybrała. — Za wiele rzeczy jestem wdzięczna Kościołowi, a za tę szczególnie. Nie sądzicie, że mam dług wobec proboszcza. Prywatnie dałam na mszę dzięczynną i służbowo przyjął na ryczałt kapelana naszej placówki.

— Jak pamiętam, polityka drażniła cię jeszcze bardziej niż sport.

— Akurat kolega z poprzedniej pracy zadzwonił do mnie, abym zapisała się do ludowców, znałam go od dawna, więc dla świętego spokoju podpisałam deklarację. Mówił, że od tego, o ile zwiększy szeregi partyjne, zależy jego kariera. Może nawet będzie kandydował na wicewojewodę. Dobrze jest mieć znajomego na poważnym stanowisku. To było w piątek rano, a w poniedziałek wieczorem kolega został prezesem stronnictwa w powiecie i natychmiast dostał zadanie: znaleźć kandydata na stanowisko szefa oddziału w Wałbrzychu. Wrocław postawił dwa warunki: to musi być kobieta z tytułem naukowym co najmniej doktora.

— Ochroną środowiska chyba powinien kierować przyrodnik, a ty jesteś doktorem nauk humanistycznych.

— Moja droga Madziu, kto dziś zwraca uwagę na takie drobiazgi? Doktor i już. Dentysta też by przeszedł, byle chodził w spódnicy. Zresztą jak potem prawica przejęła władzę, to sytuacja się powtórzyła.

— Znowu jakiś kolega z pracy namówił cię, abys przeniosła się do jego partii — zgaduje Magda.

Pola przytakuje i się uśmiecha zadowolona.

— Jeszcze Nikosikowi nie groziło odwołanie, ale już było wiadome, kto zostanie nowym wojewodą dolnośląskim. Mówię mu: Nikos, zmień partię. Najlepiej na tę samą, do której należy kandydat na nowego wojewodę. Zechcesz, pójdziesz na zebranie, ale nie musisz. Składkę, trudno, trzeba zapłacić. Zresztą emeryci i studenci mają ulgę. A on do mnie jakby dopiero się urodził: ideologicznie taka prawica mi nie odpowiada. W żyłach mego ojca płynęła lewicowa krew, dlatego musiał uciekać z Grecji do Polski. Jeszcze by z grobu wstał i wytargał mnie za uszy, gdyby się dowiedział, że zmieniłem orientację polityczną na prawicową. Nasz wnuk też musi mieć serce z lewej strony.

— Wreszcie będziecie babcią i dziadkiem? Kiedy? — błyska pytającymi oczyma Magda.

Pola nie odpowiada, a Nikos, nabrawszy powietrza do płuc, robi się czerwony na twarzy, po chwili długo wypuszcza je z sykiem.

— Chyba na tę wcześniejszą emeryturę nie wypędzili cię z gazety, Marku? Odszedłeś sam, z własnej woli, prawda? — docieka Pola.

— Prawda. Sam. Miałem do wyboru: albo, zacisnąwszy zęby, kląć w duchu i się przyzwyczajać do zmian zachodzących w redakcji, albo zostać wcześniejszym emerytem. Gdyby nie tytuł nad przełamaniami na pierwszej stronie, nie zgadłabyś, gdzie wychodzi gazeta. Redaktorzy uważają, że najlepiej wiedzą, czego potrzebuje czytelnik. Zamiast przede wszystkim pisać o tym, co się

dzieje wokół nas, w zasięgu wzroku, wymyślają tematy i je ilustrują naciąganyymi przykładami. To, co jest w dzisiejszych gazetach, niewiele wspólnego ma z dziennikarstwem. W redakcjach najważniejsi są specjaliści od marketingu, reklamy i dystrybucji.

— Widzisz, Poluś, teraz wszę-ędzie zachodzą zmiany — pociesza się Nikos, oczekując, że żona wreszcie przestanie mu dokuczać. — Pieniądze już nie są na pierwszym miejscu i nie mają takiego znaczenia jak...

— Mają, mają, Nikos — przerywa mu Marek. — Ja pracowałem dla satysfakcji i dla pieniędzy. Jeszcze kilka lat temu, gdy gazeta była w rękach polskiego wydawcy, zapieprzałem za niemałe pieniądze. Skończywszy większy tekst, liczyłem, ile zarobiłem. Na zlecenie, czyli dla pieniędzy, pisałem nawet takie artykuły, których się wstydziłem. Jednego nie robiłem: nie wyciągałem rąk po łapówki czy prezenty. Brałem pieniądze za pracę. Bo ja, w przeciwieństwie do moich rówieśników w zachodnich Niemczech, Francji, Belgii, niewiele miałem, a chciałem mieć domek nad jeziorem, samochód, jeździć z wycieczką za granicę. Wtedy zacząłem rozumieć małoletnie prostytutki. W dzisiejszym świecie, Nikos, wszystko jest do sprzedania i do kupienia.

— Honor też?

— Honor istnieje w bajkach. W życiu zastąpiła go zarozumiałość. Czasem spotyka się ludzi z ambicją. Ja też byłem ambitny, ale nie do przesady. Zawsze uważałem, że jeśli będę dobrze wykonywał swoją pracę, to ktoś na

górze mnie zauważy, czyli lepiej zapłaci, pochwali, przyzna premię, wyśle na swój koszt na konferencję zagraniczną, poda jako przykład.

— Pewnie za dużo przeczytałeś powieści z morałem — śmieje się Pola.

— Właściwie to odszedłem z gazety z jeszcze innego powodu.

— Był jakiś trzeci powód? — Magda robi wielkie oczy i prostuje plecy.

— Do niedawna uważałem, że mimo wszystko swoim pisanem zmieniam umysły ludzi. Części na pewno nie podobały się moje artykuły. Była również część, i to chyba niemała, do której trafiałem. Ci pisali do mnie listy, telefonowali, kłaniali się na ulicy.

— To miłe — wtrąca Pola.

— Dopiero gdy jesienią zeszłego roku skrytykowana posłanka powiedziała, że moje teksty mają takie znaczenie jak ujadanie wiejskich kundli, podjąłem męską decyzję. Ja nie pasuję do zmieniającej się błyskawicznie elektronicznej rzeczywistości. Do tego wyścigu młodych szczurów. Gdybym skończył studia plastyczne, księgowe albo był po kursie suwnicowych... ale ja niczego poza pisanem nie potrafię.

— Byłeś czwartą władzą — przypomina szorstkim tonem milcząca do tej pory Inez. — Dziennikarz to zawsze, kurwa, ktoś. Przed kim politycy, urzędnicy, nawet zwykli ludzie srają ze strachu?

— Nie przed dziennikarzami, lecz snajperami albo terrorystami, jak się mówi o tych prezenterach, którzy

niespodziewanie pojawiają się w okienku telewizyjnym i nagle znikają. Oni nie pytają, nie chcą wiedzieć, co człowiek ma do powiedzenia. Oni strzelają do zaproszonych osób. Dziś wieczorem są, atakują pytaniami, a może bardziej gotowymi stwierdzeniami, jutro rano już ich nie ma. Zachowują się jak sezonowi partyjniacy. A ja nigdy nie goniłem za sensacją. Moi koledzy, ci od sensacji, szybko zbierali materiał, szybko pisali artykuł i szybko o nim zapominali. Oni szli z redakcji do pubu na piwo, ja wracałem do domu. Tu międlilem w sobie: czy tym, co napisałem, na pewno kogoś nie skrzywdziłem, czy z obłoconymi butami nie wszedłem w czyjeś życie, ilu zrobiłem sobie wrogów, ilu osobom pomogłem... Czytelnicy nie pamiętają nazwisk tych od sensacji. Moje nazwisko tkwiło w ich pamięci. I tkwi nadal, o czym przekonują mnie podczas spotkań autorskich. Część przychodzi na te spotkania nie dlatego, że napisałem nową powieść i można zdobyć mój autograf, ale żeby posłuchać tego, który nie bał się bronić skrzywdzonych, słabszych, mniej zaradnych.

— Ano, tak to jest — wzdycha Nikos.

Inez wcisnęła głowę w ramiona i zerka na Magdę zazdrosnymi oczyma.

— Jednak mam tę przewagę nad innymi niewolnikami pióra, że do czego nie udało mi się dojść w gazecie, osiągnę, bardzo na to liczę, w literaturze.

— A ja w miarę swoich możliwości będę cię wspierała, miśku — zapewnia Magda, przytulając się do Marka.



— Myślałam, że zainteresuje cię sprawa odesłania Nikosa na wcześniejszą emeryturę. Moim zdaniem powinna ona trafić do rzecznika praw obywatelskich — mówi Pola z żalem. Jeszcze przed chwilą była przekonana, że Marek napisze artykuł w obronie jej męża. — Wyobraźcie sobie, że nowy szef Nikosa znalazł paragraf, wedle którego urzędnikiem państwowym w Rzeczypospolitej może być wyłącznie osoba narodowości polskiej. Chodzi o certyfikat dopuszczający do tajemnicy zawodowej czy coś podobnego. Przecież był wicewojewodą odpowiedzialnym za rolnictwo... Jakaż вина Nikosa w tym, że gdy miał dwa lata, ojciec wywiózł rodzinę do Polski? Tu nauczył się języka, skończył studia, ofiarnie pracował...

— Gdybym pracował mniej o-ofiarnie, t-to znaczy nie należał wtedy do stronnictwa, dziś dostałbym medal za zasługi dla Polski. Nic t-to, Poluś — uspokaja żonę Nikos.

— Sralis mazgalis — odzywa się Inez, zezując na Magdę, jakby prosiła o wsparcie.

## **Natalia też przyjechała**

Pola spogląda na zegarek, jakby się jej spieszyło albo na kogoś czekała, a on nie przychodzi, mimo że zawsze jest punktualny. To nawyk wyniesiony z uczelni. Nigdy nie zaczyna zająć minutę wcześniej ani minutę później i stara się planowo je zakończyć. Nie lubi, gdy studenci

wchodzą w trakcie wykładu, szwendają się po sali w poszukiwaniu wolnego miejsca, przesuwają krzesła i przepraszają ją za zakłócanie ciszy. Wolałaby, aby spóźnialscy się nie odzywali. Gdyby przedłużyła zajęcia choćby o pół minuty i dowiedział się o tym dyrektor instytutu, zaraz by ją wezwał do swego gabinetu, posadził na wprost biurka i pouczył, że daje zły przykład. Wykładowca w państwowej wyższej szkole zawodowej musi być wzorem do naśladowania. Co innego na uniwersytecie, gdzie ważniejsze są sukcesy naukowe od pedagogicznych i każdy się popisuje, a już najbardziej młodzi doktorzy w zastępstwie swoich szefów prowadzą wykłady.

— Obiadokolację zaplanowaliśmy na wczesny wieczór, jak wszyscy przyjadą. Jeśli ktoś już jest głodny, to przygotuję przegryzkę. To jak, robić coś czy czekamy na resztę? — Magda wstaje i patrzy na brzuch Nikosa wystający spod zapiętej na jeden guzik koszuli.

— Bez picia nie, za to bez jedzenia wytrzymam nawet dobę. Jak trzeba, to i więcej.

— Ja też — odpowiada Marek.

— Beata i Gienek lubią, żeby na nich czekać, to na pewno zjawią się w ostatniej chwili. Nie wiadomo, kiedy przyjedzie Nata.

— Okej, już jestem! — woła Natalia zza płotu.

Marek chce spytać, dlaczego nie zadzwoniła na komórkę. Pojechałby do Sławy i odebrałby ją z przystanku autobusowego, lecz przypomniał sobie, że w Jodłowie czasem brak zasięgu mniej znanych sieci. Pewnie Natalia

kupiła najtańszy telefon, z którego można się dodzwonić tylko do większych miejscowości, w których poblizu stoją wieże z odbiornikami sygnałów.

— Autobus był w Sławie nawet kilka minut przed planowanym przyjazdem. Spytałam kierowcę, czy jak go ładnie poproszę, to zatrzyma się przy drogowskazie do Jodłowa. Pospieszny, on na to, i że zatrzymywałby się w każdej wiosce, gdyby nie pasażerowie. Zaraz zaczną się drzeć: za co płacimy tyle pieniędzy, skoro on jedzie jak zwykły?! Doniesie ktoś do prezesa, ciachnie mi po premii albo przeniesie na podrzędne linie. O robotę, kurde, nie jest łatwo. — Oczy Natalii jeszcze są pełne zrozumienia dla kierowcy. — Usiadłam na torbie i myślę, czym się do was dostać. Najlepiej taksówką, ale to słono kosztuje, a ja jestem emerytką z dolnej grupy, każdy grosz ma swoje przeznaczenie. Wtedy mój anioł stróż podpowiedział, abym przeniosła się z przystanku na parking przed restauracją. Tak zrobiłam. Spytałam jednego młodzieńca, czy może jedzie do Jodłowa. W przeciwną stronę, do Lubiatowa. Spytałam drugiego. Ten tylko do Radzynia. Już szłam do trzeciego, a tu słyszę: pani chce się dostać do Jodłowa? Może do pana Edwarda? Na ten zjazd polonistek? Jakiego pana Edwarda? Okej, na zjazd koleżeński, ale do Magdy i Marka. Dopiero po chwili przypomniałam sobie, że Marek podpisuje swoje książki pseudonimem Edward Władysław Zofisyn.

— Ślicznie dziękujemy, panie sąsiedzie! — woła Magda, słysząc, jak celnik zamyka samochód w garażu. —

Poprzednim właścicielem domku był policjant z Głogowa. Bez kija nie podchodź do niego. Kiedyś, jeszcze Marek jeździł złocistym fiatem punto, posprzeczali się o psa, który wykopał dziurę pod siatką. Tamten założył mundur, wyszedł na drogę i kazał Markowi dmuchać w balonik... A ten sąsiad jest miły, usłużny i gdy założy na siebie mundur, przystojny. Z takim nie wstyd...

— Nie dowiedziałam się, czy samotny. Może wdowiec?

— Na moje oko: żonaty i dzieciaty — odpowiada Marek, z czego Natalia jest niezadowolona. — A dlaczego nie dogadałaś się z Polą i Nikosem? Z Wałbrzycha mogli jechać przez Wrocław.

Natalia opuszcza głowę i milczy. Marek przypomina sobie, że identyczne pytanie zadał poprzednim razem. Wtedy Nikos wyjaśnił:

— Przez Wrocław ma-amy dalej. I ile kluczenia po-po mieście. Do Jodłowa zawsze jeździmy przez Le-legnicę.

— Ja, gdybym mieszkała w Wałbrzychu, kurwa, raz w roku robiłabym wyjątek — chmurzy się Inez. — Cóż znaczy kilka kilometrów więcej dla takiego auta jak wasze!

— W tym roku niemożliwy do zniesienia upał. W drugiej połowie sierpnia w mieście trudniej wytrzymać niż w piekle. — Pola broni siebie i męża.

— Gdyby ja wiedziała, że Nata nie ma czym się dostać, w Zgorzelcu odbiłaby na Wrocław. Przy okazji by zobaczyła, co nowego w mieście, bo pewnie wyładniało.

Na drugi raz ty na mnie poczekasz w domu i razem pojedziemy — decyduje Jadźka.

Natalia szczerzy zęby z wdzięcznością, wstaje, przytula się do Jadźki, zdejmuje okulary i ociera oczy. Pola nie odzywa się, sięga po puszkę z piwem i posyła wzrok aż na ugór pod lasem.

— Ano, tak to jest — wzdycha Nikos.

Marek spogląda na Magdę, Magda na Marka. Teraz już i ona myśli tak samo jak on: najwyższa pora skończyć ze zjazdami koleżeńskimi. Im człowiek starszy, tym wokół niego mniej prawdziwych, zwykłych przyjaciół. Jedni odchodzą na zawsze, czego nikt nie potrafi zatrzymać, drudzy pamiętają wyłącznie o sobie, wierząc, że to słuszne. Nie ma niczego trwałego, nawet przyjaźń rdzewieje.

— Ja się w ogóle dziwię, jak tyle lat mogłaś być nauczycielką. Nie chciałabym, aby ktoś taki uczył moje dzieci — Pola zwraca się do Iny.

— Przypierdalasz się bez powodu! Co ty, chuju obwisły, masz mi do zarzucenia?

— Przekleństwa. Nie słyszałam jeszcze zdania, w które nie wsadziłabyś chociaż jednego wulgarnego słowa. Jeśli przy nas klniesz bez opamiętania, to pewnie i przy dzieciach zachowujesz się identycznie. Jak mówią moi studenci: przeginasz pałę.

Inez zrobiła krok do przodu, otworzyła usta i zmrużyła oczy, ale po chwili tylko machnęła ręką, jakby doszła do wniosku, że po tylu latach nie ma sensu nie zmieniać przyzwyczajęń.

## Szwecja po raz pierwszy

Pięć lat temu Inez pierwszy raz powiedziała, że rokroczne spotkania w tych samych miejscach stają się nudne. Można je zastąpić dwudniowymi wypadami do Berlina na zakupy i wieczorem do teatru czy na koncert albo nawet do hotelowej restauracji. Ta propozycja najbardziej spodobała się Jadźce i Natalii, a najmniej Poli. Jej zdaniem będzie więcej korzyści z wyjazdu na narty do Harrachowa, ewentualnie do Szpindlerowego Młyna, gdzie nie trzeba odzywać się po niemiecku i skąd rzut kamieniem do Drezna.

— W ostateczności można się wybrać do Pragi czy nawet do Wiednia. My na zakupy, a nasi panowie niech sobie jeżdżą na nartach.

— Jaki to ma se-ens? — zastanawia się Nikos. — Wygodniej będzie wy-wynająć kwatere w Szklarskiej Porębie i codziennie do-ojeżdżać do Harrachowa. Trasy narciarskie po czeskiej stronie są le-epiej przygotowane niż po polskiej. Przy okazji można wy-wypić dobre piwko — uśmiecha się do Marka.

— Chodzi o opłaty — nie ustępuje Pola. — Jak paką zajmiemy kilka pokoi, to właściciel pensjonatu będzie musiał obniżyć cenę.

— Polka ma rację, czego... — zaczyna Natalia i nie kończy.

— Pola jest szefo-ową oddziału, czyli zawsze ma ra-ację — potwierdza Nikos przekonany, że to dowcipne.

— Gdybyś była na miejscu jej pracowników i próbo-próbowała po-owiedzieć, że nie ma racji...

— Ty jak już się odezwiesz, to tylko wstyd — Pola krytykuje męża. — Boże, dlaczego ukarałeś mnie tak dupowatym chłopem?

— Słyszysz? Zawsze ostatnie słowo musi do niej należeć.

— Nie zawsze, a tylko wtedy, gdy mam rację — Pola odpowiada Nikosowi głosem niecierpiącym sprzeciwu.

Inez robi taką minę, że Jadźka załamuje ręce i stawia oczy w ślup. Jeśli zaraz Nata nie zacznie opowiadać, co się jej przydarzyło w Szwecji, to wołam Marka do sypialni, postanawia Magda i zerka na męża, ale on jest ze swoimi myślami poza Jodłowem. Pewnie zatrzymali go bohaterowie tej nowej powieści, z którymi od poniedziałku będzie spał i śnił, rozmawiał na jawie, kłócił się, jadł. Magda nie lubi, gdy Marek siada przed laptopem i na ekranie monitora poprawia świat po Stwórcy. Rajskiego porządku rzeczy nie akceptują nawet politycy, bo wtedy nie mieliby o co się sprzeczać i ich życie byłoby nudniejsze niż w klasztorze klarysek kapucynek.

— Chciałam wam, dziewczyny, powiedzieć, że mieszkańcy Malmö niektóre zakupy od dawna robią tylko w Kopenhadze — przerywa za długą ciszę Natalia. — Gdy byłam tam pierwszy raz, jeszcze nie zbudowano mostu, to żonie mojego wujka, czyli przemilej cioteczce Susan, po naszymu Zuzannie, rodowitej Szwedce od pokoleń, opłacało się kupić bilet na statek w tamtą stronę

i z powrotem, stracić dwie, niekiedy i więcej godzin w mieście. Prawda, gdy Susan jechała do Kopenhagi, to nie tylko po tańszy duński cukier czy markowe słodycze. Przy okazji zaopatrywała wujka w alkohol, też dużo tańszy niż w Szwecji, a nawet, wyobraźcie sobie, dziewczyny, w niektóre artykuły tekstylne. Susan nigdy nie kupiła sukienki w Malmö, chociaż na starym mieście butik stykał się z butikiem. Cioteczka ubierała się wyłącznie w Kopenhadze u Ivana Grundahla. To się czyta po angielsku: Ajwana. Chociaż nie, Pola, może być: Iwana? Przy najbliższej okazji spytam wujka, która wymowa jest poprawna.

Pola nie zwraca uwagi na to, co Natalia opowiada chyba już trzydziesty czwarty raz. Podczas każdego zjazdu słyszy te same zachwyty i zdziwienia, ale nie ma odwagi wstać od stołu i spacerować po ogrodzie do czasu, aż Natalia skończy. Jeszcze uznałaby to za lekceważenie, a Pola chce żyć w zgodzie ze wszystkimi.

Jadźka wyciągnęła się w fotelu, wraca wspomnieniami do sypialni i wyobraża sobie, że leży pod kołdrą, obok niej zamiast Gottlieba jest Marek, dłoń przesuwając wzdłuż jej uda aż do spojenia nóg i szepcze coś miłego do ucha. Jadźka uśmiecha się zadowolona.

— Co cię, Jaga, tak, kurwa, bawi? — przerywa jej fantazjowanie Inez, też znudzona opowieścią Natalii.

— Przypomniała sobie scenę z filmu o Pawlaku i Kargulu. Jak jeden tłukł garnki, a drugi tatowym sierpem obcinał rękawy koszul — Magda spieszy Jadźce z odsieczą.



— Lepsze było to, jak Kargul przemałował świnie domową na dzi-ika — twierdzi Nikos.

— Sralis mazgalis! Co ty, chuju złamany, farmazonisz! Jaki Kargul, kurwa? — klnie w żywy kamień Inez. — Przecież to był Pawlak.

— Mnie się podobała Dymna w roli Ani Pawlaczki. Chociaż nie, Dymna była najlepsza jako Barbara Radziwiłłówna — mówi Pola, nie pozwalając Natalii na dokończenie opowieści ze Szwecji.

— Przy was można całkiem ocipieć.

— I ochujeć. Szczególnie jak się komuś dupę truje albo przypierdala bez powodu — mówi z udawaną powagą Marek, zwracając się wyłącznie do Inez. — Dobrze powiedziałem?

Zamiast się roześmiać, Inez zmrużyła oczy i otworzyła usta, jakby miała zamiar go wygwizdać albo zganić za pomocą określeń wyłącznie ze swego słownika.

— Przegiąłeś pałę, Mareczku — ku zaskoczeniu wszystkich mówi Pola.

— Teraz Ina powinna tak cię zjebać, że do usranej śmierci się nie pozbierasz — rzuca Magda nieporadnie, ale nikt się nie śmieje.

## **Czas prezentów**

Inez zrywa się z fotela, jakby komar wielkości gza bydlęcego ugryzł ją w szyję. Znika w domku, po chwili wraca z torbą foliową wypchaną czymś kanciastym.

— Ja zaraz ocipię! Tyle wrażeń już pierwszego dnia, że zapomniałam, a przecież mam dla was prezenty — mówi i najpierw podaje pudełeczko Magdzie, potem Markowi.

— Co to? Chyba nie jeszcze jeden specyfik hamujący rozrost prostaty? — śmieje się Marek i nagle milknie, skarcony spojrzeniem Magdy.

— Wyciąg z miłorzębu japońskiego na poprawę pamięci — najpoważniej wyjaśnia Inez. — Skutki jego działania, kurwa, widzieliście przed chwilą. Gdybym go nie zażywała codziennie rano i wieczorem, prawdopodobnie wróciłabym do domu z prezentami.

— Ja też mam coś dla was, dziewczyny. — Natalia zrywa się z fotela i pędzi do domu.

Pola zapuszcza wzrok w chaszcze wokół kuźni, Nikos wyjmując z wiadra z ciepłą już wodą kolejną puszkę piwa. Oni nigdy nie przywieźli nawet butelki najtańszego wina, a z każdego zjazdu w Wałbrzychu wracałem do domu głodny, przypomina sobie Marek.

— Jak to zażywać? — pyta Jadźka, oglądając pudełeczko, które dostała od Inez.

— Ja zawsze biorę na kwadrans przed śniadaniem i kolacją. Moja bratowa łyka po dwie tabletki trzy razy dziennie.

Natalia kładzie na stoliku sześć paczuszek przewiązanych wstążeczkami, każda innego koloru.

— Wybieranie, dziewczyny, nic nie da, bo zawartość identyczna. To, co jest w środku, najbardziej przyda się

tobie. — Natalia zsuwa okulary na czubek nosa i strzela wzrokiem z obu zielonych oczu do Marka. Nigdy nie ukrywała, że gdy tylko Magda zejdzie z tego świata, ona jest gotowa zaopiekować się wdowcem.

— A co tu jest? — zaciekawia się Pola, biorąc paczuszkę dwoma palcami.

— Specyfik naturalny, na bazie wyciągu z borówki czarnej i jeszcze czegoś, czego łacińskiej nazwy nie zapamiętałam. W każdym razie poprawia ostrość wzroku i pole widzenia. Szczególnie zalecany dla osób dużo pracujących przy komputerze.

— Czyli nic dla ciebie — mówi Pola do Nikosa i przysuwa do siebie drugie opakowanie.

Jeśli Beata z Gienkiem również przywiozą zestawy witamin i minerałów albo coś na poprawę perystaltyki jelit, to nie będę miał wątpliwości, że wiek w większym stopniu ma wpływ na zmianę psychiki człowieka niż wykształcenie — myśli Marek. Na pierwszych zjazdach najbardziej oczekiwanymi prezentami były książki spod lady, na kolejnych bułgarski koniak, gruzińskie wino, czeska biżuteria i enerdowskie piwo, po zmianie systemu społecznego w środkowej Europie królowały balsamy, mleczka, kremy, a teraz zaczął się czas medykamentów.

— Dziewczyny, może znacie coś na przyciąganie chłopów? — Natalia przerywa rozważania Marka. — Przygarne każdego, byle za dużo nie pił i mył się co najmniej raz dziennie, najlepiej wieczorem. Nie lubię przytulać się do spoconego faceta.

## Ryżego męczy kac

Ryży nie jest w ciemię bity, wie, że przy gościach Marek go nie przepędzi. Stoi oparty o furtkę i spragniony wzrok to zanurza w wiadrze, gdzie chłodzą się puszki piwa, to proszalnie strzela nim do Nikosa, gotów paść przed nim na kolana.

— Kac cię męczy? — pyta Marek trochę z udawanym współczuciem, ale nie zaprasza Ryżego na podwórze.

— Jo.

— Chociaż zapłaciłem ci za robotę, to trawę na podwórzu sam musiałem skosić, bo ciebie zawsze zaczyna ssać, kiedy trzeba coś zrobić.

— Jo.

— Obiecałeś przystrzyc żywopłot. Miałeś śmieci wyrzucić. Liczyłem na to, że weźmiesz grabie i uporządkujesz teren wzdłuż drogi.

Ryży milczy. Czy mało mu nie wyskoczą do puszek piwa chłodzących się w wiadrze w wodą.

— Biedny człowiek — mówi cicho Jadźka, jakby mu współczuła. — W Niemczech ja takich też widziała. Najczęściej to obcokrajowcy bez szkoły i fachu.

— W Szwecji państwo pomaga najuboższym — przypomina sobie Natalia.

— U nas ubogi, niezaradny, nieżyciowy też może liczyć na wsparcie ze strony pomocy społecznej — popisuje

się swoją wiedzą Inez. — Ubogi, nieżyciowy, a nie leniwy. Tylko po czym odróżnić ubogiego od leniwego? Wie ktoś?

— Ryży jest biedny z własnej woli i winy. Takich powsinóg jak on pałęta się po Jodłowie jeszcze kilka. Najczęściej można ich spotkać przed sklepem. Czekają na litość — mówi Magda, jakby usprawiedliwiała Ryżego. — Trzeba mu coś dać, Marku, bo nie odejdzie.

I Marek wstaje, sprawdza dłoń, w której kieszeni ma drobne pieniądze, a Ryży już się nie opiera o furtkę, tylko wyprostowany wyciąga rękę przed siebie i przestępuje z nogi na nogę. Gdyby goście nie patrzyli, Marek pokazałby Ryżemu, gdzie się zgina dziób pingwina, ale dziś da mu kilka moniaków, bo jeszcze Jadźka gotowa pomyśleć, że jest skąpigroszem.

— Odrobie, kurlua — zapewnia.

Marek za dobrze go zna, aby ufał każdemu słowu pijaka.

— Kiedy odrobisz?

— Po nidziyli.

— Ileś dał? Więcej jak księdzu na tacę? — zaciekawia się Jadźka.

— Na chleb z kaszanką powinno mu wystarczyć.

— Jakby tak dzień w dzień przychodził...

— Dałeś na chleb z kaszanką, a on kupi sobie piwo — twierdzi Magda, czego Marek nawet nie stara się komentować. Nie da pieniędzy Ryżemu — źle, da — też źle.

## Nareszcie są Beata i Eugeniusz

Magda spogląda na zegarek: dochodzi szósta. Zaraz powinni pojawić się Beata i Eugeniusz. Mają najbliżej, drogę z Legnicy do Jodłowa można pokonać w godzinę z okładem, a oni przyjeżdżają ostatni. I zanim usiądą przy stole, Gienek każe oglądać swój nowy samochód, a Beata podziwiać to, co ją zdobi. Żeby tylko cmokać z zachwytu, ale przede wszystkim zazdrościć i pytać, ile ich to kosztowało.

Eugeniusz jest drugim mężem Beaty. Od pierwszego, wtedy asystenta na polonistyce, odeszła jeszcze na studiach, gdy koledzy donieśli, że jej ślubnego widzieli ze starszym od siebie aktorem w klubie nauczycielskim. Było to znane w Zielonejgórze miejsce spotkań wszelkiej maści odmieńców płciowych.

Magda zastanawia się, czy do męża Beaty powinna się zwracać tak jak dawniej, czyli po imieniu, czy może z dystansem. Gdy zaraz po stażu Eugeniusz zapisał się do najważniejszej wtedy partii, pojechał na miesięczną praktykę do Belkartoszkombinatu gdzieś koło Witebska, a po powrocie został zastępcą dyrektora krochmalni, co Beata uważała za wyróżnienie równe stanowisku wicewojewody i odtąd zawsze mówiła: Żenia. Mój Żenia rozmawiał z towarzyszem ministrem. Mój Żenia został zaproszony na trybunę honorową. Mój Żenia otrzymał odznaczenie za zasługi dla województwa. W czasie polowania mój Żenia trafił odyńca, a towarzysz pierwszy sekretarz

nic, mój Żenia więc udał, że to nie on ma tak celne oko. Prawdopodobnie mój Żenia będzie członkiem egzekutywy komitetu gminnego.

— Drogie koleżanki, powiem wam w zaufaniu, że nieoficjalnie pytano mojego Żenię, czy jest gotów przejść do pracy w zjednoczeniu. Na razie na stanowisko pełniącego obowiązki naczelnika wydziału, potem może nawet na pierwszego zastępcy dyrektora. — Beata zdradziła tajemnicę podczas zjazdu w Niechlowie, który o kilka tygodni wyprzedził wydarzenia Sierpnia 1980.

— Oczywiście, twój Żenia się zgodził — tylko Pola nie miała wątpliwości, wtedy dumna z awansu Nikosa do urzędu wojewódzkiego w Wałbrzychu i dwupokojowej klatki z parkietem na Piaskowej Górze.

— Mój Żenia postawił pewne warunki. Przede wszystkim odpowiednie mieszkanie służbowe, co najmniej trzy pokoje z widną kuchnią, telefon, garaż w pobliżu.

— Stąd prowadzi najprostsza droga do ministerstwa — zauważyła Natalia.

— A co z tobą? — dopytywała się Pola. — Chyba nie będziecie żyli na dwa domy: ty z dziećmi w Niechlowie, mąż w Legnicy.

— Ja prawdopodobnie będę dyrektorką zespołu szkół. Jeszcze nie wiadomo jakiego, ale przecież nie wypada, aby żona zastępcy naczelnika wydziału w zjednoczeniu była kierowniczką osiedlowej podstawówki.

— Słuszne stawiasz żądanie — Pola zgodziła się z Beatą.

Marek pamięta, że gdy wraz ze zmianą systemu politycznego rozleciało się zjednoczenie, nie miał kto poprzeć Eugeniusza w staraniach o stanowisko dyrektora byle jakiej instytucji, czego nie mogła zrozumieć Beata.

— Mój mąż ma ogromne doświadczenie w zarządzaniu. To trzeba koniecznie spożytkować z korzyścią dla ojczyzny. Czy to sprawiedliwe, że człowiek o poglądach lewicowych przestaje być potrzebny? Skoro państwo go wykształciło na swój koszt, to samo państwo powinno zapewnić mu miejsce pracy zgodne z jego kwalifikacjami. Mój mąż nie umie być bezrobotnym.

Niedługo to trwało, bo za poradą Beaty Eugeniusz, dotąd omijający nawet zabytkowe kościoły, zapisał się do stowarzyszenia popieranego przez biskupa i został radnym miejskim. Po powrocie z Wuppertalu, miasta partnerskiego Legnicy, kazał żonie mówić do siebie: Eugen. Potem pojechał z miejskimi radnymi do francuskiego Roanne, a gdy wrócił, poprosił Beatę, aby mówiła do niego: Eużen. Nawet na wizytówce umieścił krótszą formę swego imienia.

— Eużen dopiero dziś rano wrócił z sejmu — mówi Beata głosem obolałym, jakby współczuła mężowi męczarni w nocnym pociągu. — W tym roku nie wszyscy posłowie mają wakacje. Sejm nie jest zwykłym zakładem pracy, gdzie człowiek bierze urlop, kiedy chce, proszę ja was. Ledwie na tydzień w lipcu udało się nam wyskoczyć do Hersonissos.



— Czy to na Mazurach? — zaciekawia się Jadźka.

— Hersonissos leży w pobliżu Heraklionu, głównego miasta Krety. Hotel czterogwiazdkowy z własną plażą. Wyżywienie zwyczajne, śródziemnomorskie, ze zbyt dużą ilością oliwy i warzyw. Za identyczne pieniądze bywaliśmy w lepszych hotelach nawet w Polsce.

Cztery lata temu na tydzień przed wyjazdem na wycieczkę do Izmiru w Turcji Marek skręcił nogę w kostce. Ortopeda powiedział, że to nic poważnego, ale nie powinien dużo chodzić, a tym bardziej długo przebywać na słońcu. Biuro podróży, którego był klientem, nie chciało zwrócić mu pieniędzy, postanowił więc, że do Turcji Magda pojedzie z koleżanką. O przysługę mógł poprosić Natalię, pewnie byłaby mu wdzięczna za troskę, ponieważ miesiąc wcześniej pochowała drugiego męża. Zadzwoił jednak do Beaty, a ta nie tylko się ucieszyła z propozycji, lecz obiecała jeszcze tego samego dnia przelać pieniądze na jego konto. Po powrocie z wycieczki kilka razy pytał Beatę, kiedy zwróci mu koszty wyjazdu. Najpierw zrzucała winę na bank, potem odpowiadała, że robi to natychmiast, a gdy podczas kolejnego zjazdu poskarżył się Eugeniuszowi, zrugala go jak święty Michał diabła.

— Nowa bryka, Żenia? — pyta Inez, chociaż widzi, że srebrny lakier na porsche jeszcze nie zmatowiał. — Pewnie opylę tigrę i kupię sobie coś podobnego. Ostatnio coraz bardziej podobają mi się duże wozy.

— Będzie cię stać? — Beata daje jej do zrozumienia, że to wydatek nie na każdą kieszeń.

— Porsche cayenne 4,5 należy do najczęściej kradzionych samochodów w Europie. Dużo mniej złodziei poluje na beemkę 725-ds czy merca e250d. W ogóle nie ma chętnych na fiata pandę.

— Skąd wiesz? — zaskoczona tą wiadomością Jadźka pyta Marka i robi taką minę, jakby przyjechała nie starym passatem, a najnowszym porsche.

— Skąd wiem? Wszystko, co wiem, wiem z internetu. Dziś nie ma lepszej gazety ani doskonalszego wywiadu niż sieć łączności elektronicznej. Ba, większość swoich spraw autorskich załatwiam za pomocą internetu.

— Eużen ubezpieczył nasze porsche nawet od gradobicia, powodzi i halnego — mówi pewna siebie Beata i papierową chusteczką wyciera plamy na szybie pozostawione przez owady.

— Chwała Bogu. — W głosie Magdy słychać ulgę. — Mimo to niech Eużen wprowadzi wasze cudenka techniki na podwórze. Zza płotu trudniej będzie je ukraść, a nie chciałabym, aby z powodu głupiego auta nasza wieloletnia przyjaźń została zerwana.

Przyjaźń? Marek jest przekonany, że dziś Magdę i jej pięć koleżanek z polonistyki łączy tylko przyzwyczajenie, podtrzymywane chęcią pochwalenia się majątkiem, osiągnięciami osób bliskich, wnukami, nawet chorobami. Przyjaźń odchodziła niezauważenie, powoli ustępując miejsca rutynie; ona też stanie się mniej ważna i w końcu zniknie. Owszem, każdego roku zbierają się na zjazdach koleżeńskich, lecz wyłącznie dlatego, że

wszystkie są tchórzliwe i żadna nie ma odwagi pierwsza powiedzieć tego, co trzeba powiedzieć. Kiedyś była przyjaźń, która powinna się przekształcić w duchową więź, lecz nigdy się nie przekształciła. To po co ją ciągnąć? Pomiędzy Markiem a Nikosem i Eugeniuszem zawsze było tylko koleżeństwo, łatwiej więc będzie nie oczekiwać na spotkania. Prawdziwa przyjaźń istnieje wyłącznie w niektórych małżeństwach, wśród osób najbliższych i nie zastępuje miłości. Przyjaźń bowiem to zaufanie i dobrowolna bezinteresowność, a przede wszystkim, czego wielu nie chce wiedzieć, bezgraniczna odpowiedzialność.

## **Dla każdego coś miłego**

Eugeniusz wyciąga dwie torby z bagażnika, większą opiera o zderzak auta, mniejszą rozpina na trawie i ręką przywołuje Beatę.

— Boże, jak my lubimy dzielić się z przyjaciółmi tym, co nas naprawdę cieszy. Dla każdego zatem mamy coś miłego! — woła Eugeniusz, wyciągając z torby ogromny wazon, ozdobiony herbem Legnicy. — To, żono moja, bądź uprzejma podać Magdzie, żeby jej przypominało w dzień i w nocy, gdzie mieszkamy — mówi do Beaty. — Albo nie, ja wręczę Magdzie ten niezwykle wartościowy upominek, a ty przekaz Markowi wspaniały album, również souvenir z naszego pięknego miasta, w czasach

niemieckich stolicy rejencji legnickiej, do której należał ówczesny Jodłów. Zdaje się, że Thanndorf.

— Thanndorf to na pewno niemieckie określenie Jodłowa leżącego w Kotlinie Kłodzkiej. Czy nasz Jodłów miał taką samą nazwę, tego nie wiem. Teraz na pewno zainteresuję się historią wsi i przy najbliższej okazji poinformuję cię, jak Niemcy nazywali tutejszy Jodłów. — Marek całuje Beatę najpierw w lewy policzek, potem w prawy i znowu w lewy. Jeszcze nie wie, że na stronie tytułowej albumu z przedwojennymi widokami Legnicy, do którego za chwilę zajrzy, ktoś postawił pieczętkę „egzemplarz bezpłatny”. — Na pewno nie mam takiej publikacji w swojej bibliotece. Lubię odbywać podróże w przeszłość. Dziękuję wam za cenny prezent.

Magda jeszcze nie trzymała wazonu w dłoniach, a już zdecydowała, gdzie go postawi. Nie w kuchni, nie na schodach między piętrami, chociaż tam byłoby najlepsze miejsce, i nie w salonie, tylko w sypialni obok telewizora. W poniedziałek pójdzie za cypel, nazbiera kwiatów polnych, zasuszy je i włoży do wazonu, żeby długo przypominały jej ten zjazd. Beata i Eugeniusz bywają w wielkim świecie, więc wiedzą, jakim prezentem mogą sprawić najwięcej radości, wnioskuje Magda. Zestaw witamin i minerałów, choćby najbardziej niezbędnych, zawsze jest lekarstwem. Odbieranie starcom leku przeciw przerostowi prostaty po to, żeby sprezentować go Markowi, oburza Magdę.

— Wystarczyłby mniejszy wazon. Po co aż taki okazały? Musieliście się nieźle wykosztować. — Magda przywiera piersiami do Eugeniusza, cmoka z obu stron jego wąsów broniących dostępu do policzków, czuje zapach dobrych perfum. Postanawia, że po kolacji spyta go o ich markę i identyczne kupi Markowi na imieniny.

Pola dostała plan Hersonissos i pluszowego nadkomisarza Lwa, czyli dużą maskotkę ze znakiem policji, a Natalia o połowę mniejszą i dwa identyczne breloczki firmy oponiarskiej. Inez zapewnia Beatę, że statuetkę lwa z godłem Legnicy postawi na telewizorze, gdzie obok amfory i muszli młotkowanej drzemie drewniany wielbłąd, pamiątki z wycieczek do Grecji i Egiptu. Nikos obwącjuje flamastry, dlatego jeszcze nie otworzył pudełka, które położył przed nim Eugeniusz. Gdyby zrobił to teraz, parsknąłby śmiechem na widok medalu wybitego z okazji dziesięciolecia województwa, jaki marszałek uroczyście wręczył każdemu posłowi. Jadźka naprawdę się cieszy, bo dostała wieczne pióro i dwa długopisy oraz medalik z Krzeszowa na srebrnym łańcuszku.

— I dla wszystkich najlepsze na Dolnym Śląsku piwo! — woła Eugeniusz, otworzywszy tylne drzwi porsche, gdzie za fotelem kierowcy tkwi pięciolitrowa beczułka.

To jedyna rzecz, za którą Eugeniusz zapłacił, domyśla się Marek, ale nie jest tego pewien, bo może beczułkę też ktoś mu podarował.

## Zanosi się na ulewę

Najpierw Magda chciała podać obiadokolację na podwórku, już nawet pokazała Markowi, które krzesła i stoły musi wynieść ze składziku, wymyć z kurzu, jak je ustawić pod czereśnią, gdy usłyszała w radiu, że wieczorem może padać. Wprawdzie spiker mówił o deszczu na zachodzie Niemiec, lecz ona każdą prognozę pogody interpretuje na swój sposób i najczęściej jest dumna z tego powodu.

Przed południem słońce nad Jodłowem było jak plaster miodu, z nieba kapał żar, a teraz od zachodu nadciągają ciemniejsze chmury, wiatr zaczyna tarmosić wierzchołki świerków serbskich i kaukaskich, jodeł arizońskich, kalifornijskich, kaukaskich, mandżurskich, koreańskich, hiszpańskich i nikkońskich, sosen dalmatyńskich, bośniackich, rumelijskich i himalajskich, cedrów libańskich, miłorzębów japońskich, modrzewników chińskich, które stoją tam, gdzie dawniej rosły brzozy, jawory, osiki. Jedyny klon, jaki pozostał w Jodłowie, tkwi na podwórzu przed ich domkiem.

— Będzie padać — mówi Magda i się cieszy, bo znowu na jej wyjdzie.

— Tylko żeby nie było burzy z grzmotami i piorunami. — Natalia składa ręce, oczy podnosi ku górze i coś szepcze pod nosem, jakby się modliła.

— Powinniście mieć duży garaż, na kilka samochodów — mówi Beata do Magdy, przybierając minę śledczego. — Można też postawić wiatę.

— Mamy garaż — odpowiada Marek, pokazując na rozwarte wrota, za którymi obok pandy drzemie nowe suzuki Magdy.

— Nasze porsche nie może stać pod gołym niebem. Jeszcze wichura zwali na nie drzewo albo spadający grad wgniecie blachę na dachu. Pewnie nie zdajesz sobie sprawy z tego, ile kosztuje taki samochód. — Beata dostrzega pustą szopę na podwórzu sąsiada. — Jakby tam...?

— Przecież chwaliłaś się, że Żenia ubezpieczył wasze auto nie tylko od kradzieży, ale nawet od gradobicia, powodzi i halnego — przypomina Inez, przypatrując się swojej tigrze.

— Ano, tak to jest — wzdycha Nikos, obojętny na to, czym się niepokoi Beata.

— Też powinienes pomyśleć o zabezpieczeniu samochodu. Nikt ci go nie sprezentował, tylko musiałeś wydać prawie całą odprawę emerytalną. Za te pieniądze mogliśmy pojechać na dwa tygodnie choćby do Australii. Inni potrafią załatwić każdą sprawę, a ty? Ciepłe kluchy. Jak ktoś taki mógł być wicewojewodą? — Pola strofuje męża, a on wybałusza na nią oczy, nie rozumiejąc, o co ma pretensje. — Gdybym mu nie kazała, czekałby przed telewizorem z założonymi rękami, aż ja wrócę z pracy i na łapu-capu zrobię obiad. O nie, mój drogi mężusiu, tak

dalej nie będzie. Nie jestem twoją kucharką. Co innego, kiedy byłeś wicewojewodą. Wtedy nie wypadło, żeby mój małżonek, zajmujący poważne stanowisko, pichcił niczym zawodowy kucharz, wyłączając zagotowanie wody na kawę. Teraz przynajmniej zupę upitrasi i kartofle obierze, a jeśli mu wytłumaczę, to i mięso usmaży, że zapach, smak... Nikosowi najlepiej udają się zrazy bite w ciemnym sosie, z marchewką albo z czerwoną kapustą oraz, nie uwierzycie, jarzynowa *à la jardinière*. Męża, moje drogie koleżanki, trzeba traktować jak podwładnego, wtedy będzie z niego pożytek — z tryumfem w głosie mówi do zaskoczonej jej szczerością Magdy.

Rad nierad Marek idzie do sąsiada i prosi go, aby na deszczową noc pozwolił ukryć porsche w szopie. Jest przekonany, że starczy tam miejsca także dla passata i peugeota. Suzuki i pandę Marek wyprowadza z garażu, z czego nie jest zadowolona Magda, i Inez wjeżdża tam tigrą.

— Maszyny, że daj Boże zdrowie — mówi sąsiad, podziwiając porsche i passata. Na peugeota nie zwraca uwagi.

## **Salatka z bazylią**

Dziewięć osób siedzi wokół stołu nakrytego błękitnym obrusem, każda trzyma w dłoniach srebrne sztucce, z kwadratowych talerzyków z wałbrzyskiej porcelany unosi się balsamiczna woń bazylii.



— Co to? — pyta Nikos, pociągając nosem.

— Sałatka jarzynowa ze świeżą bazylią na przystawkę — odpowiada Magda i dopiero teraz zastanawia się, czy dobrze zrobiła, przygotowując więcej potraw warzywnych niż mięsnych.

— Wszystko, co najlepsze na twój wrażliwy żołądek, znajduje się w tym wonnym ziele. Bazylia, zwana też bazyliszką polską, po łacinie *Ocimum basilicum*, ma ogromny wpływ na przyswajanie pokarmu, gdyż pobudza wydzielanie soku żołądkowego, a przez to poprawia trawienie. — Pola popisuje się wiedzą z botaniki. — W naszym wieku powinno się jeść przede wszystkim to, w czym jest najwięcej łatwo przyswajalnych witamin, soli i niezbędnych do prawidłowego funkcjonowania metali. Nie wyobrażam sobie jadłospisu bez dużych ilości warzyw i owoców. Mój Nikos marudzi, mimo to z chęcią...

— Czy mam inne wyjście?

— Jako prezenty dostaliśmy specyfiki z witaminami i minerałami — przypomina Marek, też niezadowolony z tego, co leży na talerzyku. Wolałby plaster szynki ze świeżym chrzanem albo tatar.

— Dziś piątek, dla prawdziwych katolików dzień postny. Zasady wiary naszych ojców trzeba podtrzymywać — odzywa się Beata i prosi Jadźkę, aby podała jej półmisek ze śledziami w oleju.

Jeśli ogłosi, że powinniśmy odmówić modlitwę przed jedzeniem, powiem, że w tym domu obowiązują świeckie zasady, złości się Marek.

— Pierwsi chrześcijanie odżywiali się głównie pokarmem roślinnym. Proszę, przypomnijcie sobie, co najczęściej spożywał Jezus i uczniowie... No? — pyta Eugeniusz. Nie usłyszawszy odpowiedzi, mówi: — Ryby, chleb i wino. Czasem baranina, ewentualnie jagnięcina. Wieprzowiny w żadnej postaci.

— I nie dożył nawet czterdziestki.

— Kto mianowicie? — dopytuje się Eugeniusz.

— Jezus — Nikos popisuje się swoją znajomością Pisma Świętego. Nawet skarcony wzrokiem Poli, nie milknie. — A taki Matuzalem, dzia-adek Noego, tego od a-arki, dożył prawie tysiąca lat. Patriarchowie Izaak i Abraham żyli bez mała po dwie-dwieście lat, Mojżesz...

— Proszę cię, abyś w ten sposób nie wypowiadał się w mojej obecności. Przyjacielu, ranisz bowiem uczucia religijne moje i mojej żony — Eugeniusz wskazuje głową Beatę, a ta przytakuje z pełnymi ustami. — Jezus umarł na krzyżu za nasze zbawienie.

Trzeba szybko zmienić temat rozmowy, postanawia Marek, lecz nie wie, na jaki. Powinien stanąć po stronie Nikosa, bo przecież nie skłamał, gdy zdał sobie sprawę z tego, że dla niektórych osób ton wypowiedzi może być bardziej dokuczliwy niż jej treść.

— Oto efekt mojej pracy — Marek chwyta ze stołu butelkę czerwonego wina i pokazuje palcem na kolorową nalepkę z jego autografem.

Eugeniusz zakłada okulary na nos, najpierw długo się przypatruje temu, co ma przed sobą, i z podziwem kręci głową, potem czyta głośno:

— „Napój bogów z winnicy w Jodłowie”. Z tych kilku rachitycznych krzaczków za domkiem? — pyta, jakby nie dowierzał swoim oczom.

— Nie z kilku, a z dwudziestu jeden — odpowiada Marek. — I wcale nie są rachityczne. To młoda winnica. Za kilka lat powstanie tu plantacja, której sąsiedzi będą mi zazdrościli.

— Jak przyjdziecie do nas, przekonacie się, co potrafi polski winiarz i poseł w jednej osobie. Moje wino — Eugeniusz przykładą dwa palce do ust i cmoka — jest napojem bogów nie tylko z nazwy.

— W mojej piwniczce sok wyciśnięty z winogron zamienia się w wino pod okiem znawcy. Jak zapewne słyszałeś — Marek mówi tylko do Eugeniusza — w Zielonejgórze jest szkoła winiarska, ja jednak ufam doświadczeniu mojego przyjaciela z dyplomem technika fermentacji. Na emerycką jesień ów przyjaciel, czyli Wacek, przeniósł się do domku nad Jeziolem Młyńskim koło Krosna, gdzie wykopał dwa stawy, założył warzywniak ekologiczny i winnicę. Wacek robi najlepsze wino na wschód od Odry.

— A jego żona Alicja, też nauczycielka, potrafi upiec najlepszy na świecie tort bezowy — dorzuca Magda.

— Hm, hm, hm — mruczy Beata, czego nawet Natalia nie rozumie, ale nie ma odwagi poprosić o wyjaśnienie, co ma na myśli.

Marek nie pamięta, czy powinien napełnić kieliszki tylko do połowy czy może do trzech czwartych, zerka więc na Magdę, lecz ona, wyjaśniająca coś Jadźce, nie zauważa jego pytającego wzroku.

— W takim razie za nasze doroczne spotkanie —  
wznosi toast Marek.

— Oby takich było więcej! — woła Eugeniusz.

## **Beata i Eugeniusz wzięli ślub kościelny**

Natalia: Czyżbyście się nas wstydzili?

Beata: My? A dlaczego?

Natalia: Podobno wzięliście ślub kościelny. I żadnej z siedzących tu osób nie zaprosiliście.

Eugeniusz: Mianowicie to było dopełnienie formalności.

Natalia: Co masz na myśli?

Eugeniusz: Wreszcie nie tylko przed ludźmi, ale i przed Bogiem jesteśmy małżeństwem.

Natalia: Wedle obowiązującego w Polsce prawa małżeństwem jesteście od trzydziestu kilku lat. Najwyższy o tym wiedział i chyba nie miał uwag, skoro pozwolił, aby wasz syn zrobił doktorat za granicą, ożenił się z bardzo mądrą dziewczyną i spłodził dwoje ślicznych wnucząt. Wasza córka wyszła za prawdziwego Anglika, jest dyrektorką oddziału banku w Plymouth, wprowadzie bezdzietna, ale któregoś dnia zapragnie zostać matką. Nie sądzę, aby ktokolwiek wytykał wam nieślubne dzieci.

Beata: Eużen już ci wyjaśnił, że to było obywatelskie, takie polskie dopełnienie formalności.

Natalia: Tobie i twemu mężowi nieźle się powodzi, zajmujecie w miarę wysokie pozycje społeczne. Nawet choroby omijają was wielkim łukiem. Gdyby wasze małżeństwo nie podobało się Panu Bogu, Żenia...

Eugeniusz: Po pierwsze, bardzo cię proszę, abyś nigdy tak się do mnie nie zwracała. Okej? — zerka na Natalię, jakby się spodziewał, że go pochwali za angielskie słowo. — Mam na imię Eugeniusz. Niechlubną przeszłość staram się wymazać z życiorysu. Po drugie, zarówno moja żona, jak i ja należymy do tej grupy ludzi, którzy mianowicie długo się uczą i jeszcze dłużej dojrzewają do podjęcia najważniejszych decyzji. Gdy je podejmą, zapewniam cię, to do końca życia. Okej?

Natalia: Tacy jak wy, a jest was ze trzy miliony, każdy dzień powinni zaczynać od modlitwy za Wałęsę, Geremka, Mazowieckiego, Kuronia, Walentynowicz... Wyście najwięcej skorzystali na zmianie systemu politycznego w Polsce, mimo iż wtedy, kiedy rodziła się Solidarność, nie mieliście odwagi stanąć po stronie większości.

Eugeniusz: Nigdy nie byłem wrogiem Solidarności.

Natalia: W takim razie przekonaj mnie, że byłeś jej zwolennikiem czy choćby sympatykiem.

Eugeniusz: Jeśli ty pierwsza...

Natalia: To nie będzie trudne. Zimą osiemdziesiątego roku umierał mój pierwszy mąż. W dzień i w nocy więcej niż bezsilna siedziałam przy jego łóżku i słyszałam głosy współczucia bezradnych lekarzy. Cierpiałam może

bardziej od niego, bo zdawałam sobie sprawę, że to koniec. Że nie ma nikogo na świecie, kto jest w stanie mu pomóc. Lekarze zrobili tyle, ile potrafili. Byłam solidarna z moim mężem, z lekarzami, z pielęgniarkami. Wystarczy?

Magda: Dajcie spokój z licytowaniem się, kto jest lepszym Polakiem. Nie po to spotykamy się raz w roku, aby wytykać sobie błędy. Każdy się myli. I każdy ma prawo do zmiany poglądów. Ważne jest, aby zdawać sobie z tego sprawę i robić to na własną odpowiedzialność, a nie pod wpływem chwili, dla oklasków. I chyba najważniejsze — przy okazji nie skrzywdzić nawet jednej niewinnej osoby.

Nikos: Ano, tak to jest.

Beata: Skoro Nata zaczęła, chciałabym raz na zawsze sprawę wyjaśnić. Owszem, zostałam mężatką jeszcze na studiach. Byłam wtedy młoda i głupia. W urzędzie stanu cywilnego ślubowałam miłość, wierność i coś tam jeszcze. Przysięgę złożyłam przed urzędnikiem socjalistycznego, dziś można powiedzieć, obcego państwa. Drugi raz też nie miałam wyboru. Przecież gdyby Eużen wziął ślub kościelny, przestałby być dyrektorem fabryki. Gdy więc tylko Polska odzyskała wolność, postanowiliśmy...

Natalia: W tym czasie ja dwa razy wychodziłam za mąż. I dwa razy brałam ślub w katolickim kościele.

Inez: Jezu, kurwa, Chryste Panie! Czemu nie grzmisz?

Magda: Myśmy z Markiem w sobotę poszli do urzędu, bo tego wymagał od nas i tak nam doradził ksiądz, a w niedzielę po sumie wzięliśmy ślub u Matki Bożej

Częstochowskiej. Ceremonia kościelna może była bardziej podniosła, ale podobała mi się też uroczystość urzędowa.

Eugeniusz: Liczy się wyłącznie przysięga złożona przed ołtarzem, poświadczona przez osobę duchowną. Spóźnieni, ale zrobiliśmy to, co należy zrobić w katolickim kraju.

Natalia: Jestem ciekawa, Beata, czy się przyznałaś spowiednikowi, że wtedy na studiach wyszłaś za mąż, bo wpadłaś. I że gdy się dowiedziałas, kim jest twój mąż, usunęłaś ciążę w przychodni akademickiej.

Eugeniusz: Żono moja, zabiłaś swoje dziecko? Nigdy o tym nie mówiłaś.

Beata: Nie mówiłam, bo ciebie nie interesowała moja przeszłość. Powiedziałeś, że wszystko, co działo się przed naszym ślubem, niech pozostanie osobistą tajemnicą.

Natalia: W myśl zasad wiary katolickiej popełniłaś niewybaczalny grzech. Spowiednik nie powinien dać ci rozgrzeszenia, chyba że zataiłaś ten fakt, ale co to za wiara? Nie sądzę, że cię potępiam. Współczuję ci, nic więcej.

Eugeniusz: Boże mój, Boże.

Natalia: A czy ty, Żenia, przepraszam, Eużen, opowiedziałeś wyborcom, co robiłeś w ludowej Polsce? Pochwaliłeś się, na czyją cześć paliłeś kadzidło?

Eugeniusz: Błądziłem w młodości jak większość siedzących przy tym stole. Mianowicie w odpowiednim czasie zrozumiałem swoją pomyłkę i zawróciłem z niewłaściwej drogi. Teraz staram się pomóc zagubionym,

słabym, potrzebującym wsparcia. Póki mi sił wystarczy, mianowicie mogą na mnie liczyć.

Natalia: Niepotrzebnie spowodowałam to tłumaczenie się ze swoich decyzji. Nie taki miałam zamiar. Przepraszam was. Powinnam od razu powtórzyć za Gogolem: „Jeden tam tylko jest porządny człowiek — prokurator, ale i ten, prawdę mówiąc, świnia”.

Eugeniusz: Co cię ugryzło? Dlaczego tak się do mnie przyczepiłaś? Czyżby z powodu samotności mózg zaczął ci się lasować?

Inez: O, kurwa!

Magda: Ina...

Inez: Kilkanaście minut temu, gdy Nikos popisywał się znajomością Pisma Świętego, zarzuciłeś mu ranienie uczuć religijnych twoich i Beaty. Powinnam, identycznie jak ty, zwrócić mu uwagę, że rani również moje uczucia religijne. Nie zrobiłam tego, ponieważ Nikos nie powiedział niczego, co można uznać za kłamstwo. On, kurwa, powtórzył to, czego się dowiedział z Pisma Świętego. Aby wierzyć, nie trzeba wiedzieć. Nikogo prawdziwie wierzącego nie można zranić znajomością Nowego Testamentu.

Eugeniusz: Nie zgadzam się z tobą. Protestuję przeciw takiemu pogładowi na religię.

Inez: Chuj ci w dupę... Czy wiesz, kto mnie drażni w Kościele?

Magda: Przestańcie. Taka dyskusja nie ma sensu.

Inez: Drażnią mnie te klechy, kurwa, które zachowują się tak jak sierżanci w wojsku bezmyślnie wykonujący



polecenia swoich szefów. Którzy tkwią w zamkniętym modelu ustanowionego raz na zawsze rytuału myślenia i postępowania. Boją się inności, bo ona może zburzyć coś, do czego się przyzwyczaili, i tak jest im wygodnie.

Eugeniusz: Od wieków Kościół powszechny jak każda armia jest hierarchiczny.

Inez: Ja, kobieta kształcona na uniwersytecie, myśląca, odróżniająca dobro od zła, staram się przestrzegać zasad wiary wpojonej przez matkę i ojca. Ale, kurwa, nie znoszę, kiedy facet w czarnej sukience mówi mi, co mam robić, gdy ja wiem, że on akurat postępuje inaczej. Po kiego chuja?

Marek: Może Natalce uda się przerwać tę dyskusję opinią Gogola: „Człowiek jest słaby, a przeciwnieństwa losu silne”?

Natalia: No właśnie. Ale oni mnie ignorują. Bardzo trudno być wdową.

Eugeniusz: Księża to przecież zwyczajni mężczyźni. Jak w każdej grupie, tak i w tej zdarzają się niegodni służby. Do służby Panu Bogu trzeba mieć powołanie.

Inez: O niektórych medykach pacjenci mówią z zachwytem: lekarz z powołania. Widzowie: aktor z powołania. Rodzice uczniów: nauczyciel z powołania. Petenci: urzędnik z powołania. Powołanie, Eużenie, to, kurwa, przede wszystkim miłość, uczciwość i szacunek. Nie widzę różnicy między sumiennym księdzem a kominiarzem rzetelnie czyszczącym kominy, pod warunkiem że robią to nie tylko z myślą o forsie, ale i o drugim człowieku.

Nikos: Tu się zgadzam.

Inez: Jeszcze jedno mnie wkurwia: ta wyższość w zachowaniu księży. Że płaszcą się przed nimi nauczycielki i kucharki, rozumiem, ale dlaczego to samo robią profesorowie, artyści, politycy? Po jakiego chuja wójt gminy, w której mieszka mój brat, tłumaczy się przed proboszczem z decyzji podjętych w imię przestrzegania prawa? Przecież ksiądz, kurwa, oprócz tego, że jest sługą Najwyższego i człowieka, pośrednikiem między Panem Bogiem a wiernym, jest mieszkańcem gminy takim samym jak każde z nas. Czy was to nie wkurwia?

Beata: Mnie, Ina, wkurwia to, że tak często używasz wulgarnych słów. W mojej szkole na pewno nie byłabyś nauczycielką.

Inez: Księża nie są wyłącznie winni. A może najmniej winni. Winni są zwłaszcza wierni, którzy im na takie zachowanie pozwalają. Tacy jak ten popierdoleniec Nikos, który miał się za ważnego wicewojewodę, a był zwisającym chujkiem. Jak ta niedojebana cipa do sześcianu Pola, jak Jadźka, jak ja... A przede wszystkim tacy jak ty, Beato, i twój chłop. Ten piździelec — wyciąga rękę w stronę Eugeniusza — jest jak chorągiewka.

## **Pogrzeb jest dla żywych**

Magda zapowiedziała, że po śmierci chce być spalona. Marek w tej sprawie jeszcze nie zabrał głosu. Zresztą nie

tylko w tej, bo również nie zdecydował, komu przekazać swój majątek. Zresztą niewiele ma, bo domek należy do niego w połowie, mieszkanie w mieście też, rozklekotanego rupcia ze znakiem firmowym Fiata już nikt nie kupi, a tego, co odłożył na koncie w banku, wystarczy na stypę dla najbliższej rodziny.

— Nigdy nie zaakceptuję palenia zwłok. To wbrew moim przekonaniom — mówi Beata. — Totalnie jest to obce naszej kulturze i przede wszystkim religii.

— O, przepraszam cię, w Bawarii, a to przecież kraj z przewagą katolików, kremacja jest powszechna — wtrąca Jadźka.

Marek chciał powiedzieć, że pewnie dlatego Niemcy budowali krematoria przy obozach koncentracyjnych w czasie drugiej wojny światowej, ale ugryźł się w język. Kogo dziś interesuje to, co się działo niemal wiek temu?

— Co chcecie, to mówcie. Chrzest nie, ale nie ma ładniejszej ceremonii ślubnej jak w naszym Kościele. W ogóle każda uroczystość z udziałem księdza zawsze jest podniosła — orzekła Pola. — Niedawno zmarł prodziekan. Pogrzeb był świecki. Wyglądało to... jak nie na pogrzebie.

— Czyli, kurwa, jak? — spytała Inez.

— Jak, jak? Inaczej. Nie po katolicku. Owszem, mistrz ceremonii był w czarnej todze, na szyi miał jakiś łańcuch z ozdobami, długo i dużo mówił o zmarłym, nawet ciekawie, była orkiestra, wieńce. Dwaj koledzy z wydziału także wygłosili mowy. Ale czegoś brakowało.

— Księdza?

— Zgadłaś.

— Przez dwa tysiąclecia Kościół katolicki wypracował ceremoniał do tego stopnia, że każdy gest księdza ma znaczenie. Pamiętacie pochody pierwszomajowe? — spytał Eugeniusz i odpowiedział: — Musicie pamiętać. Przecież to były kopie procesji na Boże Ciało.

— Jak kopiować, to-o na-ajlepsze wzory — włącza się Nikos i skarcony spojrzeniem żony nabiera wody w usta.

— Tobie nie podobał się świecki pogrzeb kolegi — Inez zwróciła głowę do Poli. — W maju byłam na pogrzebie kościelnym męża koleżanki ze szkoły. Ja uczyłam niemieckiego, ona biologii, a on jako wicedyrektor matematyki. Wiesz, ile trwała cała celebra?

— Jak dyrektor szkoły, to co najmniej godzinę — wyrzywa się Eugeniusz.

— Kwadrans, kurwa, albo jeszcze mniej. Ksiądz tak się spieszył, że nawet nie poświęcił krzyża. Jak postawicie pomnik, to przyjdę, powiedział.

— Niemożliwe — nie wierzy Pola.

— A wcześniej, jak koleżanka poszła na plebanie załatwiać formalności, spytał, czy mąż był dodatkowo ubezpieczony. Myślicie, że pytanie było retoryczne? Pani dostanie pieniądze z ubezpieczenia i zasiłek pogrzebowy, powiedział. Potwierdziła. Niezły zarobek, ocenił. Koleżanka spytała, ile ksiądz sobie życzy za poprowadzenie pogrzebu. Dwadzieścia procent tego, co pani weźmie z ZUS-u.

— Przesadzasz — Beata karci Inez. — Nie wierzę, aby ksiądz chciał aż tyle.

A Marek wierzy. W lutym pojechał na pogrzeb matki swego przyjaciela, profesora historii. Przed wyprowadzeniem zwłok na cmentarz czterech księży sprawowało mszę w zimnym kościele. Uroczystość trwała długo. Wszyscy, którzy przyszli na pogrzeb, nie mogli się doczekać, kiedy księża skończą, a oni, jakby na złość parafianom i gościom, wychwalali zmarłą dlatego, że jest matką profesora uniwersyteckiego, który wskazał drogę młodzieży z biednej parafii. Nie to zdumiało Marka. Schodząc z kazalnicy, proboszcz powiedział, że za te pieniądze, które dziś wierni rzucą na tacę, w przyszłym miesiącu on odprawi mszę za duszę nieboszczki. Przecież syn zmarłej prosił go, aby podczas mszy żałobnej kościelny nie chodził z tacą. I znowu przypomniało się Markowi zdanie Gogola o tym, że człowiek jest słaby, a przeciwnictwa losu silne.

— Skoro są źli lekarze, źli kierowcy, źli nauczyciele, źli dziennikarze i politycy, również muszą być źli księża — powiedział Marek, jakby usprawiedliwiał duchownych. — Księża powinni jeździć samochodami, mieć komputery, smartfony i wszystko, co niesie cywilizacja. Wyobraźcie sobie proboszcza, który nie ma adresu elektronicznego, nie zagląda do internetu... Taki człowiek staje się kaleką intelektualnym. Analfabetą. A ksiądz w naszym narodzie ciągle jest uważany za kogoś, z kogo należy brać wzór.

Eugeniusz uśmiechnął się do Marka i podniósł palec wskazujący. Miał zamiar coś powiedzieć, ale nie wiedział co, żeby nie wypaść podejrzliwie.

— Pogrzeb jest dla żywych. Im bardziej uroczysty, tym dłużej żywi pamiętają o zmarłym — mówi Magda.

## **To też będzie w książce**

— Przysięgnij, że nie wykorzystasz naszej pożałowania godnej erystyki w swojej nowej powieści. — Pola patrzy na Marka, czekając, kiedy on podniesie prawą dłoń i powie: przysięgam. — Obserwowałam cię znad talerza. Z twojej twarzy wyczytałam, że starasz się zapamiętać każde słowo, każdy gest, nawet to, co Eużen czy Nata mieli na myśli, a czego nie powiedzieli wprost, bo się bali posądzenia o skrajne poglądy.

Czyżbym zdradził się przed Polą, że zamierzam napisać książkę pod roboczym tytułem *Zjazd koleżeński*? Kiedy? Wspomniałem o tym zamiarze Nikosowi przy piwie, ale przecież on nie należy do tych, którzy potrafią wyciągnąć logiczny wniosek z każdej rozmowy. Jest urzędnikiem na wcześniejszej emeryturze, z nudów analizującym zmieniające się przepisy, a nie wypowiedzi ludzi.

— Gdy byłem funkcyjnym dziennikarzem, zawsze miałem pod opieką stażystów. Mówiłem do nich tak: jeśli zaproszą cię na ochłaj, nie wykręcaj się pilną robotą, idź, ale nie po to, żeby napić się wódki na krzywy ryj. Jak już

tam się znajdziesz, odzywaj się niewiele i notuj w pamięci to, o czym oni rozmawiają. Nie zapominaj, że dziennikarz pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę, w każdym miejscu, nawet w sobotę, niedzielę i Wielkanoc, gdy inni cieszą się nicnierobieniem. Dziennikarz to pożyteczna odmiana kapusia, który zdobywa wiadomości wyłącznie po to, aby podzielić się nimi z czytelnikami. I za to właśnie ciekawscy płacą mu jak rzeźnikowi za kielbasę.

— Moim zdaniem przede wszystkim nie ma większej różnicy między pisarzem i dziennikarzem — twierdzi Pola, która na studiach próbowała pisać wiersze, a jako mężatka artykuły do starego „Tygodnika Sudeckiego”. — Jeden i drugi ma ogromną społeczną rolę do spełnienia. To bardzo odpowiedzialne misje społeczne.

Marek zastanawia się, co jej odpowiedzieć, żeby dała mu spokój. Przy Eugeniuszu mógłby bajdurzyć o apostołstwie pisarza, ale wtedy Magda go wyśmiej. Przypomina więc, że pod koniec dwudziestego wieku polskich pisarzy dzielono na swoich, czyli inżynierów dusz, i burzycieli ustroju. Ci pierwsi mieli powodować, aby w kraju było jak najwięcej ludzi potulnych, a jeszcze lepiej niedowidzących. Okazało się, że nie ich książki, lecz tych drugich, mimo że wydawane w tak zwanym drugim obiegu, były czytane.

— Dziś pisarz powinien pracować jak piekarz, który sam doszedł do tego, co dodać do ciasta, żeby po chleb z jego pieca ustawiały się kolejki klientów. Tu niewiele pomoże jakakolwiek szkoła. Żeby być więcej niż dobrym piekarzem, talent nie wystarczy.

— Jak czytam twoje powieści, czuję się tak, jakbym rozmawiała z tobą w cztery oczy — przymila się Pola. — Mnie odpowiada twój styl, a szczególnie twoje poglądy na życie.

— We mnie jest więcej dziennikarza niż pisarza — przyznaje się samokrytycznie Marek. — Na twoje wcześniejsze pytanie, Polu, o różnicę między dziennikarzem a pisarzem, odpowiem pytaniem. Jaka jest różnica między lekarzem medycyny a dentystą?

— Nie słyszałam, aby mój lekarz rodzinny plombował zęby — wyrывa się Inez.

— A ja widziałam mojego stomatologa, jak udzielał pierwszej pomocy rannemu w wypadku drogowym — nie ustępuje Pola.

— Dentystę i lekarza rodzinnego łączy jedynie to, że obaj są absolwentami akademii medycznej. Identycznie jest z pisarzem i dziennikarzem, chociaż znam autora wielu zbiorków wierszy, który ledwie zdał maturę, ale jemu studia nie były potrzebne, bo on ma talent. Mietek jest poetą i nikim więcej. Dobry pisarz najczęściej bywa kiepskim dziennikarzem i odwrotnie.

Cisza. Czyżby tymi przykładami przekonał ich do mojego projektu literackiego? Nie mają nic przeciw temu, że niektórzy bohaterowie powieści będą do nich podobni? Oczywiście zmienię imiona, wygląd, nawet marki samochodów, którymi przyjechali do Jodłowa, ale nie potrafię ukryć ich wad, usprawiedliwia się Marek tylko przed sobą.



— Gdy zacząłeś mówić o pisaniu, to przypomniałem sobie, że będę miał do ciebie sprawę — przerywa ciszę Eugeniusz, ale nie patrzy na Marka, tylko za płot.

— Jaką sprawę może mieć po-posel prawicy do szarego wyborcy na rok przed wyborami? — odzywa się Nikos ironicznym tonem.

— W odpowiednim momencie mu powiem.

— Nadal przemywamy gardła płukanką z mojej piwniczki czy łykamy gorzką wodę? — Marek zwraca się do Nikosa i Eugeniusza. Obaj pokazują na butelkę z białą wódką.

— Ja z wami, koledzy! — woła rozchocona Jadźka, przedstawiając swój kieliszek.

## **Szwecja po raz drugi**

Natalia wypila łyk wina, podniosła głowę wysoko i się zastanawia, co powiedzieć, żeby wywołać zainteresowanie.

— Gratuluję ci, Mareczku. Naprawdę znakomite. Jesteś tak samo utalentowanym pisarzem, jak producentem wina na własny użytek. Coś podobnego piłam u wujka w Szwecji, jak byłam tam pierwszy raz. Nie, jak byłam drugi raz. Pierwszy raz zawiozłam mu butelkę polskiej wódki. Co innego można było wtedy wywieźć z Polski? Jedyne alkohol.

— Ja grzyby suszone i jagody wozila — odzywa się Jadźka.

— Grzyby też woziłam. Dziewczyny, u nich alkohol uchodzi za cenny prezent, ponieważ jest bardzo drogi. Na osiedlu, na którym mieszkał wujek, był tylko jeden sklep z alkoholem, w dodatku czynny do osiemnastej. A grzyby... wiecie...

— Z eksportu grzybów nasz kraj jeszcze niedawno osiągał dochody porównywalne do dochodów ze sprzedaży węgla.

— Kamienno czy brunatnego? — chce wiedzieć Nikos.

— Przestań się odzywać, bo tylko przynosisz mi wstyd! — Pola strofuje męża. — Kto sprzedaje węgiel brunatny?

— My — natychmiast odpowiada Eugeniusz. — Nie- wielkie ilości kupują Niemcy na zaopatrzenie swoich elektrowni wzdłuż granicy.

— A widzisz — Nikos celuje palcem wskazującym w żonę, lecz nikt nie zwraca na to uwagi.

Natalia robi zadowoloną minę i kiwa głową w kierunku Marka, jakby chciała go jeszcze raz pochwalić za wino. Nie wie, że to, które jest w butelce ozdobionej nalepką „Napój bogów z winnicy w Jodłowie”, pochodzi z Ameryki Południowej. Marek miał szczerzy zamiar poczęstować gości swoim produktem, nawet wstawił dwie butelki do lodówki, lecz Magda uznała to za zbyt odważny krok.

— Dopiero gdy zabraknie kupnego trunku, podasz swój bombol — powiedziała, przeciw czemu Marek nie protestował. Teraz żałuje, bo taka okazja do przeprowadzenia

doświadczenia już się nie powtórzy. Owszem, jak każdy właściciel winnicy może zanieść butelkę swego bombola na konkurs winiarski, ale tam za opinię kiperą na papierze trzeba zapłacić i nie wiadomo, czy ktoś potraktuje ją poważnie. Od dnia uchwalenia ustawy o sprzedaży domowego wina trudno odróżnić produkty zagraniczne od krajowych, a krzewy winorośli rosną nawet wzdłuż ulic Zielonejgóry.

— Niedawno mówiliśmy o religii — przypomina Natalia, co grymasem niezadowolenia kwituje Inez. — Bardzo podobało mi się w Malmö. Dziewczyny, mimo że Szwecja to kraj protestancki, w tym mieście są dwa kościoły katolickie. Do jednego, niedawno postawionego na osiedlu zamieszkałym przez muzułmanów, gdzie grunt jest tani, chodzą Hiszpanie, Chorwaci, Polacy i nieliczni Szwedzi. Wszystko pozostałe jest jak u nas. No, może z wyjątkiem podatku. Każdy w Szwecji musi się zadeklarować, na rzecz którego Kościoła będzie przekazywał jeden procent swego podatku. Ale to jest okej.

— Ateiści i nie-niewierzący t-też? — dopytuje się Nikos. Natalia wzrusza ramionami.

— Jak byłam pierwszy raz, jeszcze nie zbudowano kościoła Najświętszej Maryi Panny, więc oblaci odprawiali msze w kaplicy. Zaskoczyło mnie to, że po zakończeniu mszy jeden z nich zawsze stał przy wyjściu i zęgnął wiernych ściśnięciem dłoni. Z niektórymi osobami zamieniał nawet kilka zdań.

— Niewielu katolików musi być w tym Ma-malmö — dedukuje Nikos.

— Kuzyn, to znaczy mój wujeczny brat, czyli Toni, bo jest jeszcze młodszy, Jan, zawiózł mnie do Lundu. To taki nasz Płock. Albo nie, Toruń. Może bardziej Sandomierz? Wchodzimy do katedry, pięknej romańskiej świątyni, oczywiście rozmawiamy po polsku, to znaczy Toni bardzo się stara, ale idzie mu kiepsko. Państwo są z Polski? Staruszek patrzy na nas wyczekująco, więc odpowiadam, że Toni urodził się w Malmö, tam skończył szkołę, pracuje na pocztce, ja zaś mieszkam w Polsce. Może w Warszawie? Nie, odpowiadam, we Wrocławiu. Szkoda, on na to, bo ja z Warszawy. Pewnie jak wujek, czyli ojciec Toniego, był pan w armii Andersa, po zakończeniu wojny ożenił się pan ze Szwedką i ciągle tęskni za ojczyzną. Nie, kręci on głową. Do Andersa nie zdążyłem. Byłem w wojsku Berlinga. Po wojnie pracowałem jako zastępca redaktora naczelnego pewnego warszawskiego dziennika. W sześćdziesiątym ósmym, po wydarzeniach marcowych, najpierw kazali mi nie przychodzić do redakcji, a potem zamienili dowód osobisty na paszport w jedną stronę. Przykro mi z tego powodu, że musiał pan wyjechać, ja tak do niego, dziewczyny. Zostałem wypędzony. Wypędzony?

— Na pewno Żyd. W dodatku komunista — mówi Eugeniusz, robiąc potępiającą minę. — Przez takich jak on Polska mianowicie stała się wasalem Sowietów. Nie trzeba żałować Żydów.

— Jeśli jeszcze powiesz, że Żydzi zabili Jezusa, kurwa, to przypierdolę ci w ten twój pusty łeb — Inez wyciąga rękę w jego stronę, ściskając serwetkę w dłoni, którą zaczęła wycierać usta.

Eugeniusz nie zważa na jej groźbę, zwraca się do Natalii:

— Dlaczego nie wyjechał do Izraela? Tam na niego czekali z otwartymi rękami. Jeszcze by mu dali garść szekli na pierwsze wydatki.

— O to samo spytałam. Chciałem być jak najbliżej Polski, odpowiedział. Do Szwecji przyjeżdżają turyści z Warszawy, Krakowa, Szczecina, sprzedają im święte obrazki...

— Kto pozwolił Żydowi dotykać chrześcijańskich świętości?

— A co w tym złego, że człowiek pracuje?

— Gdyby żebrał, byłby wstyd. — Pola staje po stronie Natalii.

Nikos kiwa głową ze zrozumieniem, Eugeniusz robi się czerwony na twarzy, wali pięścią w stół, wtedy Magda mruga do Marka, a ten wstaje, klaszcze w dłonie i wznosi toast:

— Zatem wypijmy za nasze żony i kochanki, żeby się nigdy nie spotkały.

## **Sąsiad do tańca**

Jadźka pyta, czy będą tańce. Najadła się tych dobroci, które Magda musiała przygotowywać co najmniej tydzień, a jakich nie ma nawet w niemieckich marketach, wypila z pół butelki wódki białej, musi więc jeszcze dziś

to spalić, bo w niedzielę nie wciśnie się w dzinsy. A jak najszybciej spalić nadmiar tłuszczu, jeśli nie w tańcu? I to nie w tangu-przytulangu, lecz przy muzyce rockand-rollowej, a jeszcze lepiej w rytmie disco polo. W domu starców, gdzie Jadźka jest pielęgniarką, każdej pierwszej soboty miesiąca po podwieczorku każe się wykąpać leśnym dziadkom, potem przywozi tuzin podfruwajek ze szkoły rolniczej i urządza zabawę z tańcami, jaką przechowuje pamięć jej podopiecznych.

— I właśnie dlatego tak cię lubią, Jadziu — dochodzi do wniosku Inez. — A jeszcze jak z którymś pójdiesz w tany, naprzesz na niego udem czy dasz się złapać za kuper...

— Taki jeden jest, profesor doktor inżynier — odzywa się Jadźka. — Na uniwersytecie w Fryburgu pracował. Elegancki. Zawsze świeża koszula, muszka na szyi. Ten to nawet... tyle że od wiosny po operacji usunięcia prostaty.

Inez robi pytającą minę, bo nie wie, co oznacza usunięcie prostaty, ale nikt jej tego nie wyjaśnia. Pewnie bez prostaty można żyć, skoro są ludzie, którym wycięto wyrostek robaczkowy albo tarczycę czy nawet pół żołądka. Magda uśmiecha się, przypominając sobie prezent, jaki Marek dostał od Jadźki, i dopiero teraz zdaje sobie sprawę z tego, że koleżanka obdarowała jej męża z myślą o niej.

— Wieża jest — Jadźka pokazuje na dwa głośniki stojące obok odtwarzacza płyt pod telewizorem. Marek zastanawia się, kiedy ostatni raz słuchał radia i czy potrafi je włączyć za pomocą pilota. — Tylko chłopów za mało.

— Do rock and rolla chłopów wystarczy — uważa Beata, już podrygująca na krześle. — W każdym razie ja sobie wzięłam. Polę i Magdę też ma kto wyobrazać. A wy... — wskazuje palcem Jadźkę, Natalię i Inez — albo stwórzcie trio, albo wyskoczcie przed sklep.

— Jakby ty — proszalnym głosem Jadźka zwraca się do Marka — sąsiada zaprosił...

— Którego?

— Tego, co nasze samochody u niego.

— Zrobię to pod warunkiem, że w tym momencie nie przytula się do swojej żony. Ale można zaprosić Ryżego z kolegą takim samym jak on. Gdy się dowiedzą, co jest na stole, przyjdą natychmiast — mówi Marek przekonany, że wymienienie przezwiska przyhamuje zapęd Jadźki i jej samotnych koleżanek.

— A któż to taki ten Ryży? — pyta Natalia z zainteresowaniem w oczach.

— Miejscowy zalewajło spod sklepu. Jeden z tych, którzy na nic nie mają wpływu, wyłączając wskaźnik bezrobocia w gminie. Czasem trawnik wykosi, żywopłot przyszyje, śmieci wyrzuci... do lasu. Jeśli nie zarobi na piwo z wkładką, to wyprosi, ale nie ukradnie, dlatego go toleruję. Wam jednak radzę omijać go z daleka — wyjaśnia głosem głównodowodzącego Marek, mniemając, że jego zdanie skutecznie wybije im Ryżego z głowy.

— Prostaty pewnie jeszcze mu nie wycięli — Nikos próbuje wszystko obrócić w żarty. — Wedle mojej kobiety najważniejszym organem u mę-mężczyzny jest prostata.

— Ty jak coś powiesz, to nie wiadomo, czy się śmiać, czy płakać — strofuje go Pola. — I taki ktoś tyle lat był wicewojewodą.

— Kazali, to był — Nikos na to. I patrzy na Eugeniusza: — Gdyby kazali zostać po-pośle, byłbym posłem. To-o nic trudnego, pra-awda, Eużen?

— Sąsiada wołaj — decyduje Jadźka, a gdy nie doczeka się reakcji Marka, podnosi się z krzesła i wychodzi z pokoju. — Muzykę nastaw! — krzyczy ze schodów.

— W piątek nie wypada się bawić — twierdzi Eugeniusz.

## **Jadźka przepadła**

Było dobrze po drugiej, gdy Magda umyła ostatni talerz, Marek wytarł go do sucha i położył w kredensie, gdzie jego miejsce. Najpierw Magda czuła się zmęczona, więc uznała, że razem z gośćmi pójdzie spać, wstanie o szóstej, wtedy do śniadania nie tylko pozmywa naczynia, ale i posprząta w salonie po nocnych tańcach. Gdy była gotowa zgasić światło, przypomniał o sobie nawyk wyniesiony z matczynego domu: co masz zrobić jutro, zrób dziś. Marek uważał to za przyzwyczajenie z poprzedniego wieku, na początku ich małżeństwa protestował otwarcie, potem buntował się w myślach, nigdy jednak nie powiedział, że nie pomoże żonie.

Po wieczornej burzy powietrze było przesycone wilgocią. Przez szeroko otwarte okno dostawał się do sypialni



zapach świerków, jodeł, sosen, skoszonej trawy i jeszcze czegoś, czego Marek nie potrafił nazwać. Może tak pachną zioła?

— Śpimy do ósmej — decyduje Magda.

Marek tylko kiwa głową. Na pewno zbudzi się wcześniej i do południa będzie chodził jak skacowany. Zmarowane pół dnia. Sześć, siedem godzin snu mu wystarcza, pod warunkiem że położy się do łóżka przed północą. Od rana, wypoczęty, siada przy laptopie i pisze. Potem wyjmuje ze skrzynki listy, odpowiada na korespondencję nadsyłaną pocztą elektroniczną i tradycyjną, przegląda gazety. Po południu pracuje w ogrodzie i na podwórku. Wczesnym wieczorem bardziej konfrontuje niż ogląda wiadomości telewizyjne, a potem kładzie się do łóżka, gdzie leżąc, czyta nowe lektury. Między podwieczorkiem a kolacją stara się wykroić trochę czasu na rozmyślenia. Projekty nowych powieści najczęściej układa podczas koszenia trawy albo przy pieleniu ogrodu. Notesik ma również przy łóżku po to, aby w nocy zapisywać myśli, które podrzucają mu muzy. Pomysł tej powieści, którą zacznie pisać w poniedziałek rano, też przyszedł do niego w nocy. Zanotował tylko tytuł: *Zjazd koleżeński*, potem przez kilka dni chodził jak skołowany, nie słyszał nawet, o co go prosi żona. Magda już do tego przywykła i przestała mu zarzucać, że ją lekceważy.

— Maadziu, Maadziu.

Marek słyszy przeciągły szept. Najpierw wydaje mu się, że to we śnie, ale potem głos jest coraz bardziej natarczywy, otwiera oczy i w mroku dostrzega zarys kobiety.

— Jadźki nie ma — poznaje Inez po głosie.

— Jak to: nie ma?

— No, kurwa, nie ma. Pizda nie wróciła.

— Skąd miała wrócić?

— Skończyły się tańce, Magda z tobą wzięła się za zmywanie naczyń, a my poszliśmy do swoich pokoi. Jadźki nie było. Myślałam, że została z wami w kuchni i pomaga przy zmywaniu... Niedługo zacznie się rozwidniać, a jej, kurwa...

— Nasza Jadźka zginęła? — nie dowierza Magda.

— Ubiorę się i zaraz zadzwonię do niej na komórkę — mówi Marek przekonany, że to najlepsze wyjście.

— Od tego zaczęłam, kurwa, zanim do was przyszłam. Jej komórka leży w naszym pokoju na stole.

— Tu przecież nie ma zasięgu — przypomina Magda.

— Może poszła na cypel? Pewnie chciała się wykąpać w jeziorze. Po deszczu woda zawsze najcieplejsza.

— Po kiego chuja, kurwa, w nocy? Do tego sama w obcym miejscu? — nie dowierza Inez.

— O rany... — jęczy Magda. — A jak coś się jej stało? Piła dużo...

— Trzeba jej szukać. — Marek wstaje z łóżka i się zastanawia, od którego miejsca zacząć poszukiwania.

Inez słyszy jakiś szmer w sieni, nasłuchuje, zapala światło i widzi Jadźkę wspinającą się po schodach.

— Gdzieś, kurwa, była po ciemku?! — naskakuje na nią, pokazując zaciśnięte dłonie.

— A ty jeszcze nie śpisz? — pyta Jadźka, śmiejąc się od ucha do ucha.

— My tu odchodzimy od zmysłów... Dlaczego nie powiedziałaś, że masz zamiar pospacerować? Ktoś by z tobą poszedł. Różni tu przyjeżdżają. A jakby który cię zgwałcił? Nie rób tego więcej.

To, o czym mówi Magda, Jadźka uważa za zbędną gadaninę, więc się śmieje wyrażnie zadowolona. Policzki ma zaróżowione, włosy w nieładzie, poprawia bluzkę pod szyją, jakby szykowała się na spacer, i obciąga spódnice. Dopiero teraz Magda zauważa, że Jadźka trzyma stringi w lewej ręce. Inez też je widzi. Marek chce powiedzieć coś takiego, co będzie oznaczało, że przede wszystkim on czuje się odpowiedzialny za bezpieczeństwo gości.

— Macie bardzo dobrego sąsiada — mówi Jadźka i śmiejąc się, wchodzi do sypialni.

Inez nie wie, czy powinna iść za nią do pokoju i tam powiedzieć, co myśli o takim zachowaniu, czy zostać z Magdą i Markiem.

— Nienasycona cipa — syczy Inez. — Kiedyż ona będzie miała dość?

# TRZECI DZIEŃ

## **Magda każe czekać do jutra**

Magda leży na prawym boku przytulona do Marka, nie może zasnąć, stara się myśleć o czymś innym, lecz oczyma wyobraźni widzi płonący wzrok Jadźki i sąsiada, słyszy ich szybkie oddechy, pociąga nosem i czuje zapach męskiego potu. Gdyby sąsiad jeździł czymś podobnym do bentleya albo przypominał Patricka Swayze'ego z serialu *Północ — Południe*, w ostateczności był generałem z wąsami à la Piłsudski czy nawet Wałęsa, zrozumiałaby koleżankę. Chyba że sąsiad ma w sobie coś, czego Magda dotąd nie dostrzegła, a co zwabiło Jadźkę do jego łóżka. Co to może być?

— Jestem taka niewyspana — skarży się Magda Markowi, który również długo nie mógł zasnąć. — Wszystko przez to zaskakujące zdarzenie. Byłam przekonana, że kogo jak kogo, ale Jadzię znam najlepiej spośród wszystkich koleżanek. Pięć lat w jednym pokoju. Żadnych tajemnic. Pożyczaliśmy sobie nie tylko bluzki czy szpilki, ale nawet staniki i majtki. Mało tego, jak któraś nie miała

okresu we właściwym czasie, zachodziłyśmy w głowę, co się stało. Wtedy wierzyłyśmy, że nie tylko z facetem w łóżku, ale i podczas kąpieli w basenie można zająć w ciążę.

Marek już otwiera usta, żeby potępić Jadźkę, gdy mu się przypomina poprzednia noc. Nie uważa się za winnego. Przecież Jadźka tak go otumaniała, że nawet nie spostrzegł, kiedy położyła się obok i skusiła do tego, czego z własnej woli z nią by nie zrobił. Właściwie nie Marek, lecz ona podpowiadała i tak nim kierowała, że spełniał każde jej życzenie, a wymagania miała ponad jego umiejętności. Pewnie nie sprawdziłem się jako mężczyzna, dlatego Jadźka musiała dokończyć tamtą noc w łóżku sąsiada, myśli najpierw ze wzburzeniem, a zaraz potem z zawiścią. I opasuje Magdę ramieniem, bo nie czuje się winny, lecz ona szepcze, że w pokojach obok są goście.

— Jeszcze usłyszą.

— A co w tym złego?

— Jutro po południu, gdy wszyscy wyjadą, będziemy tylko dla siebie — obiecuje, lecz Marek jej nie wierzy. Ledwie goście wyjadą, Magda włączy pralkę, wyciągnie odkurzacz ze schowka, powie, żeby pomógł, na przykład wytrzepał chodniki albo umył okna, a gdy to zrobi, wymyśli jeszcze setkę innych zajęć. Wszystkie pilne. — Pośpimy sobie z niedzieli na poniedziałek. Teraz... musimy wstawać.

Magda siada na łóżku, sięga po bluzkę z dużym dekoltem, wciska się w rybaczki, w których przyjechała wczoraj. Marek uważa, że w przeciwieństwie do Beaty i Poli jego żona ciągle jest bardzo zgrabna, chociaż pewnie nie zmieściłaby się w suknię ślubną. Kiedyś nawet zaproponował, aby wybrali się na bal dziennikarzy w tym, w czym przyrzekali sobie miłość, uczciwość i wierność małżeńską. Magda zmierzyła go takim wzrokiem, że już nigdy więcej nie odważył się myśleć o niej jak o pannie do wzięcia.

— Pomóc ci w czymś? — pyta Inez, zamykając za sobą drzwi łazienki. A widząc, że Magda kręci głową, mówi: — W takim razie idę dokończyć przerwany sen. Gdybym nie wstała na śniadanie, mną się nie przejmujcie.

## **Nikos jest niemożliwy**

— Nie jesteśmy w naszym łóżku — przypomina Pola szeptem. Mimo to Nikos wciska rękę pod jej nocną koszulkę z prawdziwej bawełny, którą kupiła specjalnie na ten zjazd. — Fe, śmierzisz alkoholem. — Nikos nie pamięta, kiedy wlał w siebie tyle wódki, ile wczoraj. Film mu się urwał przed północą. Nawet nie wie, że Marek zaprowadził go do pokoju, przy pomocy Poli rozebrał i położył do łóżka. — Błagam, przestań mnie kusić. — Nikos całuje jej ramię. — O, słońko nas podpatruje. — Nikos nie otwiera oczu, więc nie wie, że słońko

podpatruje jego i Polę. — Na amory wzięło cię akurat teraz. W nocy, zaraz po tańcach, mówię jak na świętej spowiedzi, miałam ochotę, ale ty byłeś tak naprany, że nie wiedziałeś o Bożym świecie. — Nikos nie może się zdecydować, czy najpierw położyć dłoń na lewej czy na prawej piersi Poli. Lewe wzgórze jest większe i od serca. — W domu musisz wypić ze dwa kieliszki, żeby zrobić to, co z ochotą powinienes robić jako mój mąż przynajmniej raz w tygodniu, bez namawiania. — Nikos czuje, jak sutek lewej piersi Poli twardnieje pod jego palcami. — Bardzo cię proszę, mój drogi, daj mi spokój. — Sutek prawej piersi też się stawia. — Nie teraz, kochanie. — Pola przytrzymuje jego dłoń na swojej piersi. — Jeszcze ktoś usłyszy i będziemy musieli się czerwienić. — Nogę zgiętą w kolanie Nikos kładzie na udzie Poli. — Pewnie Magda i Marek już wstali, szykują śniadanie. Zaraz któreś może do nas zajrzeć i co sobie pomyśli? — Palce Nikosa wędrują w stronę pępka Poli. — Beata i Eużen pewnie też się obudzili, nasłuchują. Ona zawsze była taka ciekawska, że aż strach. — Kciuk dłoni Nikosa zagląda do pępka. — Może Jadźka z Inez również nasłuchują. Ich pokój przylega do naszego. Domek drewniany, to ściany mają uszy. A w ogóle to powinni sobie postawić coś bardziej okazałego. Letnie domy mają biedniejsi. No, powiedz sam, czy ich nie stać na dworek? — Mały palec jego ręki dociera do gęstwinki. — Natalii będzie przykro, że tyle lat sama, bez mężczyzny. — Nikos czuje, że Pola rozsuwa nogi i przyciąga go do siebie. — Jesteś niemożliwy.

## **Beata też zawsze ma rację**

Beata źle spała tej nocy. Zawsze źle śpi na nowym miejscu. Wypiła nawet dwa kieliszki wina więcej niż zwykle, aby po przyjściu do pokoju czmychnąć do łóżka i natychmiast zapaść w głęboki sen. Obudziło ją ćwierkanie ptaków, mokry zapach drzew i kwiatów po ulewie, ochrypnięte szepty niosące się aż znad jeziora. Rozwidniało się. Eużen chrapał jak zawsze po wódce wypitej w nadmiarze. Beata chrupkała, mlaskała, psykała, nawet uszczypnęła go w policzek, co okazało się daremnym trudem. Potem słyszała czyjś głos, ale to nie była rozmowa. Może radio w kuchni? Pies szczekał w pobliżu. Skąd tu pies? W Jodłowie same domki oznaczone antenami satelitar-nymi. Dolegliwość naszej cywilizacji naszpikowanej elektroniką, uważa Beata. Coś jak uczulenie na pyłek kwiatowy u dzieci. Albo jak nowotwór szyjki macicy u kobiet czy rak prostaty u mężczyzn. Wspaniały temat na międzynarodową konferencję naukową pod patronatem opozycji parlamentarnej. Po powrocie do Legnicy będę musiała porozmawiać z synami i ich żonami, czy pomogą. Starszy, ten po biologii molekularnej w Heidelbergu, nigdy nie odmówił matce. W przeciwieństwie do młodszego, perfekcyjnej kopii Eużena, pierworodny lubi rozwiązywać zagadki, które wymyśla Beata. I częściej niż młodszy do niej telefonuje. Niekiedy opowiadał jej nawet przez pół godziny, aż musiała zwrócić mu uwagę, że taka rozmowa kosztuje majątek.



— Kilka najważniejszych zdań, syneczku, i wystarczy. Pieniądze mógłbyś odłożyć na lepszy samochód. Albo na wypoczynek...

— Rozmawiam z telefonu służbowego, mamusiu. Wszystko wliczę w koszty działalności firmy.

— To co innego, syneczku.

Wsparta na prawej ręce, Beata leży na boku, uśmiecha się i dalej marzy. Jesienią przyszłego roku będą wybory parlamentarne, do tego czasu musi przekonać szefa legnickiej prawicy, żeby ją zgłosił jako najlepszą kandydatkę do senatu. Eużen nadal będzie posłem, a ona senatorką. Ma już tyle lat, że dyrekcję szkoły powinna przekazać komuś młodszemu, choćby żonie szefa miejskiej prawicy, co zrobi natychmiast, pod warunkiem że dostanie się do senatu. I tego samego dnia zawiesi emeryturę. Byłaby głupia, jeśliby tego nie zrobiła, skoro pensja senatorki jest kilka razy większa niż świadczenie emerytalne... Czy znajdzie ktoś w Polsce jeszcze jedną rodzinę tak oddaną ojczyźnie? Gdyby jednak za mało wyborców ją wskazało jako godną zasiadania w senacie, czego się nie spodziewa, ale co bierze pod uwagę, wtedy zostanie radną. Pieniądze dużo mniejsze niż pensja senatorki, bo i odpowiedzialność prawie żadna. Diety radnej razem z emeryturą powinno jej wystarczyć na wygodne życie, zwłaszcza że mąż nadal będzie posłem.

— Jaki dziś mamy dzień tygodnia? — pyta Eużen, czując palce Beaty na obojczyku.

— Zaczęła się ósma godzina soboty. Będzie piękny dzień. Ptaszki od trzech godzin śpiewają...

— Czyli nie poniedziałek.

— Sobota — potwierdza Beata szeptem, przytulając się do pleców męża.

— A my, żono moja, mianowicie robimy to raz w tygodniu. Zawsze w poniedziałek przed wieczorem.

— Ja dziś mam ochotę. — Beata wciska swoje kolano między uda Eużena.

— Nie powinniśmy łamać prawa.

— Jakiego prawa?

— Uchwaliliśmy jednomyślnie, że w każdy poniedziałek, zanim odwieziesz mnie na dworzec, spotykamy się w naszym łóżku, aby nie zaniedbać powinności małżeńskich.

— Od każdej reguły bywają mniej lub bardziej uzasadnione odstępstwa. A prawo jest po to, żeby je łamać.

— I ty, żona posła na sejm Rzeczypospolitej, dyrektor wiodącej szkoły, wychowawczyni młodego pokolenia, tak mówisz? Nie dziwię się zatem, że tyle osób jest na bakier z konstytucją.

— Eużen... — Beata nic sobie nie robi z uwagi męża. Nie tylko prawe kolano, ale i lewą rękę wetknęła między jego uda. Czuje, że jeszcze ułamek minuty i będzie tak, jak ona tego pragnie. Tylko żeby łóżko nie trzeszczało, prosi w myślach.

— A jeśli Magda i Marek usłyszą?

— To sobie pomyślą, że mimo twojego posłowania jesteśmy normalnym małżeństwem. I się kochamy bez względu na to, gdzie przyszło nam spędzić noc.

— Ty, Beti, zawsze masz rację. Czyż można się z tobą nie zgadzać w jakiejkolwiek sprawie?

— Słyszysz? — Beata nastawiła uszu, a Eugeniusz zamarł w bezruchu wsparty na rękach. — Pola i Nikos też robią to, co wieczorem i rano powinno robić kochające się, zadowolone z życia małżeństwo.

## **Natalia przyjmuje życzenia**

— Jeśli złożycie mi życzenia, to coś wam postawię — dopomina się Natalia.

— Z jakiej okazji? — chce wiedzieć Beata, roześmiana od ucha do ucha, mrugając wdzięcznie do Eugeniusza. — A! — oburącz chwyta się za głowę i zrywa się z krzesła, jakby zapomniała wyłączyć żelazko. Przeskakując po dwa schody, galopuje do pokoju, gdzie w torbie został ostatni prezent. Włożyła go na wszelki wypadek bez zgody męża. Akurat teraz się przyda. Eugeniusz cwałuje za żoną.

— Z okazji mojego święta. Dziś Natalii. Schłodzony szampan, panowie, dobrze robi na kaca. Ale nie ma nic za darmo, szczególnie gdy chodzi o podwójną wdowę. Okej?

— Z powodu tej spiekoty zapomniałam o twoich imieninach — przyznaje się Pola i przypomina Nikosowi, że zaraz po powrocie do Wałbrzycha musi kupić klimatyzator do peugeota. Po chwili już nie ma do niego pretensji, śmieje się wyraźnie zadowolona, rozpinając bluzkę.

— Dziś cię, Natusiu, wycalujemy, uściskamy najserdeczniej, a prezent taki, jaki sobie wybierzesz, dostaniesz pocztą. Co byś chciała? Już wiem. Nikos, w poniedziałek pójdziesz do tego twojego kolegi od kamieni. Wisiorek z ametystem może być? — pyta Natalię. Widząc wahanie w jej oczach, decyduje: — Dostaniesz srebrny wisiorek z ametystem. W Wałbrzychu akurat o ten kamień nie jest trudno. Kolega Nikosa, zaraz po nim był wicewojewodą, prowadzi firmę gemmologiczną. Nikos często u niego przesiaduje, a nawet jeździ z nim w góry po ametysty.

— Powinnaś wiedzieć, że nazwa tego kamienia pochodzi od greckiego *amethystos*, co dosłownie znaczy: niepijany, czyli po polsku: trzeźwy. Dany od serca ametyst chroni jego posiadaczkę przed chorobami zakaźnymi i wszelkim nieszczęściem — popisuje się swoją znajomością gemmologii mąż Poli.

Marek zauważył, że Nikos nie jąka się, gdy sprawa dotyczy tego, co go naprawdę interesuje.

— Wolalabym dostać wisiorek z takim kamieniem, który przyciąga facetów na fleku, z pełnym portfelem oraz do tańca i różańca.

Pola zerka na Nikosa, on na nią patrzy zadowolony. Oboje wiedzą, że oczekiwaniom Natalii odpowiada ametyst pasiasty, a ponieważ to rzadki kamień, jest droższy niż turkus.

— Mam! — Nikos wstaje z krzesła ociężale, garbi się jak profesor na wykładzie z geologii dla jubilerów.

— Agat pasiasty. — Nie wyjaśnia, że to kamień pospolity w Tłumaczowie niedaleko Kłodzka. Wsiądzie do peugeota i za pół godziny będzie na miejscu. Co to dla niego! — Być może uda mi się znaleźć okaz, który po oszlifowaniu i opracowaniu sprawi ci radość i zmieni twoje życie na najszcześniejsze. Nie obiecuję, bo kamień to jak człowiek: nie każdy jest tym, którego szukasz. Też trzeba mieć szczęście.

— Dziękuję z całego wdowiego serca. — Natalia wspina się na palce i całuje Nikosa w wygolone, pachnące niveą policzki. — Tobie też dziękuję — przytula się do Poli. — Wszystkim dziękuję za pamięć. Okej? To znaczy... troszkę was oszukałam, za co przepraszam. Moją patronką jest święta Natalia z Toledo, ścięta w dziewiątym wieku. Jej święto przypada pod koniec lipca, ale dziś nie mogłabym przyjmować życzeń od was. Pomyślałam więc, że wyjątkowo w tym roku będę obchodziła imieniny w dniu świętej Natalii z Nikodemii, a to wypada właśnie dziś. Natalia z Nikodemii żyła pięć wieków wcześniej od Natalii z Toledo, również broniła wiary chrześcijańskiej. Zresztą robię to wyłącznie dla dobra ludzkości.

Nawet gdyby Natalia nie obchodziła imienin w sierpniu, Magda złożyłaby jej życzenia i domagała się szampana, dlatego ledwie dostrzegalnie mrugnęła do męża. Marek wrócił po minucie, akurat Beata i Eugeniusz ścisłali solenizantkę, a ona śmiała się zadowolona od ucha do ucha. Czego jej życzyli, nie usłyszał. Pewnie trzeciego męża, który wyprawi jej pogrzeb. Paczuszkę opasaną

bordową wstążką podał Magdzie. Bukiet pachnących róż, które rano ściał na klombie przed domkiem, wyciągnął przed siebie i z głową uniesioną po aktorsku, recytuje:

— Jeszcze na chodzie dwukrotna wdowa z miasta Wrocławia / do znudzenia o pobycie w Szwecji rozprawia, / miast gacha sobie przygruchać, / aby miał ją kto wy... słuchać, / to po nocach sama musi się w łóżku zabawiać.

Natalia wybucha perlistym śmiechem, Pola zaś nieruchomieje i patrzy to na Magdę, to na Jadźkę.

— Coś jak limeryk! Na poczekaniu ułożyłeś prawdziwy limeryk dla Naty? — nie dowierza Beata. — Ja też chcę. To najlepszy prezent. Może być fraszka albo nawet aforyzm.

— Niezła z wieczora, jednak lepsza z ranka / z Gienkowej Beaty jest kochanka.

— Mianowicie mądrze gada — cieszy się Eugeniusz. Pozostali milczą, bo i skąd mają wiedzieć, że to prawda. Beata najpierw opuściła głowę, jakby się wstydziła, a potem podniosła ją na męża, mrugnęła zadowolona, czego nikt poza Inez nie zważył.

— Może i na swoją żonę coś masz? — pyta Magda przekonana, że Marek ją oszczędzi albo ułoży taką rymowaną, że koleżanki spuchną z zazdrości.

— Magda lubi we śnie grzeszyć, lecz to nie jej wina. / Czego w dzień za mało, tego w noc się dopomina.

— Gdybym nie słyszała, to bym nie uwierzyła. Mareczku, tobie to tak łatwo przychodzi. Masz talent satyryka!

Powinieneś pisać teksty do jakiegoś kabaretu, żeby cała Polska słyszała — twierdzi Beata zachwycona igraszkami.

— To się-ę nadaje do te-elewizji.

— Która jeszcze nie boi się, że ujawnię jej słabostki?

— pyta Marek rozochocony i zerka na Jadźkę.

Cisza pod czereśnią i na podwórku. Tylko od strony sklepu niesie się czyjś śpiew. O, kamrat Ryżego już wstał, poznaje Marek po głosie. A Ryży jeszcze kima.

## **Marek katuje się wątpliwościami**

— Oczywiście te fraszki mu-musisz umieścisz w powieści — mówi Nikos. — Gdybyś nie pamiętał, co ułożyłeś, za-apisałem flamastrami, co je dostałem w prezencie od Gienka.

Marek kiwa głową i idzie za Magdą do kuchni przygotować śniadanie. Ona wyjmuje brzuchate półmiski i salaterki z lodówki, a on jak kelner w renomowanej restauracji nosi je do jadalni i ustawia na stole. Zawsze pomagał żonie, odkąd są małżeństwem, a gdy byli goście w domu, dawał się nawet wykorzystywać. W przeciwieństwie do wielu mężów Marek interesował się tym, co Magda przygotowywała, pytał, gdzie ma postawić ten półmisek, gdzie tamten, podpowiadał, że to czy tamto lepiej podać za chwilę, bo brakuje miejsca na stole, a jak potrawa wystygnie, to będzie mniej apetyczna. No i przede wszystkim szkoda roboty. Teraz milczy, nawet

nie zadaje głupich pytań, na które Magda nie znajduje odpowiedzi na poczekaniu. Nie mówi dwanaście tysięcy siedemset siedemdziesiąty piąty raz, że ją kocha jak sztućbak, że mu bardzo dobrze na wcześniejszej emeryturze, a najlepiej w Jodłowie, nie zatrzymuje się za nią i nie składa pocałunków na szyi, nie łapie za piersi ani nie obejmuje w pasie. Coś go dręczy, domyśla się Magda i kątem oka zerka na Marka. Pewnie kac. A może Eugeniusz znowu coś bzdurnego mu powiedział? Albo Nikos głupio się odezwał? Nie, nie, zaczepia go wena, moja najpoważniejsza rywalka.

Wpatrzony w niewidoczny dla niej obraz, Marek notuje w głowie to, co w wolnej chwili przeniesie na ekran monitora i zapisze w pamięci laptopa. Od tej chwili zamiast się cieszyć, że uwolnił głowę z notatek, nie otworzy do niej ust, zamyślony potrafi zapomnieć, gdzie jest i jakie zadał pytanie. Takiego męża Magda nie lubi, a im starszy, tym częściej i na dłużej umyka w książkową gęstwinę.

Już prawie wszystko Marek wie o swojej nowej książce. Obliczył, że jeśli będzie pisał po stronie dzień, to w połowie maja przyszłego roku skończy pierwszą wersję powieści. Wziął pod uwagę święta, spotkania z czytelnikami, niemożliwe do przewidzenia pogrzeby, choroby oraz jego coraz dłuższe braki nastroju. Potem powstanie druga wersja, po niej pewnie trzecia, czwarta, może też piąta i dopiero wtedy pokaże maszynopis Magdzie. Jej oceny boi się najbardziej, a właściwie nie



oceny, tylko pytań. Dlaczego tym razem napisałeś w taki sposób, jakby to była lekko zdeformowana fotografia? Ile w tej książce jest z naszego prywatnego życia? Nie boisz się, że niektórzy bohaterowie, jak choćby Ryży albo celnik, odnajdą swoje wizerunki i przestaną mówić ci „dzień dobry”? A czy ta harcerka nie wniesie sprawy do sądu, gdy się wyda, że nie było spotkania autorskiego? Kogo jeszcze sportretowałeś i czy z tego powodu nie będę miała kłopotów w pracy? Czy się mylę, że niektóre postaci kobiece są za mocno uwikłane w problemy znane mi z autopsji?

Nosząc półmiski i salaterki z kuchni do pokoju, Marek zastanawia się, czy na powieściowy zjazd koleżeński wprowadzić parę fikcyjnych bohaterów, na przykład satyryków, bo skoro tak łatwo poszło mu z rymowanymi, które rozweseliły nawet nadętego smutasa Gienka, to może również i kpiarze powinni być w Jodłowie. Idiotyzmy, które na pewno widzą i słyszą, lecz nie potrafią z nich drwić, koleżanki Magdy, mogą wytknąć szydercy. Poszerzony o chichy-śmichy powieściowy zjazd będzie prawdziwszy. Czytelnicy lubią porównywać swoje spostrzeżenia z opiniami innych, nie znoszą tylko, gdy autor stawia przed nimi lustro panoramiczne i każe spojrzeć na swoje odbicie. Obawiał się jednak, że zamiast fikcyjnych prześmiewców wprowadzi do powieści kolegów z lat studenckich, czyli zawodowych kpiarzy z kabaretu „Potem”, czym narazi się Magdzie, która uzna, że zrobił jej na złość.

Na wspomnienie jednego z nich, chyba Romka, Magda się uśmiechała, ale nie tak, jak każdy, kto przez półtorej godziny trzymał się za boki i jeszcze po spektaklu chichotał. Inez zdradziła Markowi, że zanim Magda zaczęła na noc zostawać w jego pokoju w akademiku, budziła się w swoim łóżku w Vicewersalu i uśmiechała się do zdjęcia faceta, które przyczepiła szpilkami do maty.

I skoro w powieści ma być aż tyle prawdy, to może powinien ją podpisać nie pseudonimem, jak wszystkie wcześniejsze książki, lecz swoim prawdziwym imieniem i nazwiskiem. Ale zaraz naszły go wątpliwości. Jego nazwisko pamiętają starsi czytelnicy gazety, będą więc kojarzyli go z publicystyką, a nie z literaturą, a on przecież już zamknął tamten rozdział swego życia. Teraz chce być tylko pisarzem, bezpieczniej powiedzieć: literatem. I przejść do historii Zielonejgóry jako ten, który portretując miasto i jego mieszkańców, zadawał tysiące mądrych pytań, lecz nie znajdował odpowiedzi, chociaż szukał ich nawet tam, gdzie nikt nie zaglądał. Marek zdaje sobie sprawę z tego, że zadaniem pisarza jest ostrzegać przed złem, spędzać sen z powiek wtedy, gdy sytuacja jest sielankowa, wytykać ważniejsze błędy i wskazywać drogi prowadzące do prawdy, ba, nawet kpić, krótko mówiąc: widzieć więcej niż czytelnik, ale nie obrażać, nie wywyższać się, a już na pewno nie być inżynierem dusz czy budzikiem patriotyzmu. Pisarz, który tak postępuje, nie odważa roboty za czytelnika i dlatego jego książka może

być prawdziwym przyjacielem, a o to coraz trudniej od czasu, gdy człowiek zbratał się z komputerem.

---

Z ZAPISNIKA

---

*Znając kategorię fikcji literackiej i status postaci w dziele literackim, traktujemy ją jako opowieść o wydarzeniach rozgrywających się w Winnejgórze. Ale równie dobrze możemy wziąć ją do ręki i wyjść na spacer po zielonogórskich ulicach. Będzie ona dla nas wówczas czymś w rodzaju subiektywnego literackiego przewodnika po mieście. Zabierze na plac Matejki, zarysowując jego historię i wyjaśniając, skąd wzięty się malowidła na kamienicach, przeniesie do hotelu Polan i pokaże uroki wielu innych zakątków. To trochę tak, jakbyśmy z Pawłem Huellem (np. w „Weiserze Dawidku” czy „Opowiadaniach na czas przeprowadzki”) zwiedzali Gdańsk. Wreszcie dojrzałsi czytelnicy od dawna mieszkający w Zielonej Górze w kreacji bohaterów mogą domyśleć się analogii z konkretnymi osobami związanymi z historią miasta, a może nawet zobaczyć gdzieś siebie.*

Marcin Jerzynek, *Literat*

---

## **Herbatka na przepicie**

Po późnym śniadaniu wszyscy przenieśli się na podwórze, gdzie w cieniu rozłożystego klonu przypominają sobie wrocławskie czasy. To stały rytuał każdego zjazdu

koleżeńskiego. Mężczyźni nie chcą przyjąć do wiadomości, że istnieje naukowo udowodniony związek między ubywaniem włosów z posiwiałych głów a tempem przywoływania zdarzeń z młodości. Innego zdania są kobiety, toteż często zastanawiają się, ile prawdy jest w tym, co się któremuś przypomniało akurat teraz. Gdy spotkają się za rok, one również nie będą miały wątpliwości, jak było. Nawet w ich gronie absolwentek uniwersyteckiej polonistyki sprawdza się stare przekonanie, że zmyślenie często powtarzane staje się prawdą.

Upał przyjechał na wypoczynek do Jodłowa w połowie czerwca i pewnie jest mu wygodnie, bo niebawem koniec sierpnia, a on nie ma zamiaru wracać na południe. Mężczyźni wyciągają ręce po puszki z zimnym piwem, kobiety zaś ustawiają przed sobą filiżanki i proszą Magdę o herbatkę, której nieznany zapach je nęci.

— Bardzo dobra, kurwa — chwali napój Inez. — Wręcz zajebista, jak twierdzili moi uczniowie.

— Lekko cierpka, troszkę gorzkawa, a jednocześnie wyostrażająca smak — mówi ze znawstwem Pola.

— A na co ten wywar mianowicie jest najlepszy? — pyta lekceważąco Eugeniusz.

— Musi na o-ochotę do figlowania — udaje rubasznego Nikos i natychmiast karleje, zganiony karcącym spojrzeniem Poli. To dziś druga jej taka reakcja, a dopiero po śniadaniu.

— Ty jak się odezwiesz, to nie wiadomo, czy się śmiać, czy płakać. Idiotę z siebie robisz. I pomyśleć, że ktoś taki mógł być wicewojewodą.

Eugeniusz chce powiedzieć, że Nikos był wicewojewodą w poprzednim systemie politycznym, gdy obowiązywała wykpiona zasada: mierny, ale wierny. Otworzył usta i czeka, kiedy będzie mógł popisać się spostrzegawczością, gdy stróżujący przy nim aniołek przypomina, że w tej sprawie nic się nie zmieniło. Przecież nie po to partie otumaniają naród i zaciągają długi w bankach na wygranie wyborów, aby władzę sprawowali ci spośród ich przeciwników politycznych, którzy są zdolniejsi i uczciwsi. Jest więc, jak było: rządzą mierni, ale wierni.

— W Szwecji mają herbaty z całego świata, nawet z Tybetu, o Indiach i Sri Lance nie wspominać, bo to oczywiste, okej, ale czegoś podobnego nie piłam — przyznaje się Natalia. — Polski produkt? Gdzie ją kupiłaś?

— Nigdzie — odpowiada Magda, robiąc tajemniczą minę.

— To skąd ją masz? — Natalia nie rozumie. Beata też wybałusza oczy i zdziwiona taką odpowiedzią otwiera usta z wrażenia.

— Sama przygotowałam.

— Sama? — dziwi się Pola, pochylając się nad dzbankiem. — Ktoś musiał ci podpowiedzieć, jakie zioła i w jakiej proporcji należy mieszać, aby uzyskać taki napar, jaki nam podałaś. Wyczuwam bardzo dobrej jakości miętę.

— Tam rośnie — Magda pokazuje na chaszczę przed kuźnią.

— Dzika?

— W ubiegłym roku Marek posadził miętę pieprzową, żeby nie kłuć nóg w chaszczach, ale nasza, ta bardziej szlachetna, okazała się mniej aromatyczna niż nadwodna. Herbatce, którą się zachwycacie, aromat dają suszone liście mięty nadwodnej, czyli zebranej przed kuźnią. Przyroda najlepiej wie, czego ludzie potrzebują.

— To się zgadza — wtrąca Nikos i skarcony wzrokiem Poli wyciąga rękę po szklankę z piwem.

— Zioła rosnące w naturalnych warunkach mają bardziej intensywny zapach — przypomina sobie Eugeniusz. Tyle jeszcze pamięta ze studiów. Gdyby jednak Beata kazała mu zasadzić miętę w ogródku, nie umiałby tego zrobić. Nawet nie wie, jak wyglądają liście mięty.

Magda puchnie z dumy. Nie spodziewała się, że koleżanki wypiją duszkiem dzbanek naparu. Zanim pójdzie do kuchni i przygotuje drugi, większy dzbanek, wyjaśnia:

— Bijcie, zabijcie, nie pamiętam, skąd mam ten przepis. Pewnie znalazłam go w jakiejś gazecie... Nie, już wiem! Przed zeszłoroczną Wielkanocą byłam na medytacjach u benedyktynów. Codziennie do każdego posiłku zamiast czarnej herbaty z cytryną czy kompotu podawali nam napar. Wyjątkowo mi smakował. Co to jest? Zakonnik, który towarzyszył medytantom w jadalni, nie chciał zdradzić składu mieszanki, ale obiecał, że spyta swego przełożonego i jeśli zwierzchnik nie będzie miał nic przeciw ujawnieniu tajemnicy, to powie przed rozjazdem do domów. Napar był z melisy lekarskiej, dziurawca zwyczajnego, kopru włoskiego i pospolitego kminku. Jeszcze w sklepiku klasztorным kupiłam wszystkie suszone

ziola. Gdy je zaparzyłam w domu, Marek podpowiedział, że herbatka byłaby bardziej orzeźwiająca, gdyby do ziół dodać odrobinę mięty. Oto i cała sztuka.

— Chyba lepsza na kaca niż browarek — mówi z niedowierzaniem Eugeniusz, odsuwając od siebie szklanke z piwem.

## **Marek nie jest dziwakiem**

— Ile wy-wyciągasz z pisania? Mie-miesięcznie. Da się przeżyć? — pyta Nikos, wracając do wczorajszej rozmowy o książkach.

— Każdy pisarz to dziwak — gasi jego ciekawość Pola. — Pamiętacie, dziewczyny, co mówił profesor Dudek na historii literatury?

Wszystkie się roześmiały, a ponieważ Pola nie kontynuowała i żadna nie przypomniała, co profesor Dudek mówił o pisarzach, Nikos prosi, aby któraś wyjaśniła, dlaczego każdy pisarz jest dziwakiem.

— Proszę bardzo. Nie wszyscy pewnie, ale wielu autorów obowiązkowych lektur dla dzieci to zboczeńcy. Lewis Carroll fotografował nagie dziewczynki. Jego *Alicja w Krainie Czarów* jest pełna znaków erotycznych. Oskar Wilde, autor *Bajek*, dwa lata siedział w więzieniu za pedofilię, miał dwoje dzieci z żoną i tuzin męskich kochanków. Ernst Hoffmann, ten od *Dziadka do orzechów*, i James Barrie od *Piotrusia Pana* też byli biseksualistami. Gejem był Hans Christian Andersen. Ten uważany za najznakomitszego baśniopisarza swojej epoki w listach

do Edvarda Collina nie ukrywał, że jego uczucia są takie jak uczucia kobiety. I prosił kochanka, aby ta jego kobieca natura pozostała tajemnicą.

— I co z tego? — pyta Inez i zaraz odpowiada: — Liczy się to, kurwa, co po sobie zostawili.

— Jesteś śmieszna — próbuje ją potępić Beata.

— Mężczyźni na ogół są dwulicowi — mówi Natalia, ale nie uzasadnia swojej tezy.

— Kobiety również — szybko dodaje Pola. — Akceptujesz postępowanie, na przykład, Edith Nesbit, która pod jednym dachem mieszkała z mężem, Hubertem Blandem, i jego przyjaciółką, Alice Hoatson? Bland miał dzieci z żoną i kochanką oraz z przyjaciółką swojej matki i innymi paniami. Pani Nesbit nie była mu dłużna, skoro miała wielu łóżkowych partnerów, a jednym z nich był sławny George Bernard Shaw. Mimo to historycy literatury uważają Edith Nesbit za bardzo ważną pisarkę dla dzieci, mistrzynię powieści przygodowej.

— Czytałyście swoim dzieciom opowieści o Muminkach? — pyta Magda.

— Obowiązkowo — odpowiada Eugeniusz, odwracając się do Beaty, jakby prosił, aby potwierdziła jego dobrą pamięć.

— Tove Jannsson nie osiągnęłaby sukcesu, gdyby nie ilustratorka tych opowieści i jej łóżkowa partnerka. Tuulikki Pietilä stała się pierwowzorem postaci Too-tiki z *Zimy Muminków*.

— Po co daleko szukać? Maria Konopnicka po rozwodzie z mężem wywozła swoje dzieci do Warszawy, gdzie



związała się z malarką Marią Dulębianką. Może i dobrze, że biseksualne skłonności autorki *Stefka Burczymuchy* pozostały tajemnicą. W przeciwnym razie ciotki kościelne by ją zagryzły. A tak nieświadome orientacji seksualnej poetki, uważają *Rotę* za drugi polski hymn...

— ... i czytają wnukom dydaktyczną baśń *O krasnoludkach i sierotce Marysi* — śmieje się Pola, spoglądając na Eugeniusza i Beatę, ale oni milczą ze zwieszonymi głowami.

— Nie chodzi o to, że tacy byli. Chodzi o to, że ich książkowe nauki nie odpowiadały ich rzeczywistemu zachowaniu. Dwulicowcy, kurwa.

— Pisarz jest artystą. Artystą nie może być ktoś taki, jak Beata, Eugeniusz, ja. Kto pierze, gotuje... jest obojętny. W takiej głowie nie ulęgną się fantazyjne pomysły — twierdzi Natalia. — Tylko dziwak jest poetą, kompozytorem, malarzem...

— Na szczęście mój Marek, mimo że jest pisarzem, nie ma nic z dziwaka. I nie jest ani homoseksualistą, ani biseksualistą, ani mnie nie...

Jadźka parsknęła śmiechem, nie pozwalając dokończyć Magdzie.

## **Zrujnowana kuźnia kłuje w oczy**

Inez nie odzywa się, niemy wzrok zapuściła w zarośla wokół kuźni. Ciekawe, co ją zainteresowało, zastanawia się Magda i też odwraca głowę w tamtą stronę, ale

poza górującymi badylami zeschniętej mięty i dojrzewającymi w słońcu gronami dzikiego bzu niczego nie widać. Pewnie Ina dziwi się, że na naszym podwórzu jest lepszy porządek niż w niejednym parku w mieście, a za płotem bajzel, jakbyśmy mieli klapki na oczach. Trochę wstyd. Postanawia więc, że jesienią, kiedy nie tylko oba sklepy w Jodłowie, lecz i większość domków opustoszeje, Marek da Ryżemu kilkanaście złotych i każe wyciąć chaszczę, a badyle spalić. Ale wtedy odsłonią się ruiny kuźni i będzie widać ten bajzel, przypuszcza Magda. Co innego, gdyby ktoś zaprzyjaźniony z nami kupił ten kawałek ziemi razem z rumowiskiem i tam, gdzie rosną dzikie bzy, postawił domek letniskowy, a jeszcze lepiej zbudował dom całoroczny.

— Ja na waszym miejscu kupiłabym działkę z kuźnią. Szkoda, kurwa, żeby takie supermiejsce dziczało — odzywa się Inez, jakby już wszystko dokładnie zaplanowała i tylko czekała na aprobatę.

— To samo mianowicie powiedziałem wczoraj Markowi zaraz po naszym przyjeździe do Jodłowa — przypomina Eugeniusz, a Magda robi wielkie oczy.

— Budowla wpisana do rejestru zabytków...

— Nie pierdol! Taka ruina? — dziwi się Inez.

— Kiedy konserwator zabytków podejmował taką decyzję, Jodłów był zwyczajną, niewielką wioską nad jeziorem, jakich wiele wokół Sławy. Musicie wiedzieć, że gdy kupowaliśmy ten domek, jeszcze wokół kościoła stały wprawdzie wymagające remontu, ale przyzwoicie

wyglądające ponemieckie gospodarstwa. We wsi nie było nawet jednego konia, a ostatni kowal dawno umarł, ale kuźnia stała i czasem budziła zainteresowanie przyjezdnych. Dopiero dwa lata temu... — Marek łapie się na tym, że coraz częściej ma dziury w pamięci. — Nie! Wiosną zeszłego roku Ryży z kompanem jako złom sprzedali kowadło, ruszty z paleniska i co tam jeszcze było z żelaza.

— Ktoś powinien pociągnąć ich do odpowiedzialności — uważa Pola. — Wedle prawa jest to zabór mienia państwowego.

— Najpierw trzeba udowodnić ów zabór, a, jak się domyślasz, nikt nie zechce walczyć z miejscowymi pijaczkami. — Magda bezradnie rozkłada ręce, zerkając na Marka. — Zresztą może i lepiej się stało. Przynajmniej nic nikomu nie spadnie na głowę.

— Ano, tak to jest — wtrąca Nikos.

— Obiekt podobno z drugiej połowy dziewiętnastego wieku. Wykonany z muru pruskiego w typie śląskim. Bez zgody konserwatora zabytków nie można go ani odbudować, ani rozebrać. A na jedno i na drugie gmina nie ma pieniędzy.

— Najlepiej kuźnia by zrobiła, gdyby sama się rozsypała — ironizuje Natałka. — Jak pracowałam w urzędzie, wielokrotnie zdarzało się coś podobnego. Do mnie należało stwierdzenie stanu faktycznego, a on przedstawiał się tak: brak winnego. I problem z głowy.

— Jeśli wziąć się za odbudowę, to nie z myślą o kuźni, lecz, powiedzmy, o miejscu wypoczynku, a najlepiej

z przeznaczeniem na knajpę z regionalnym jadłem. Coś takiego miałoby tu niebywale wzięcie, szczególnie latem. Magda pierwsza podniosłaby rękę za knajpą, bo zamiast stać przy kuchni, leżałaby w kostiumie pod parasolem i czytałaby książkę — mówi Marek i łapie się na tym, że gdy miał dość pisania do gazety, chciał być szefem restauracji. W zamyśle była to staropolska gospoda, o której ludzie mówią, że nie ma przyjemniejszego miejsca na spędzanie wieczorów. O, jaki zapach ma biały barszcz! Pewnie na domowej wędzonce! Jakie pierogi z kapustą albo z samym serem! Mięso też, ale przede wszystkim potrawy wedle starych przepisów. Takich nalewek, o jakich Marek myślał, nie podadzą ci nawet w Palmiarni, gdzie kelnerzy noszą smokingi i mówią po angielsku.

— Na tym cacku, po odbudowie, z daniami regionalnej kuchni, można mianowicie zrobić niezły interes — twierdzi Eugeniusz. — I ruina nikogo nie będzie kłuła w oczy. Jeszcze dostałbyś nagrodę od ministra kultury za opiekę nad zabytkiem. Wystarczyłaby na pokrycie wydatków inwestycyjnych.

— Tu się zgadza — tylko tyle ma do powiedzenia Nikos.

Jakim cudem ktoś taki mógł być wicewojewodą? Pewnie bez oporu robił to, co partyjni koledzy mu podpowiadali i czego od niego oczekiwali. Musiał im się odwdzińczyć. A może się męczył, był nieszczęśliwy, budził się każdego ranka z nadzieją, że oto zaczął się ten dzień, kiedy go wreszcie zwolnią? Nikos należy do tej

ogromnej grupy mężczyzn, którzy nie wiedzą, po co mają głowę i ręce. Inez przygląda mu się z ukosa. Spotykają się na zjazdach koleżeńskich, a ona dopiero dziś doszła do wniosku, że mający greckie rysy Nikos to niedołęga.

— Przede wszystkim wdzięczni ci będą Niemcy, bo zatroszczysz się o pozostałości z ich przeszłości. Gdybyś w tej gospodzie podawał coś z kuchni niemieckiej, na przykład pieczoną golonkę z kapustą zasmażaną i piwem albo ajntopf z fasolą po berlińsku, popularność miałbyś zapewnioną. Gdyby na twoim miejscu był Szwed... — Natalia urywa, bo wszyscy wybuchają śmiechem.

— Największy sukces zapewnia kuchnia regionalna — upiera się Eugeniusz. — A w ogóle mianowicie ze względu na współpracę z Niemcami nie ma sensu przypominanie im, że przez setki lat Jodłów był niemiecki.

— Dolny Śląsk z Wrocławiem, Wałbrzychem, Legnicą był niemiecki przez dwieście pięć lat, od bitew śląskich za Fryderyka Wielkiego do zakończenia drugiej wojny światowej — wtrąca Marek.

— Chyba się mylisz — przerywa mu Pola. — Dobrze pamiętam z lekcji historii w liceum...

— Wtedy gdy chodziłaś do liceum, ważny w Krośnie Odrzańskim propagandzista, podpierając się autorytetem jakiegoś historyka, w centrum miasta kazał postawić granitowy pomnik i na nim wyryć „Byliśmy, jesteśmy, będziemy”. Obeliski z identycznym sloganem są rozsiane po całym regionie nadodrzańskim.

— A co w tym złego? — pyta Pola, niezadowolona z tego, że Marek podważa jej wiedzę.

— W jedną stronę naciągnięta historia. Ku wygodzie rządzących. Z czymś podobnym spotykamy się również dziś. — Marek chciał powiedzieć, że daleko nie musi szukać przykładu, ale się wstrzymał od oceny zachowania Eugeniusza. — Najpierw Śląsk był piastowski. Potem przez czterysta lat należał do Czechów i dopiero od wojen śląskich stał się pruski. Twój Wałbrzych, czyli Waldenburg albo Valbřich, dłużej był czeski niż niemiecki i polski razem. Gdy Legnica nosiła nazwę Lehnice, zarządzał nią lojalny wobec Czechów burmistrz. Na Wrocław Czesi mówili częściej Vratislav niż Vroclav.

— Skąd o tym wiesz? — pyta Nikos.

— Kto ma tyle lat, ile ja mam, i zna swoje miejsce na ziemi, historię uważa za nauczycielkę.

— Przynajmniej jeden jak coś powie, to ma sens. — Inez zwraca się do Marka: — Gdy skończysz tę najnowszą powieść, zanim oddasz ją do druku, przyślij mi maszynopis. Jako adiustatorka jestem mistrzynią. Widzę więcej niż autor. W ostatniej książce zrobiłeś kilka logicznych błędów.

— Naprawdę? W którym miejscu? — zaciekawia się Magda, lecz Inez nie odpowiada na jej pytanie.

## **Pola i Nikos będą mieli wnuka**

Po rozmowie z Markiem Magda postanowiła, że to jednak ostatni zjazd koleżeński. Oprócz Jadźki za rok wszyscy

będą emerytami, o czym świadczą nie tylko siwe u mężczyzn i ufarbowane u kobiet włosy, ale i plamy wątrobowe na wierzchach dłoni, więc powinni mieć więcej czasu dla wnuków, dbać o siebie, no i wydatki na takie spotkanie, jak tegoroczne, są niemałe. A ile roboty! Prawie pół miesięcznej pensji Magdy znikło w ciągu trzech dni. Gdyby chociaż prezenty, które goście przywieźli, były cenne, a to przedmioty najtańsze i mało przydatne. Wyłączając Marka, Magda jeszcze nikomu o tym nie powiedziała, czeka na odpowiedni moment. Może przy obiedzie w restauracji nadarzy się taka okazja albo wieczorem przy ognisku, gdy zaczną się chwalić swoimi wnukami i sukcesami dzieci. Magda jest przekonana, że Beata i Gienka nie będzie musiała przekonywać. Pola i Nikos natychmiast kiwną głowami jak automaty. Inez skrzywi usta i po długim namyśle bez przekonania przyzna Magdzie część racji. Ona lubi mieć wątpliwości, a mimo to zawsze idzie swoją drogą. Natalia, zanim się zgodzi, przypomni drugi zjazd we Wrocławiu, tydzień po jej ślubie z pierwszym mężem, którego miesiąc później dorwała słodka śmierć na ich małżeńskim tapczanie w wynajętym mieszkaniu. Pewnie dlatego Natalia opowiada o nim nie ze wstydem, lecz ze łzami w oczach, chociaż drugi mąż, owdowiały dyrektor fabryki zmywarek czy wiecznych piór, wprowadził ją do swojej willi na Widawie, w której czuła się jak hrabianka, i kazał kierowcy służbowej wołgi być do jej dyspozycji. Gdy ten mąż nagle dostał ataku serca w identycznym miejscu i sytuacji jak pierwszy,

została sama w sześciu pokojach z kiepsciutką rentą, sprzedała więc dom i kupiła dwupoziomowe mieszkanie na strzeżonym osiedlu na Popowicach, ale i ono jest za duże dla jednej osoby. Natalia jest pewna, że gdyby któryś z mężów jej koleżanek, a ma na myśli Nikosa, Eugeniusza i Marka, nagle został wdowcem, mogłaby wprowadzić się do jego domu. Co powie Jadźka, tego Magda nie potrafi przewidzieć. Przenosi na nią wzrok i widzi, że wszyscy patrzą na ruiny kuźni, a Jadźka ma oczy wycelowane w ganek sąsiada, jakby czekała, kiedy go zobaczy. O, moja droga koleżanko, myśli Magda z zazdrością, tej nocy musiałś mieć swoje niebo.

— Jeszcze niedawno, gdy chodziliśmy na imieniny do moich znajomych z pracy albo uczelni czy gdy Nikos zabierał mnie do swoich przyjaciół, nudziliśmy się bardziej niż młodzi na zabawie sylwestrowej w przytułku dla staruchów.

Magda znowu zerka na Jadźkę, bo powinna stanąć w obronie tych wszelkiej maści domów spokojnej jesieni czy pogodnej starości i nie pozwolić nikomu, aby obrażał emerytów, lecz ona nie słucha tego, co mówi Pola, nadal wpatruje się w ganek sąsiada. O, gdy go zobaczy, oczy na pewno jej zabłysną radością wspomnienia i może pokiwa mu ręką albo pobiegnie do niego, nie tłumacząc nikomu, dlaczego tak się zachowuje.

— Na tych spotkaniach jedni biadolili, że mają za niskie renty i nie stać ich nawet na kilkudniowy wypad do Czech. Drudzy narzekali na lekarzy, bo kolejki do ich



gabinetów dłuższe niż przed konfesjonalem do spowiedzi wielkanocnej. Pójdiesz do medyka rodzinnego, a on cię z łaski najwyżej opuka i przypisze zestaw witamin, zamiast dać skierowanie do specjalisty czy do sanatorium w porze letniej, a nie na Boże Narodzenie, kiedy nikt nie chce tam jechać.

— Bo to prawda. Przed wyjazdem do was... — Natalia próbuje przerwać Poli, lecz ona nawet na nią nie zważa. Jakby nie widziała poruszających się ust koleżanki, ciągnie dalej.

— Jeszcze inni w kółko opowiadali, jakie to ich wnuki są mądre, ile już potrafią... Myśmy się nie odzywali. Na żaden temat nie mieliśmy nic do powiedzenia. Gdyby chociaż Nikos zwichnął rękę i z tego powodu łamało go w kościach na zmianę pogody albo mnie bolał kręgosłup od siedzenia przy komputerze, a tu dosłownie nic. Nie licząc badań okresowych, za co płaci zakład pracy, i wizyty u dentysty żadne z nas nie miało powodu iść do lekarza. Zapomniałam, systematycznie bywam u ginekologa, ale to przecież nie z powodu choroby.

— Ostatnio, jak byłam... — znowu Natalia próbuje wkręcić swoje wspomnienie.

— No i... wreszcie będzie inaczej — zapowiada Pola.  
— Nasza córcia jest w... ciąży.

— Na drugi raz zacznij opowiadać dopiero od tego miejsca — instruuje ją Magda.

— Kiedy urodzi? — dopytuje się Beata.

— W połowie listopada.

— Chłopak czy dziewczynka?

— W mojej rodzinie pierwszy musi być chło-chłopak — twierdzi Nikos. — A najlepiej sami chłopcy, jak u mojego ojca: Kostas, Christos, Vangelis i ja..

— Co dobry Pan Bóg da — uważa jego żona.

— Będzie Sieciej.

— Sieciej? A co to za kurewskie imię? — pyta Inez, mrużąc oczy, co ma jej pomóc w przypomnieniu sobie, czyja córka spośród znajomych tak nazwała swego synka. — Na moim osiedlu prędzej spotkam Oliviera czy Patryka niż Siecieja.

— Powinniśmy korzystać z zasobu narodowego. Sieciej to imię starosłowiańskie. Oznacza tego, który walczy. Dosłownie: siecze. Imieniny będzie obchodził dwudziestego listopada.

— Mnie się nie po-podoba. Jak ma być imię słowiańskie, to lepszy byłby Bogusz albo Barnim. Najlepszy byłby Zawisza.

— Albo Mściśław — podpowiada Natalia i szybko chowa się za plecami Nikosa.

Magda usiłuje sobie przypomnieć, kiedy jedynaczka Poli i Nikosa wyszła za mąż. Pamięta, że zawsze mieli pretensję do wszystkich kawalerów na świecie, bo żaden kandydat na zięcia nie był godny ręki ich córki. Jedni za biedni lub z pospolitych rodzin albo bez popłatnego zawodu, drudzy niebyt przystojni czy za starzy, a jak się jeden spodobał Poli, to był rozwodnikiem, w dodatku mieszkającym w Niemczech aż przy francuskiej

granicy. A kimże jest ich jedynaczka, że tak przebiera? Nauczycielką w podstawówce. Gdyby uczyła w gimnazjum albo w prywatnym liceum, co innego.

— Mianowicie ojciec dziecka pewnie chodzi dumny jak paw — domyśla się Eugeniusz.

— Ojciec dziecka jeszcze nie wie o tym, że będzie ojcem. Nasza córca postanowiła sama wychować swoje małenstwo.

— Nie boi się? — nie dowierza Natalia. — Dziecko powinno mieć matkę i ojca, dziadka i babkę, ciotki, wujków.

— Tu się zgadza — opuszcza głowę Nikos z gorzkim uśmiechem i zaraz milknie.

— Wasza córusia też się skurwiła? A komu dała dupy? — Nie czekając na odpowiedź, Ina przypomina Poli: — Tyś nie była inna, też dawałaś na prawo i lewo...

— Jak możesz? — Pola się czerwieni.

— ...aż w końcu Nikosa udupiałaś — kończy Ina.

— Pewnie będzie mieszkała z wami, co? Nikos na emeryturze, ma dużo czasu, to pomoże zastąpić ojca.

— Wzięliśmy kredyt i kupiliśmy jej mieszkanie na strzeżonym osiedlu na Popowicach we Wrocławiu. Na razie dwa pokoje z kuchnią, do tego garaż. Właśnie w drodze do was wczoraj rano u niej się zatrzymaliśmy. Dzielna dziewczyna, ciężę znosi wspaniale.

— Wczoraj rano byliście we Wrocławiu, w dodatku na tym samym osiedlu, gdzie mieszka Nata, i nie mogliście zabrać swojej koleżanki? — odzywa się Inez,

wskazując na Polę i Nikosa. — Żeby tu się dostać, musiała telepać się w autobusie. Wiecie, kim wy jesteście? Skurwysynami do kwadratu.

— Ina, nie znasz... Nie masz prawa... — próbuje się bronić Pola.

— Idź w pizdu.

## **Szwecja po raz trzeci**

Natalia wypila ostatnie krople naparu i się zastanawia, co powiedzieć, aby nie tylko zmienić dyskusję na przyjemniejszy temat, lecz i wywołać zainteresowanie uczestników zjazdu jej problemami.

— Po zgonie drugiego męża byłam wprost nie do życia — przypomina. — Pierwszego też kochałam, okej, ale drugi, mój Boże... — przymknęła oczy, odchyliła głowę do tyłu, ręce podniosła i przebiera palcami.

— Pewnie dlatego tak go wspominasz, że zostawił ci niemały majątek — mówi nienaturalnym szeptem Eugeniusz, przeciw czemu Natalia nie protestuje.

— No i dobrze, że cię tylko ruchał. Na pewno co noc, przyznaj się. Starsi faceci uważają, że mogliby nie wyjmować kutasa z cipy. Jakby przed śmiercią machnął ci bachora, koniec świata, kurwa — komentuje Inez.

— Dlaczego koniec świata?

— Dziecko chowane bez ojca...

— Miałaby przynajmniej komu zostawić to mieszkanie na Popowicach.

— Odda je proboszczowi na agencję towarzyską, a jeszcze lepiej zrobi, jak przepisze zakonnicom z przeznaczeniem na dom dziecka.

— Kościół z pewnością chętnie przyjmie taką ofiarę.

— Mieszkanie to ja sprzedam, za ile tylko się da, a sama na starość przeniosę się do pensjonatu samotnego seniora. Odkryłam taki w Szklarskiej Porębie niedaleko muzeum Wlastimila Hofmana. Pokój jednoosobowy z łazienką i wnęką kuchenną, całodobowa opieka pielęgniarska, dostęp do lekarza, sklepik na miejscu, jednym słowem: luksus, co najmniej taki, jak w hotelu Holiday Inn przy Piłsudskiego we Wrocławiu.

— A ile taki luksus kosztuje? — otrząsa się z zamyślenia Pola.

— Mojej emerytury na pewno nie wystarczy. Ale będą jeszcze pieniądze ze sprzedaży mieszkania. Wpłacę je na konto i z samych procentów...

— ... pod warunkiem że ten bank, w którym założysz konto, nie zbankrutuje za twojego życia albo nie wybuchnie kolejny kryzys. Owszem, lokata na koncie przynosi niebotyczne korzyści, jeśli traktujesz ją jako inwestycję. Gdy bankowcy zorientują się, że im zaufałaś, mogą wyprowadzić cię w pole — przestrzega Eugeniusz.

— Naprawdę nie masz żadnej rodziny? — pyta z niedowierzaniem Inez.

— Was traktuję jak najbliższą rodzinę.

— Przecież gdzieś muszą żyć bracia, siostry, dzieci obu twoich chłopów. Utrzymujesz z nimi kontakt?

— Bliscy obu moich mężów trzymają się ode mnie z daleka. Oni uważają, że jestem niebezpieczna, bo wykończyłam chłopów.

— W tej sprawie, kurwa, już na studiach byłaś nie do zdarcia — przypomina Inez. — Kolejka fagasów z fiutami na baczność była do ciebie dłuższa niż po kawę w supersamie. Pola sobie nie żałowała, ale dopiero ty pokazałaś, ile potrafi studentka wrocławskiej polonistyki.

— Pierdu, pierdu... — mówi Natalia, rzucając jej ganiące spojrzenie.

Magda wybucha śmiechem, jakby przypomniała sobie coś wesołego. Marek mruga do niej i też się śmieje. Oboje wiedzą, ile pieniędzy wydała Natalia na ogłoszenia matrymonialne w gazecie, a gdy to było nieskuteczne, przez pół roku wieczór w wieczór męczyła ich prośbą, żeby znaleźli jej jakiegoś sprawnego wdowca, gotowego przeprowadzić się do Wrocławia. Rozglądali się wokół siebie, pytali znajomych, czytali nekrologi i kondolencje, zaglądali do biur towarzyskich, chodzili na wieczorki samotnych, ale znalezienie sprawnego wdowca, w dodatku takiego, który jest magistrem, ma prawo jazdy, potrafi zreperować kran i jesienią lubi jeździć do Szklarskiej Poręby, okazało się niemożliwe. Prawdę mówiąc, to koleżanka Magdy знаła owdowiałego podpułkownika straży pożarnej, tyle że facet niedawno przeszedł operację prostaty i jeszcze nie miał gdzie sprawdzić, czy jest mężczyzną na zawołanie. Przed operacją koleżanka Magdy uważała go za jednego z lepszych kochanków, a w tej sprawie nikt w sanepidzie nie kwestionował jej fachowości.

— Czy twoi kuzyni w Szwecji nie mają samotnych znajomych? — nie ustępuje Inez, mrużąc oczy do rozmiaru kocich szparek.

Teraz Natalia robi poważną minę.

— Jan, czyli starszy brat wujeczny, to przystojniak, jakich niewielu chodzi po tym świecie, chciał się ze mną ożenić — ożywia się. — Ciotka Susan nie miała nic przeciw temu, tym bardziej że i mnie niewiele brakuje. Zdaniem wuja, gdybyśmy byli kuzynami w trzecim pokoleniu, to co innego. Drugie pokolenie nawet w linii bocznej to za bliskie pokrewieństwo, okej. W efekcie mogą przyjść na świat kalekie dzieci.

— Nie musiałaś rodzić dzieci — zauważa Inez.

— W takim razie, jaki sens ma małżeństwo? — buntuje się Beata. Chce się popisać cytatem z Pisma Świętego, lecz dokładnie nie pamięta, co o kobiecie i mężczyźnie napisali ewangelści.

— Toni, młodszy od Jana, ale ode mnie o rok starszy, z urody kopia Belmonda, miał chrapkę do tego stopnia, że mnie co noc prawie gwałcił — śmieje się Natalia. W jej głosie nie ma oburzenia, nawet się cieszy.

— To cię zgwałcił czy chciałaś spróbować, jak to jest leżeć pod Szwedem?

— Okej, bałam się krzyczeć, gdy Toni przychodził do mojego łóżka w nocy — odpowiada Natalia na pytanie Inez. — Młodzi, nieżonaci mężczyźni muszą gdzieś rozładować swoje napięcie seksualne. Pomogłam mu, tym bardziej że byłam młodą wdową, na widok przystojnego młodzieńca rozpalającą się niemal do białości. Stało się

to po owej słodkiej śmierci pierwszego męża, gdy wuj zaprosił mnie do Malmö. Prawdę mówiąc, to wujowi chodziło o co innego. Wymyślił, że wyda mnie za swego kolegę z wojska, już wtedy wdowca na emeryturze. Mogłam się domyślić, że jego ostatnia żona była niebieskooką blondynką jak większość Skandynawek, a on marzy o szatynce. Niestety, przed wyjazdem do Szwecji utleniłam sobie włosy na jasny blond. Ponadto kolega wuja utykał na lewą nogę.

— Jeszcze jedna absolwentka wrocławskiej polonistyki mieszkałaby za granicą — Pola patrzy na Jadżkę myślami nieobecna, siedzącą w cieniu klonu.

— Szkoda, że tak się nie stało — mówi z udawanym żalem Magda. — Jednego roku zjazd koleżeński w Polsce, drugiego w Niemczech, trzeciego w Szwecji.

— Jedyna korzyść z tego byłaby taka: na jesień życia nie musiałabym szukać dachu nad głową. Każdemu starszemu człowiekowi w Szwecji, jeśli nie ma rodziny albo nie chce mieszkać z dziećmi, gmina zapewnia miejsce i opiekę w domu spokojnej starości. Tam zdają sobie sprawę z tego, że młodzi powinni mieć swoje życie, a starzy swoje... Nie udało się Panu Bogu starość.

— Ano, tak to jest — odzywa się Nikos, sięgając po czwartą tego przedpołudnia puszkę piwa.

Pola już otwiera usta, żeby skarcić, męża, gdy wyprzedza ją Marek:

— Przeszła wiosna, minie lato, po nim jesień i zima.  
/ A Natalia jak chłopca nie miała, tak i ni ma.



— Boże, on znowu ułożył fraszkę! — woła Beata. — Muszę cię zaprosić na wieczór autorski w mojej szkole. Niech młodzież zobaczy, jak wygląda prawdziwy poeta. Oczywiście podkreślę, że jesteś mężem mojej najlepszej koleżanki z zielonogórskiej polonistyki.

Najlepszej? Magda też się zdziwiła i ukradkiem zerknęła na Marka, jakby prosiła go, aby w tej sprawie się nie odzywał. Niech będzie, że jestem najlepszą koleżanką Beaty. Nie ma sensu zmieniać tego, co nikomu nie szkodzi, choćby oznaczało nieprawdę. To przecież ostatni taki zjazd.

## **Inez nie wie, co robić**

Natalia jest podwójną wdową z nieskrywaną nadzieją na trzecie zamążpójście. Jadźka ma drugiego męża i nie-możliwą do policzenia liczbę kochanków. Poli i Nikosowi zaczęło się układać dopiero od narodzin córki, gdy na zmianę drzemali przy jej szpitalnym łóżeczku. Gienek na pół roku zostawił Beatę i związał się z księgową w zjednoczeniu, która rzuciła go zaraz po tym, jak dostał mieszkanie w bloku na osiedlu Kopernika. W przeciwieństwie do wielu kolegów ze studiów Marek nigdy nie traktował żony jak przedmiotu będącego jego własnością, a Magda nie ograniczała jego wolności, toteż w ich wspólnym życiu niewiele było cichych dni. Trudno powiedzieć, co w ich związku dominowało: miłość czy rozsądek.

— Jak tam ten twój...? — Beata urywa, bo nie pamięta imienia mężczyzny, o którym wspomniała Inez podczas zeszłorocznego zjazdu.

— Pytasz o Dona?

— Znając twoje tempo w podejmowaniu życiowych decyzji, nie suponuję, abyś już zastąpiła go kimś nowym — Beata nie umie przegrywać, zawsze stara się być na górze. — To nie w twoim stylu. Ty, Ina, do mężczyzn masz stosunek...

— Jaki?! — wybucha Inez. — No, opowiedz, kurwa, wszystkim, jaki ja mam stosunek do facetów. Jestem bardzo ciekawa twojej opinii.

— Wiesz, że są na świecie. A o tym, które cechy płciowe odróżniają mężczyznę od kobiety, dowiedział się z encyklopedii. Co innego my, praktykujące żony i kochanki.

— Wyobraź sobie, że również mam doświadczenie w kontaktach z mężczyznami. Chyba nie sądzisz, że zachowałam cnotę dla tego jednego, który nigdy mnie nie przeleci. A w ogóle to lubię się bzykać nie mniej niż ty czy... — Inez pokazuje na Jadźkę.

— „Łatwiej jest obronić swoją cnotę przed mężczyznami niż swoją opinię przed kobietami”. Kto to powiedział? — pyta Natalia i czeka, a ponieważ żadne nie odpowiada, mówi: — Francis Bacon, którego filozofię wykorzystałam w swojej pracy magisterskiej. Minęło tyle lat i jeszcze pamiętam.

— To wyjdzie coś z twojego związku z... jak mu tam...? — dopytuje się Pola z wyraźną drwiną w głosie.

— Don. To skrót od Donatryk. Stare słowiańskie imię, jak Teodoryk czy Henryk albo Fryderyk.

Marek chce wtrącić, że Teodoryk pochodzi z greckiego, a Fryderyk i Henryk wywodzą się z germańskiego, ale Magda nakazuje mu oczyma milczenie. Iny nie przekonasz, choćbyś miał tuzin świadków i niemożliwe do podważenia dowody jej winy. Ona nie uznaje czyjejś wyższości, a małżeństwo to ciągle przegrywanie jednej strony.

— Pieczesz dla niego serniki? Mężczyźni po sześćdziesiątce są bardziej łasi na słodczy niż dzieci. Gdybym w sobotę nie upiekła choćby placaka drożdżowego z kruszonką, marudziłbyś całą niedzielę, prawda, kochany mężu? — Wygląda to na pytanie, lecz Beata stwierdza, czego Eugeniusz nie prostuje. — Każdy facet, czy to poseł jak mój mąż, czy moczymorda jak wasz Ryży, lubi dobrze zjeść, najlepiej schabowy, obejrzeć kryminał w telewizji, nie myśleć o ciekących kranach czy zepsutej pralce. A jak sobie... tego... no... jeszcze pociupcia, można mu na głowie kolki ciosać. Ha, ha, ha!

Magda jest przekonana, że gdyby Inez była zadowolona ze związku z Donem, nie ukrywałaby tego nawet przez sekundę, a ona milczy i omiata wzrokiem palce u swoich nóg. Beata naciska, Pola ją wspomaga, Natalia trochę się krępuje, lecz nie umie ukryć ciekawości, Jadźka przeniosła spojrzenie z podwórza sąsiada i się uśmiecha, jakby coś miłego sobie przypomniała.

— Kurwa, sama nie wiem... — Inez rozkłada ręce.  
— Jakoś nie mogę...

— Nie wiesz, czy chcesz z nim być?

Inez mówi, że przyzwyczała się do samotności. Ba, krępuje ją każdy, kto patrzy, jak zdejmuje buty, myje ręce, kroi chleb, nawet jak siedzi w fotelu przed telewizorem. Z drugiej strony Don nie umie mieszkać sam w domu pełnym pamiątek rodzinnych. Przez pierwsze miesiące po śmierci żony rano jechał do przychodni, gdzie nadal jest lekarzem rodzinnym, po południu zostawiał samochód przed cmentarzem i godzinę, czasem dłużej, tkwił przy grobie, przywołując w pamięci wspólne lata, po powrocie do domu włączał telewizor i zamiast oglądać to, co go powinno interesować, wracał myślami do przeszłości.

— Chyba nie na cmentarzu go poznałaś? — chce wiedzieć Beata.

— Było to w maju zeszłego roku na corocznym zjeździe absolwentów akademii medycznej — odpowiada Inez. I mówi, że wtedy brat zabrał ją do hotelu Vivaldi w Karpaczu, jakby się spodziewał, że zagubiony w rzeczywistości Don będzie potrzebował pomocy. Gdy koledzy brata chwalili się swoimi rezydencjami na obrzeżach miast i brykami, jakie japońskie fabryki samochodów robią na zamówienie najbogatszych ludzi świata, Don milczał, nawet częściej niż inni nie sięgał po kieliszek z wódką. Wszyscy wiedzieli, że niedawno został wdowcem, więc traktowali go ze współczuciem. Podobno wcześniej to on był tym, który bawił towarzystwo niesamowitymi opowieściami, w co Inez nie wierzy, bo odkąd z nim się spotyka, zawsze jest zachmurzony i małomówny. W niedzielę, gdy

wszyscy odsypiali doranną zabawę, tylko Don wstał na śniadanie. Inez widziała, jak najpierw siada przy stoliku obok drzwi, prosi kelnerkę o jajecznicę na boczku, potem zakłada okulary, omiata wzrokiem salę i dostrzega ją. Nie uklonił się, nawet nie pokiwał jej ręką, mimo to pokazała mu wolne krzesło obok siebie, zmienił więc miejsce. Po śniadaniu Inez powiedziała, że chciałaby się wybrać na przełęcz Okraj, ale brat odsypia noc, a ona nie ma samochodu. I tak się zaczęła ta znajomość. Czy Don robi decydujący krok, tego Inez nie wie. — Ma dwóch synów. Starszy skończył politechnikę w Zielonej górze, wyjechał do Ameryki, gdzie jest wziętym projektantem implantów medycznych. Na pewno nie wróci do Polski. Młodszy studiował stomatologię w Wiedniu, tam ożenił się z Austriaczką, ma dwie śliczne córeczki. Przekonywał ojca, aby sprzedał willę w Gorzowie i z nim zamieszkał. Don chce mieć blisko na cmentarz, nawet w testamencie zaznaczył, że musi być pochowany w tym samym grobie co żona... Chcę być z nim i, kurwa, mam obawy, chociaż to wrażliwy, ciepły, bardzo dobry, pracowity człowiek. Co mi radzicie? Tylko dupy nie trujcie.

— Za mało o nim wiem, żeby coś ci podpowiedzieć  
— usprawiedliwia się Pola. — Ile ma lat?

— O jedenaście więcej niż ja.

— Nie taka duża różnica — uważa Nata, przypomniawszy sobie, że drugi mąż był starszy od niej aż o ćwierć wieku, lecz nigdy tego nie odczuwała.

— Zaproponował ci małżeństwo?

Inez kręci głową.

— Mówił, abym się do niego przeniosła.

— Byś mu prała, gotowała. A jak umrze, to synowie...

I ty zostaniesz na lodzie. Ani wdowa, ani stara panna.

— Dlatego nie wiem, co robić.

— Znalazłaś się w bardzo trudnej sytuacji. Właściwie bez wyjścia. Coś podobnego jak... — odzywa się Marek i milknie, nie kończąc myśli.

— Ja?

— Sama mu się oświadczy — podpowiada Beata.

— Dawno bym to zrobiła, ale czy tak, kurwa, wypada kobiecie?

— Po takim okresie znajomości Don powinien zdecydować, czy chce być z tobą. Pewnie chce, ale po co ma się wiązać formalnie, skoro i tak mu gotujesz, pierzesz? Pewnie i czasem sobie pociupcia za darmo.

Marek ma wrażenie, że Inez przyjechała do Jodłowa z przyzwyczajenia. Powinna się znaleźć gdzieś indziej, ale gdzie, tego nie wie.

## **Natalia przepędziła amanta**

— Identycznie poradziła mi moja była szefowa z urzędu miejskiego — zaczyna Natalia, a wszyscy zwracają oczy w jej stronę przekonani, że wreszcie usłyszą coś, co ich rozbawi. — Szefowa, również dubeltowa rozwódka prawie w moim wieku, córki zamężne, jeden zięć robi za

gwiazdę w telewizji, drugi ma firmę reklamową, wnuki w prywatnym gimnazjum u urszulanek, czteropokojowe mieszkanie w przedwojennej kamienicy na Starym Mieście. Gdy nie miała faceta na podorędziu, co się zdarzało niezwykle rzadko, może raz na kwartał, jak opowiadała w tajemnicy, wtedy mnie zapraszała na pogaduszki. W sprawach damsko-męskich była co najmniej doktorem habilitowanym. Nie spodziewaj się, Nata, mówi ona, że porządny facet podejdzie do ciebie i wykrzyknie: „Tyle się szukaliśmy i nareszcie się odnaleźliśmy! Jesteśmy sobie przeznaczeni, madame!”. Jeśli podejdzie, to pewny siebie picuś-glancuś. Truteń. Z kwiatka na kwiatek. Od takiego z daleka. Jesteś powabną emerytką, czasu masz więcej niż pieniędzy. Zamiast roztkliwiać się przed telewizorem, gapiąc się na seriale, przeglądaj oferty biur matrymonialnych, poradziła. A nuż znajdziesz tam coś dla siebie.

Krępowalam się, ale poszłam do biura w samym centrum miasta, zapłaciłam wpisowe, dali mi katalog, a tam sami gogusie z wąsami à la Wałęsa, w perukach albo przylizani jak premier Włoch. Nie dla mnie, bo z dokładnie określonymi preferencjami wiekowymi. W drugim biurze to samo. W trzecim i każdym następnym jak nie liga rozwiedzionych, to klub łysych okularników albo zezowatych porąbańców. Wieczorem szefowa spytała: znalazłaś coś dla siebie? Opowiedziałam tak jak wam teraz, że chyba nic z tego nie wyjdzie. W blisko milionowym Wrocławiu nie ma dla mnie wolnego

faceta. Ci, którzy mi się podobają, są zajęci albo nie mają chłycy. Jednak będę musiała sprzedać mieszkanie i przenieść się do pensjonatu spokojnej starości w Szklarskiej Porębie.

Bądź gotowa jutro wieczorem, była szefowa do mnie. Na co mam być gotowa? Na spotkanie z kimś, kto powinien ci się spodobać. Przygotuj jakąś kolację, ale nie za wystawną i... tego, no. Mrugnęła do mnie znacząco. Ledwie zapaliły się lampy uliczne, pukanie do drzwi, facet się przedstawił, podał mi kwiaty, pocałował w rękę. Była szefowa miała rację, że mi się spodoba. Wreszcie nie fujara, a mężczyzna jak mężczyzna: w czystej koszuli, pod krawatem, ogolony, wypachniony, umie się odezwać i w ogóle. Dorosłym ludziom nie muszę opowiadać, jak się skończył ten wieczór. Prosiłam tylko Boga, kiedy byliśmy w łóżku, aby go oszczędził. Wstyd i miałabym trzeciego faceta na sumieniu. Po śmierci drugiego męża jego kuzyni uważali mnie za kobietę fatalną.

Przy śniadaniu powiedział, że żona zginęła w wypadku drogowym, a on, żeby zapomnieć o nieszczęściu, bo ją kochał nad życie, wyjechał za granicę i tam pracuje. Na starsze lata zamierza wrócić do ojczyzny. Z zagraniczną emeryturą nieźle można żyć w Polsce, powiedziałam i, przyznam się wam, pomyślałam nieskromnie, że z kimś takim jak on byłoby mi jak w raju. No i pewnie uskładałeś coś na koncie w banku. Nie płacę składek na ubezpieczenie, to i nie dostanę emerytury. Wszystko, co zarobię,



wydają na przyjemności i bieżące utrzymanie. Prawda, sygnet na małym palcu, zegarek taki, jaki pierwszy raz zobaczyłam, złoty łańcuch na szyi, garnitur i koszula od Bocchettiego... Nawet bokserki markowe. Spytałam: a za co, kochasiu, będziesz żył na starość, jeśli dotąd nie uskładałeś na emeryturę? Jakoś będzie, roześmiał się. Przecież nic nie masz. Jak to nic? He, he, mam robotnego kutasa, on na to z niespotykaną pewnością siebie. To mój majątek. Wynocha, pokazałam mu drzwi.

Cisza. Słyszeć nie tylko szelest liści klonu i bzyczenie much, ale nawet stękanie kretów pod ziemią. Beata zaciska usta aż do białości i nie wie, czy się roześmiać czy współczuć koleżance. Pola robi minę, jakby za chwilę miała się rozplakać. Inez splata palce rąk i pochyliwszy się, z niedowierzaniem patrzy na Natalię. Nikos, Eugeniusz i Marek czują się tak, jakby byli odpowiedzialni za wszystkich mężczyzn nie tylko w Polsce, lecz i nawet pod kołem podbiegunowym. Nagle Jadźka przerywa tę ciszę, wybuchając gromkim śmiechem.

— Co cię tak rozbawiło? — pyta Magda.

— Ten jej ogier całą prawdę o większości z nas powiedział.

— Chyba o tobie, bo nie o mnie — mówi Natalia oburzona i zrywa się z krzesła. Policzki zaczynają ją palić. — Jesteś perfidna! — Chciałaby jej dogryźć, ale nie wie jak. — Tylko, broń cię, Panie Boże, nie pisz o tym w swojej powieści — nie prosi, lecz nakazuje Markowi.

## Co lubi Magda

— W moim życiu seks nigdy nie był najważniejszy. Oczywiście zawsze był bardzo ważny i nadal jest bardzo ważny, lecz nie najważniejszy — przyznaje się Magda ku zaskoczeniu Poli, Jadźki i Natalki. Inez myślami jest poza Jodłowem.

— A co w takim razie jest najważniejsze w twoim życiu? — dopytuje się Beata. W barwie jej głosu nawet Eugeniusz wyczuwa nie ciekawość, lecz uszczypliwość.

— Mieć do kogo i po co wracać z pracy.

— ...?

— Cieszę się, kiedy mam komu podać kawę. O kogo się otrzeć. Każdej soboty z wielką radością piekę jabłecznik albo sernik i z jeszcze większą radością patrzę, jak Marek się nim delektuje. Lubię, i to bardzo, gdy Marek wstaje razem ze mną i robi mi kanapki do pracy. Czasem chleb jest za gruby albo Marek da mi coś, za czym nie przepadam... A najbardziej lubię, kiedy Marek robi kawę sobie i mnie w filiżankach, które dostaliśmy od naszych dzieci na którąś tam rocznicę ślubu, rozmawia ze mną o błahych sprawach, śmieje się, przytula... To często kończy się seksem.

— Ee...!

— Mimo naszego wieku taki właśnie seks jest jak burza oklasków z bisami.

## Skąpy kolega Marka

— Jesteśmy starsze, babcie lub prawie babcie, niektóre emerytki, ale nie zramolałe baby, które już niczego nie czują i nie pragną — odzywa się Beata. — Cztery spośród nas mają mężów, a dwie mają nadzieję, że będą miały mężów. — Inez wystrzeliła śmiechem, Natalia zaś zmrużyła oczy, splotła ręce na piersiach, przechyliła głowę i słucha z otwartymi ustami. — Nie jest prawdą, że gdy kobieta przestanie być kandydatką na matkę, też przestaje być kobietą. Mimo że nasze ciała stają się obwisłe, niektórym rosną wąsy, każda do ostatnich swoich dni stara się ładnie wyglądać, komuś się podobać i być z kimś, kto przytuli, potrzyma za rękę, poda herbatę, a jeszcze lepiej, jeśli raz na jakiś czas poda śniadanie do łóżka.

— Niczym mój Mareczek — wtrąca Magda.

— Marek podaje ci śniadanie? — dziwi się Beata i dźga oczyma Eugeniusza, jakby miała do niego pretensję, że i w tym nie dorównuje Markowi. — Jeśli Eużen nie nocuje w hotelu sejmowym, w domu wstaje pierwszy, wsiada do porsche i jedzie do marketu po chrupiące bułki, prawda, kochanie?

Zamiast przytaknąć albo kiwnąć głową, Eugeniusz sięgnął po puszkę z piwem i uciekł wzrokiem na czubek drzewa, jakby się wstydził tego, co ujawniła jego żona.

— Marku, bywasz tu i tam, spotykasz różnych ludzi, z pewnością zdarzają się wśród nich wdowcy albo z innego powodu samotni... Jest przecież tylu mężczyzn, którzy nie umieli ułożyć sobie życia.

Marek zastanawia się, kto już jest wdowcem albo nie ułożył sobie życia, aby mieć gotową odpowiedź, gdy Beata spyta, czy do któregoś spośród jego znajomych pasuje Natalia lub Inez. Pomyślał o swoim kuzynie, profesorze uniwersyteckim, ale zaraz wymazał go z pamięci ze względu na wyciętą prostatę. One, spojrzał na Natalię i Inę, czekają nie na każdego faceta, lecz przede wszystkim na takiego, który również w łóżku okaże się mężczyzną. Wujek Janusz zdziwaczał po śmierci ciotki, owdowiały sędzia w stanie spoczynku, który czasem zaprasza go na rozważania patriotyczne, stał się zatwardziałym wrogiem księży i religii, a rozwiedziony sąsiad z mieszkania naprzeciwko podejrzewa wszystkich magistrów o malwersacje.

— No i jak, znasz kogoś akuratnego dla naszych pańien? — pyta Beata, trącając Marka w ramię.

Pokręcił głową.

— Przecież Nata nie jest brzydka jak grzech śmiertelny. A czego brakuje Inie? — naciska Beata, czym rozśmiesza Nikosa.

Po namyśle Marek rzuca dla świętego spokoju:

— Czy może być dziennikarz na wcześniejszej emeryturze, trochę artysta, autor kilku zbiorów reportaży?

— Wdowiec? Podobny do ciebie? — natychmiast zaciekawia się Natalia.

— Rozwodnik — odpowiada Marek, łapie się za głowę i błyskawicznie wyrzuca z siebie: — Nieee! On nie.

— A dlaczego? — dopytuje się Natalia z nadzieją w oczach. — Czyżbym miała jakiś defekt? Może uważasz mnie...

Marek nie słucha, wstaje od stolika i kryje się za domem. Ale bym sobie narobił! Przecież pierwszej żonie Zbyndaka imponowali artyści i dziennikarze, a mimo to od niego odeszła. Druga też lubiła bywać w galeriach, przychodziła na spotkania autorskie, nawet kolekcjonowała autografy. Również odeszła, chociaż nie miała ani kochanka, ani pieniędzy na mieszkanie, ani zawodu. Zbyndak opowiadał Markowi, że wracając wieczornym pociągami z Bydgoszczy, już w Poznaniu marzył o dużej kielbasie na kolację. W Zielonejgórze nie wynajął takśówki i nie wsiadł do autobusu, tylko z dworca do domu, a to że trzy kilometry najkrótszą drogą, przyszedł na nogach. Im był bliżej swego domu, tym bardziej czuł zapach tej kielbasy, którą żona poda mu na kolację. Nacisnął na guziczek dzwonka, ale nikt nie otworzył drzwi. Może żona zasnęła, wytłumaczył sobie i wygrzebał klucz z torby, o której mówił, że kosztowała tyle co maszyna do pisania.

W mieszkaniu było ciemno i cicho, nawet nie tykał budzik w dużym pokoju. Zapaliłem światło na korytarzu, zajrzałem do sypialni, łóżko zasłane, żony nie ma. Pomyślałem, że zasiedziała się u koleżanki, opowiadał Markowi. W kuchni też czegoś brakowało, a przede

wszystkim na stole nie czekała kolacja. Takie powitanie głodnego męża? Czując jeszcze bardziej aromatyczny zapach kielbasy, otworzyłem lodówkę, a tam, mój Boże! niczego. Wyobrażasz sobie, Marku, pustą lodówkę? Chujami zacząłem rzucać, chociaż rzadko klnę, a właściwie wcale. To ja daję ci pieniądze, abyś miała za co kupić chleb i co tam jeszcze potrzeba do chleba, a ty tak mnie witasz?! Wściekły poszedłem do dużego pokoju, gdzie powinien tykać zegar. Nie tykał... i skamieniałem na progu. Gołe ściany! Nie było nawet tego obrazu, co go Hirek dał mi za butelkę gorzały. I żadnych regałów, foteli, ławy, dywanu, firanek. Złodzieje? Sprawdziłem oba zamki w głównych drzwiach. Brak śladu włamania. Ja do szafy w przedpokoju. Mój garnitur wisiał na swoim miejscu, ale obok, gdzie powinny być jej sukienki, bluzki, spódniczki, żakiety, było dużo przestrzeni. Za dużo. Gdy zajrzałem do szafki na buty, nie miałem wątpliwości, że znowu zostałem sam. „Dłużej tak nie mogłam żyć, rozliczana z każdego wydanego grosza” — tylko tyle wyjaśniła moja druga żona. Nie szukałem jej, chociaż szkoda mi było tego obrazu, co go dostałem od Hirka za butelkę gorzały.

Miesiąc czy dwa po tym Zbyndak kupił telewizor, a ponieważ był to najnowszy model, poprosił syna Marka, licealistę, aby przyłączył aparat do sieci i nauczył go, jak się z nim obchodzić. Gdy syn Marka robił, co do niego należało, Zbyndak wyjął z barku kieliszki i dwie butelki, na zielonej była nalepka firmy rozlewającej koniak, na

białej żytnią z kłosem. Do kieliszka stojącego przed Markiem wlał kilka kropel trunku z zielonej butelki, do swojego odrobinę wódki. „Zobacz, ile napoleonów wypili tacy jak ty”, Zbyndak pokazał na kryształową wazę pełną korków. Oszołomiony tą informacją Marek nie wyciągnął ręki po kieliszek, chociaż miał ochotę na łyk napoleona. Może go spytać, czy wie, ile wzięłby fachowiec za przyłączenie telewizora do sieci. Już chciał zadać to pytanie, ale wtedy w oknie telewizora pokazała się kolorowa jaskrawość i rozległ się dudniący głos. Po chwili na ekranie pokazała się prezenterka, zapowiadająca porę nadawania „Wiadomości”. Wracamy do swego domu, rzucił Marek do syna.

— Nigdy nie plotkowałem na temat moich znajomych i nie zrobiłbym tego dziś, gdyby nie to, w jakiej sytuacji postawił mnie redakcyjny kolega. Jestem przekonany, że z powodu tego, co ujawnię, nie pójdę do piekła, ponieważ koledzy zwijali się ze śmiechu, a to oznacza dobry uczynek — mówi Marek, wracając do stołu. — Ów kolega zaprosił mnie na kawę. Mocno się zdziwiłem, bo on nie tylko nikomu nie fundował kawy, ale nawet nie jadał obiadów w redakcyjnym bufecie. Gdy dziennikarze pracujący z nim w tym samym pokoju robili sobie przerwę obiadową, on wyciągał kanapki z teczek i przekonywał sekretarkę szefa, że każdego dnia należy mu się darmowa herbata. Ponieważ raz w tygodniu zbierał materiał do swoich tekstów w wioskach, wiosną i jesienią domagał się butów gumowych, zimą wołał o kurtkę

ocieplaną i rękawice, a ostatniego roku, gdy mróz był większy niż zwykle, zażądał czapki z nausznikami, jakie noszą robotnicy budowlani.

Borek Zbyndak, to jego imię i nazwisko, chciał ze mną porozmawiać na temat jego życiowej decyzji, ale nie w redakcji, więc zaprosił mnie do kawiarni przy ratuszu. Ledwie usiedliśmy przy stoliku, podszedł kelner z pytaniem, co podać. Byłem przekonany, że skoro Zbyndak oczekuje mojej porady i dlatego zaprosił mnie na kawę, to zamówi dwie filiżanki aromatycznego napoju. „Każdy płaci za siebie, poinformował kelnera. Dla mnie herbata owocowa bez cukru”. Nie miałem wyjścia, zamówiłem więc kawę z cukrem w dużej filiżance. Kelner przyniósł również cukiernicę i przede mną postawił. Zbyndak wyjął z niej aż cztery kostki cukru. „Zawsze tak robię”, wyjaśnił tryumfalnie, jakby się spodziewał, że spytam, dlaczego posłodził herbatę, skoro prosił o napar bez cukru. Mało tego, gdy każdy osobno zapłacił kelnerowi, Zbyndak wziął jeszcze tyle kostek cukru, ile zmieściło się w jego dłoni.

— Kradzież — twierdzi Jadźka. — Sytuacja nie do pomyślenia w Niemczech.

— Eużen z każdej podróży zagranicznej przywozi szczoteczki i pastę do zębów, szampon, mydło w płynie, zapalki z logo hoteli — mówi Beata i robi taką minę, jakby w tym, co opowiedział Marek, nie było niczego nienormalnego.

Inez wybucha śmiechem, cichnie dopiero wtedy, kiedy Pola się odzywa:



— Mój mąż, gdy był wicewojewodą, przywiózł z Chin więcej niż sto torebeczek herbaty ze znakami hoteli, w których nocował. Mieliśmy na pół roku.

— By-ły opłacone — usprawiedliwia się Nikos.

— Redakcyjny kolega, o którym tyle opowiedziałem, prowadził coś w rodzaju księgowości. W oprawionym w twardą okładkę zeszytce notował zarobki i wydatki. Na początku nowego tygodnia dawał żonie określoną sumę pieniędzy na zakupy i domagał się rozliczenia wydatków ze starego tygodnia. Robił awanturę, jeśli żona nie umiała się rozliczyć co do grosza albo wydała więcej, niż on zaplanował.

— Paskudny dziad — mówi Pola.

— Nie dziwię się żonie, że go zostawiła — komentuje Magda.

— Zbyndak wychował się w zakonnym domu dziecka. Następnego dnia po jego osiemnastych urodzinach opiekunki kazały mu wyjść na ulicę i nigdy nie wracać. Wszystko, co miał, zdobył własną pracą i oszczędzając. — Marek chciał jeszcze coś dodać, ale Eugeniusz go uprzedził:

— Nie wierzę, aby siostry tak się zachowały.

---

Z ZAPISNIKA

---

*Człowiek przeżywa wszystko po raz pierwszy i bez przygotowania. To tak, jakby aktor grał przedstawienie bez żadnej próby. Cóż może być warte życie, jeśli pierwsza próba już jest życiem ostatecznym? Dlatego życie*

*zawsze przypomina szkic. Ale nawet szkic nie jest właściwym określeniem, bo szkic to zawsze zarys czegoś, przygotowanie do obrazu, gdy tymczasem szkic, jakim jest nasze życie, to szkic bez obrazu, szkic do czegoś, czego nie będzie.*

Milan Kundera, *Lekkość i ciężar*

---

## **Minęło południe, to i Ryży wstał**

Sobotni obiad ma być w restauracji nad brzegiem Jeziora Sławskiego. Przed tygodniem udało się Magdzie zamówić dwa stoliki w bocznej sali, gdzie podają potrawy z miejscowych ryb i zimne piwo z nieznanego browaru. Właścicielka zaznaczyła, że goście nie mogą przyjechać ani za wcześnie, ani za późno.

— Ja prowadzę ekskluzywny lokal, proszę pani — podkreśliła, co Magda słyszała wiele razy. I nie pierwszy raz dodała: — W mojej restauracji bywał eminencja biskup. A ksiądz dziekan podejmuje wszystkich swoich gości wyłącznie w moim lokalu, chociaż niedaleko plebanii jest Fiszeria u Karola. Nikt nie potrafi tak upiec ryby w cieście jak mój znakomity szef kuchni. Ale i nikt nie płaci tyle kucharzowi, ile ja daję mistrzowi Olafowi. Jak się chce mieć dobrą opinię, proszę pani, nie można żałować pieniędzy. Nie po to kończyłam szkołę, żeby nic z tego nie mieć.

— A jaką szkołę pani skończyła?

— Imieniem Noblistów Polskich w Głogowie. — Magda chciała wytknąć jej błąd, ale dała sobie spokój. — Do tej szkoły, proszę panią, chodził poprzedni dyrektor huty. Prezydent Głogowa też. O, i ksiądz dziekan! To jest, proszę panią, bardzo dobra szkoła, co nie.

Magda pyta, która godzina. Marek pokazuje na Ryżego, chwiejnym krokiem podchodzącego do płotu.

— Jeśli on już wstał, to na pewno minęło południe.

— Na moim dziesięć po dwu-unastej — potwierdza Nikos, chwając się zegarkiem, który dostał od współpracowników, gdy szef wypędził go na emeryturę, i powtarza, co mu wtedy powiedzieli: — Będzie pan tak długo chodził po-o świecie jak wskazówki tego czaso-omierza, a-a podobno locmany nigdy się nie-nie psu-ują.

— W takim razie pracowałeś z dobrymi ludźmi. Chcieli ci zrobić przyjemność. Przecież nawet wieczne pióro potrafi się zepsuć — twierdzi Natalia.

Ryży sterczy za furtką, zachłannym wzrokiem sięga do puszek po piwie leżących pod klonem, oblizuje się i głośno przelyka ślinę. Marek już je policzył, za chwilę Ryży spyta:

— Moge poułzbyrać?

I Ryży nie czeka, aż Marek kiwnie głową albo przytaknie, tylko popycha furtkę, obcasem gumiaaka zgniata puszkę, potem klęka i zgarnia je do reklamówki, z którą przyszedł na podwórko. Eugeniusz pamięta, że jego synowie, gdy chodzili do szkoły, na półce obok książek

mieli kolekcję puszek, ale wtedy piwo puszkowe można było kupić jedynie za dolary w sklepach Baltony i Peweksu.

— Jakby jeszcze dulię — Ryży pokazuje na stolik, na którym stoją puszki i szklanki z piwem.

— A po cóż panu tyle pustych opakowań, w dodatku zgniecionych? — dopytuje się Eugeniusz, pierwszy raz widząc, aby ktoś zbierał puszki.

— Za duładziescia, kurła, bydziebroułarek — odpowiada Ryży.

Eugeniusz nie rozumie, o czym Ryży mówi, Marek więc mu wyjaśnia:

— Na kilo wchodzi podobno czterdzieści puszek. Kto tyle uezbiera i przyniesie je do sklepu, ten dostanie dwie puszki najtańszego piwa.

— Mianowicie jaki to ma sens?

— Dzięki temu wynalazkowi właściciela sklepu puszki nie leżą wzdłuż drogi.

— Aa! Wspaniale, panie kolego! — woła Eugeniusz w stronę Ryżego. — Muszę opowiedzieć o tym posłom z trybuny sejmowej. Jeszcze nikt nie wymyślił lepszego sposobu ochrony naturalnego środowiska — zachwyca się Eugeniusz, oczekując poparcia Poli, lecz ona tkwi myślami przy córce, która nie chce się przyznać, kim jest ojciec jej dziecka.

— Zebrane w Jodłowie puszki sklepikarz zawiezie do punktu skupu złomu w Sławie. Tam za każdy kilogram dostanie równowartość trzech puszek piwa średniej jakości. Ma czysty zarobek. Obok sklepu postawił też pojemniki

na butelki plastikowe i makulaturę, ale ta inicjatywa na razie się nie przyjęła.

— Gdyby obywatele tak myślących o środowisku było więcej... — marzy Eugeniusz.

Beata zastanawia się, ile Ryży ma lat. Pochylony, dłonie wielkie jak liście łopianu i pękate, usta szerokie, spękane, broda dawno niegolona. Podziwia jego rude loki, wystające spod przetłuszczonej rogatywki i zakrywające uszy. Wygląda na starszego od Eużena, ale pewnie to złudzenie. Na ogół wiejscy mężczyźni nie dbają o siebie, to i już w średnim wieku niewiele różnią się od mieszkańców domu starców.

Ryży nie odchodzi, rozdziawiwszy usta, patrzy na Marka prośalnym wzrokiem. Magda to widzi, dlatego podpowiada mężowi:

— Daj mu puszkę piwa i niech sobie idzie.

— Dużo. — Ryży podnosi dwa palce lewej ręki.

## **Nikos był kierownikiem**

Nikos mówi, że Ryży przypomina mu pierwsze miesiące zaraz po studiach, kiedy wbrew własnej woli został kierownikiem państwowego gospodarstwa rolnego na wsi odległej od Świdnicy, przez którą raz na dzień przeżył niebieski autobus.

— Ty, autobusem przyjechał do mnie prezes z powiatu i mniej więcej tak mówi: kolego inżynierze, trzeba się

pokazać. Jak się uda, droga na stanowisko w powiatowym Komitecie otwarta. My co rusz potrzebujemy ludzi po studiach. A jak się nie uda? Gdyby ambicje mogły zastąpić umiejętności, to byłem najlepszym kandydatem na kierownika. W dodatku marzyłem o tym, aby o PGR-ach mówiono bez drwiny. Ludzi od razu nie zmienię, ale może powoli, powoli się uda.

Już wcześniej Marek zauważył, że kiedy Nikos chwali się tym, co mu się udało, mówi wolno i się nie zacina, jakby na jego drodze nie było żadnych przeszkód.

— Codziennie rano zwoływałem robotników na apel, tam wskazywałem, kto i co ma robić. Gdzieś tak po tygodniu mojego kierownikowania właśnie po rannym apelu zatrzymała mnie brygadzistka Siarowa, grzecznie spytała, czy mam trochę czasu, a gdy przytaknąłem, najpierw mnie pochwaliła za to, co już zrobiłem, a potem oświadczyła, że dłużej nie wytrzyma z Jasiunią. Kto to ta Jasiunia? Taka jedna niepełnego rozumu, odpowiedziała. Póki Wilkowiak, to znaczy ten, co przed panem był za kierownika, zaglądał do obory, wrzeszczał, tłukł łagą gdzie popadło, Jasiunia przychodziła do roboty na piątą, doila krowy, myła bańki. Odkąd pan jest za menedżera, tak powiedziała: „za menedżera”, ona siedzi w kantorku i się śmieje jak ta głupia Anielka zza cmentarza. Gównu mi robi, tak powiedziała, panie inżynierze. Jak nie zapłaci albo zwolni z roboty, to pójdę do Solidarności albo jeszcze wyżej. I jeszcze pójdzie, a tam wezmą ją w obronę, bo samotna matka wychowuje małe dzieci. Może przesunąć ją

do innej roboty, tylko gdzie? Do magazynu albo w pole? Najlepiej by było, gdyby pan wygonił ją na folwark, do Lisicy, odpowiedziała brygadzystka. Potem się okazało, że miała ochotę zająć jej mieszkanie. W tej sprawie niewiele mogę. Ma małe dzieci, więc prawo jest po jej stronie, rzekłem prawie na odczepnego. Trudno, będziemy się z nią męczyli, pani Siarowa. Dyrektor Wilkowiak nie zastanawiałby się minuty. To dlaczego trzymał ją tyle lat w oborze? O to niech pan spyta księgową, odpowiedziała Siarowa z jakimś takim szyderstwem na twarzy. Jeszcze dziś porozmawiam z Jasiunią. Postaram się ją przekonać. Może ona ma kłopoty, o których my nic nie wiemy? Ludziom potrzebna jest pomoc, życzliwość... Kłopoty — zaczyna Siarowa i nie kończy, tylko pokazuje na głowę, co zrozumiałem dosłownie.

— Ta brygadzystka to też musiało być ziółko — wtrąca Eugeniusz.

— Taki obrazek: Jasiunia siedzi przede mną, skulona, bezustannie pociąga nosem, jakby była przeziębiona. Od czego zacząć tę rozmowę? Wydawało mi się, że to nic trudnego. Spytałem, czy jest zadowolona z pracy w oborze albo jak się jej mieszka. Ale nie spytałem ani o pracę, ani o dom, ani o jej kłopoty, bo kiedy jej się przyglądałem, byłem pewien, że nie odpowie na żadne pytanie. Najwyżej kiwnie głową od niechcenia lub wzruszy ramionami. Wstałem zza biurka, chodziłem po pokoju i cały czas myślałem, jak zacząć tę rozmowę. Znowu usiadłem za biurkiem, a Jasiunia nic sobie nie robi z tego, że ja nie

wiem, jak zacząć tę rozmowę. Czulem odór, dostrzegłem jej zaropiałe, wielkie oczy, pryszcze na czole i policzkach, liszaje wokół brody. Kogoś mi przypominała, tylko kogo? Dziecioli nos ma na pewno po Siębiedzie, lecz oczy niebieskie, a piegi na czole po Chamarszczuczce czy też po Siębiedzie? Córki zwykle są podobne do ojców, synowie do matek. Ile ona ma lat: dwadzieścia pięć, trzydzieści? Karmi czworo dzieci, dwoje nie żyje, czyli sześć razy rodziła, więc musi być starsza ode mnie lub w moim wieku. Jeszcze raz zerknąłem na jej twarz: zmęczoną, pryszczato-liszajowatą, brzydką. Jak pani długo pracuje w oborze? — spytałem, widząc, że Jasiunia wierci się na krześle. Musi rok, bąknęła. A wcześniej? Nie odpowiedziała, więc spytałem pełnym zdaniem. Trochę w polu, trochę nigdzie, znowu bąknęła. Czy podoba się pani praca do-jarki? Nie za ciężka? Rano, gdy pani wstaje i wychodzi do obory, dzieci same zostają w domu, prawda? Ehe, ona na to, i ciska. Aa...? A ile pani ma lat? Podniosła głowę, ale zaraz zwiesiła ją nisko i wydusiła z siebie, jakby się wstydziła: Siedemnaście. Ile?! Siedemnaście? No, przytaknęła. Siedemnastoletnia dziewczyna miałaby tak wąskie i już zrogowaciałe usta, piersi niby balony, dłonie jak szufle? I sześć razy rodziła? Ale nie powtórzyłem pytania, tylko wyszedłem do drugiego pokoju. Siedemnaście, potwierdziła księgowa. Dałby jej inżynier ze trzydzieści? Jak jej trzydzieści, to mnie ile? Pewnie pięćdziesiąt? Dalej nie wierzyłem, więc księgowa podała mi umowę o pracę: „Janina Chamarszczuk, urodzona



w Korytowie 18 grudnia 1966 roku, wykształcenie niepełne podstawowe”. Skończyła trzy, najwyżej cztery klasy, dodała księgowa. Po pierwsze niepełnoletnia, po drugie, nawet bez podstawówki... Kto ją zatrudnił przy obsłudze zwierząt? Księgowa zmarszczyła czoło. Kiedy Jasiunia była w trzeciej klasie, dobrał się do niej Wiluś, po pijanemu. W czwartej Siębieda, też po pijanemu. Potem znowu Wiluś, a ostatnio... urwała zawstydzona czy przestraszona. Dowie się pan inżynier od kogo innego. Jeszcze nieraz będzie pan zaskoczony tym, co zobaczy w Korytowie. Wilkowiak? — spytałem. Podniosła wzrok znad papierów i wolno kiwała głową. Po dożynkach, dodała kasjerka. Potem nie wiadomo kto pobił dyrektora. Wiluś? Po co pan pyta, jak wie tyle samo, ile my? — odparła kasjerka.

— Ta kasjerka pewnie się w tobie kochała — przyrywa Magda.

— Wróciłem do swego pokoju. Jasiunia nawet nie spojrzała w moją stronę, głowę opuściła na piersi, ręce mocno zacisnęła na zaokrąglonym brzuchu i ciężko oddychała przez nos, jakby miała w nim polipy. Cholera, znowu jest w ciąży. Obiecywałem prezesowi powiatowego komitetu stronnictwa, że za dwa, trzy lata zmienię Korytowo. Szło mi nie najgorzej. W obecności Jasiuni po raz pierwszy zastanawiałem się nad danym słowem. Pani Janino... Co jej powiedzieć? Jest pani bardzo młoda... Ja? Oderwała wzrok od podłogi, otworzyła usta i patrzyła na mnie dziwnie. Co drugi ząb miała ułamany.

Tak. I znowu jest pani w ciąży, wyartykułowałem, jeżdżąc oczyma po suficie. W tym pokoju przekonałem się, jak trudno jest powiedzieć drugiemu człowiekowi to, co trzeba powiedzieć, żeby mu pomóc. Są różne sposoby zapobiegania ciąży, choćby naturalne planowanie czy stosowanie środków hormonalnych, takich jak provera czy trisequens... Pani nie wolno... Co wyrośnie z tych dzieci, które pani sprowadza na świat? Kto je wychowa? Po to je pani rodzi, żeby żyły w domu dziecka? Było mi gorąco, plecy mokre, ale brnąłem dalej. To co, pojedziemy do Świdnicy? Do lekarza? Pożyczymy samochód i któregoś popołudnia... Jasiunia patrzy na swoje gumowce, wykręca palce w rękach, sapie i milczy, jakby to, co mówiłem z takim wysiłkiem, nie było skierowane do niej, a do kogoś, kto stoi za jej plecami. Gdyby pani miała męża czy narzeczonego, w ostateczności konkubenta, to inna sprawa, lecz samotnie, bez mężczyzny chować czworo małych dzieci jest bardzo trudno. Za jakiś czas będzie i piąte, prawda? Pani Janino, co będziemy odwlekali! Jedziemy jeszcze dziś po południu, za nią zdecydowałem. Niech się pani odpowiednio przygotuje. Wstała. Głowa jak kamień na wielkich piersiach. Nawet nie widziałem, czy się zaczerwieniła. Stała i milczała. Odwróciła się i poczłapała do drzwi. Naraz uniosła głowę, zatrzymała się i rzuciła na mnie nienawistne spojrzenie. Czułem, że gdybym stał bliżej niej, skoczyłaby jak kocica i brudnymi paluchami chwyciłaby mnie za włosy i orała

paznokciami po policzkach, po czole, po nosie, i klęła, i kopła. Mimo to spytałem: dziś o czwartej, dobrze? Jej oczy były pełne jadu. Większość kobiet zamężnych korzysta z pomocy ginekologa i żadna się nie wstydzi, dodałem przekonany o swoim zwycięstwie. Nie twoja sprawa, z kim się rucham! — wrzasnęła Jasiunia. Pani mnie źle zrozumiała. Patrzcie go! Chuj złamany będzie mnie... kurwa jego w pizdę pierdolona mać! Trzasnęła drzwiami, aż szyby się rozdzwięczały. Co cię obchodzi, kto mnie jebie?! Teraz walnęła drzwiami do księgowości. Odpierdol się ode mnie, chuju złamany! I bach-bach jeszcze jednymi drzwiami. Wróciła się. Moje dzieci nie są na twoim chlebie, żebyś mi je zabierał! I ze schodów: On mi będzie zaglądał w pizdę! Wyszła na podwórze, stanęła pod moim oknem i długo wrzeszczała, a ja wstydziłem się wyjść ze swego pokoju.

— Ano, taki był socjalizm. Chwała Bogu, że się skończył — rzuca z powagą Eugeniusz.

— Socjalizm był dobry dla takich jak Jasiunia — uważa Marek. — Właśnie ze względu na te osoby czasem żałuję, że się urwał. Kto dziś im pomaga?

— Jak to kto? Jest przecież opieka społeczna — wpada mu w słowo Pola. — Są organizacje pozarządowe.

— Kościół ze swoimi instytucjami jest przede wszystkim — nie ustępuje Eugeniusz. — Ja ze swojej diety poselskiej przed każdymi świętami daję tyle, ile mogę. Inni posłowie naszego ugrupowania również. Gdyby tak każdy...

— A za co ci biedni ludzie mają żyć między świętami?  
— pyta Jadźka. — W gruncie rzeczy oni są chorzy na nieuleczalną niezaradność. Na tę chorobę nawet Niemcy nie wymyślili lekarstwa.

— W Szwecji... — zaczyna Natalia i nie kończy.

— Jo! — wybucha śmiechem Ryży.

## **Najtrudniej o uczciwego**

Eugeniusz: Lepiej bym się czuł, gdybym miał siwą, a nie łysą głowę.

Marek: Ja też.

Pola: To sprawa wyłącznie genetyki. Coś o tym wiem.

Eugeniusz: Jesteś polonistką.

Pola: Habilitację zrobiłam w ochronie środowiska.

Nikos: Na szczęście mnie łysina nie gro-o-zi. W mojej ro-odzinie wszyscy mężczyźni po-po sześćdziesiątce są siwi.

Beata: A czy ktoś z tu obecnych widział łysego Greka?

Marek: Jeśli wierzyć starogreckim rzeźbiarzom, to Diogenes nie miał ani jednego włoska na głowie. Łysi jak łydki mojej żony po depilacji w zakładzie kosmetycznym pani Adrianie byli również Platon, Ajschylos, Hipokrates.

Eugeniusz: Seneki nie wymienileś.

Marek: Lucjusz Anneusz Seneka był Rzymianinem, kolego pośle, wychowawcą przyszłego cesarza Nerona,

przede wszystkim artystą słowa. Miał rzadki dar wyrażania najtrudniejszych myśli. Kościół chrześcijański uznał go niemal za świętego. Dla większości posłów mógłby być wzorem, jak wygłaszać mowę na zadany temat.

Beata: Gdy przed chwilą patrzyłam na Ryżego, jak zbiera puszki po piwie, to coraz bardziej się zgadzam z tezą, że włosy najlepiej rosną na pustej głowie.

Magda: Mylisz się, moja droga koleżanko. Ryży, na którego patrzyłaś z takim zachwytem, ma mniej włosów niż mój Marek, a na pewno jest od niego dużo młodszy. Porzekadło, że na mądrej głowie włosy nie rosną, chyba straciło na aktualności, o czym Ryży byłby gotów cię przekonać, gdybyś zafundowała mu piwo.

Eugeniusz: Nie to, co na głowie mianowicie, lecz co jest w środku, czy jakoś tak.

Natalia: W młodym wieku może i ważne jest, okej, żeby mężczyzna miał bujne włosy, błękitne oczy, rzęsy jak firanki, ramiona szerokie niczym drwal z Wołosatego.

Jadźka: I pomiędzy nogami nie pypeć, a coś na kształt kolby dojrzałej kukurydzy. Albo, jakby to nazwała Ina, pała rasowego ogiera.

Natalia: Teraz jest mi bez różnicy, czy on będzie łysy, czy owłosiony jak szympans. Oczywiście wołałabym mieć majątnego, zadbanego i w ogóle na poziomie. Najważniejsze jest jednak, żeby mężczyzna mnie chciał i wobec mnie był uczciwy.

Magda: Dziś są takie czasy, że o uczciwego najtrudniej.

Pola: Ludziom łatwiej było ustalić wzorzec podstawowej jednostki długości, jaką jest metr przechowywany w Sèvres pod Paryżem, niż uzgodnić wskaźnik uczciwości.

Nikos: Tu się zgadza.

## **Eugeniusz za kierownicą**

Magda każe się spieszyć. Za dwadzieścia minut wszyscy muszą siedzieć przy rodzinnym stole w bocznej salce nad wodą w ekskluzywnej restauracji Maryla-Fish w Sławie. Na zjedzenie składającego się z trzech dań obiadu mają godzinę. Jeśli nie zdążą, będą słyszeli, jak ich przeklinają ci głodomorzy, którzy do Maryli-Fish przyjdą na chrzciny prosto z kościoła.

— Suzuki jest największe, więc ze mną pojedą oba małżeństwa. Samotne, czyli Jadzię, Natę i Inę, zabierze Marek do pandy — dyryguje Magda.

— Za ile minut wyjeżdżamy? — pyta Beata, od rana rozważając, co powinna na siebie włożyć, żeby w restauracji nikt nie miał wątpliwości, czyją jest żoną. — Eużen, przynieś mi z samochodu tę seledynową sukienkę. Albo nie, weź tę żółtą i kapelusz. Może żółtą i seledynową. Nie zapomnij o swoim garniturze! Jesteś osobą publiczną, jeszcze ktoś cię rozpozna w restauracji... I co wtedy?

— Pełnia upalnego lata, nie musimy się specjalnie stroić — próbuje ją pohamować Magda, chociaż sama

ubierze się jak na sumę. — Powinniśmy się pośpieszyć, bo mamy bardzo mało czasu.

— Usia-susia, już jestem, kurwa, gotowa. — Inez wygląda nogawki džinsów, w których przyjechała wczoraj.

— Nie przebierasz się do obiadu? — dziwi się Natalia.  
— W Szwecji, nawet jak szliśmy do McDonalda...

— Gdyby dzisiejszy obiad był w domu gospodarzy... Jedziemy, kurwa, do podrzędnej knajpy w gminnej miejscinie — odpowiada Inez, po czym podnosi lewą rękę i wsuwa czubek nosa pod pachę. To samo robi z prawą ręką. — Może być.

— Dobra firma — zgaduje Natalia. Inez kiwa głową.  
— Z tym Donem ty naprawdę...?

— Naprawdę.

Najszybszy jest Marek, zaraz po nim wychodzi na podwórze Nikos w rozchełstanej na piersiach białej koszuli i ciemnych okularach przesuniętych na czoło. Eugeniusz, w białych pantoflach i lnianych spodniach, trzyma w rękach marynarkę i nie wie, czy powinien w nią się ubrać, ale wtedy będzie mu za gorąco, czy tylko zawiesić na ramionach. Najwięcej czasu na przebranie się potrzebują mężatki, czym żonaci mężczyźni nie są zaskoczeni. Zawsze o tym pamiętają i dlatego od południa przypominają swoim żonom o wieczornych wyjściach z domu na przyjęcie u znajomych czy na tańce. Marek zerknął na zegarek, najpóźniej za dwie minuty podejdzie do drzwi i kilka razy pociągnie za ringabulinę. Gdy odezwie się dzwon jachtowy zawieszony

na ganku, z domu dobiegnie go biadolenie, lament, krzyk, a może i wiązanka przekleństw.

— Jeszcze minutę! — błaga Beata, gdy Magda popycha drzwi do jej pokoju.

— Przecież bez nas na pewno nie pojedą! — jest przekonana Pola.

— Jeśli nie zjawimy się o wyznaczonej godzinie, ktoś inny zajmie nasze miejsca. Maryla-Fish to nie stołówka, tylko naprawdę ekskluzywny lokal. Podobnego nie ma nawet w Zielonejgórze, chociaż Palmiarnia po remoncie spełnia oczekiwania gości.

— Nawiasem mówiąc, dzisiejszy obiad mogłaś podać w domu. Jakieś jarzynki z własnego ogródka, ziemniaczki... Mięsiwo mamy u siebie. Pamiętaj, żeby na drugi raz...

— Nie będzie drugiego razu — odpowiada Magda i widzi, że Beata ma pytającą minę.

— Rzeczywiście... Może jednak nam przejdzie?

Magdzie też żal corocznych zjazdów, ale skoro wczoraj wieczorem tak zdecydowali, to słowa muszą dotrzymać. Komu będzie się chwaliła, ile potrafią wnuki? A z kim porozmawia o chorobach i lekarzach? O wadach i coraz mniejszych zaletach Marka przecież nie będzie opowiadała sąsiadkom. Zresztą gdy ta wdowa z naprzeciwna usłyszy, jak Magda narzeka na Marka, to jeszcze gotowa go pocieszać, a wiadomo, czym to się może zakończyć.

— Pozwól mi poprowadzić twoje suzuki — Eugeniusz prosi Magdę. — Nigdy nie siedziałem za kierownicą vana.



Jak w przyszłym roku nasze dzieci ze Stanów przyjadą na wakacje, będę musiał kupić coś na osiem osób. Wnuki zechcą zobaczyć Częstochowę, Kraków, Zakopane.

— Sejm, mężu! Bezwzględnie musisz im pokazać parlament, żeby wiedziały, jaką odpowiedzialność za Rzeczpospolitą ponosi dziadek — dodaje Beata i zajmuje miejsce obok męża.

— Wolałbym, aby dziś tu siedziała Magda. W razie konieczności będzie mi służyła radą. A gdybym stracił z oczu pandę, powie, jak dojechać do restauracji — uzasadnia swoją prośbę Eugeniusz.

— Nie jestem przyzwyczajona do oglądania świata zza czyichś pleców. A w ogóle, mężu mój, czy się godzi, aby poseł robił za kierowcę? — pyta Beata, siadając obok Nikosa. — Jak tu ciasno!

## **Posel nigdy nie łamie prawa**

Pola skuliła się na skraju kanapy, Nikos ścisnął nogi i dotyka swoim lewym kolaniem prawego kolana żony tylko dlatego, żeby Beata nie narzekała na ciasnotę.

— Już dawno powinni tę drogę przynajmniej poszerzyć. Przecież tyle znanych osób ma swoje domki w Jodłowie. Gdyby mój mąż był waszym posłem...

— Jeździłam gorszymi drogami w pobliżu Legnicy — Magda przerywa Beacie. Boże, wybac mi niegodziwość wobec koleżanki, prosi w myślach, ale odkąd

Eugeniusz jest posłem, Beata pewnością siebie dorównuje żonie prezydenta. To i dobrze, że ten zjazd będzie ostatni. Łagodniejąc, dodaje: — Zanim drogowcy wezmą się za dziury w Jodłowie, powinni załatać asfalt na drodze z Zielonejgóry do Sławy.

W Radzynie, uchodzącym za przedmieście wypoczynkowej Sławy, Eugeniusz częściej naciskał na dźwignię hamulca niż na pedał gazu.

— Czyżby procesja albo odpust? W sobotę? — pyta ze złośliwym uśmieszkiem Beata.

— Najazd turystów. W Radzynie tak jest każdej soboty i niedzieli od pierwszych dni maja do końca września. Wielu mieszkańców Zielonejgóry ma tu domki letniskowe, które w zasadzie wykorzystują jako całoroczne — odpowiada Magda głosem solidnej przewodniczki i zaciska dłonie aż do bólu, żeby nie powiedzieć czegoś, czego potem będzie żałowała.

— Oczywiście państwo polskie na tym traci, bo oni płacą podatek z ulgą za sezon, a mieszkają przez okrągły rok. Wykorzystują słabość organów samorządowych. Wy, mężu mój, jako opozycja parlamentarna powinniście to załatwić zgodnie z oczekiwaniem wyborców. Złóż wniosek w tej sprawie.

Eugeniusz nawet nie przytakuje, co zwykle robi wtedy, gdy nie wie, jak odpowiedzieć żonie, żeby już go nie męczyła. Stwierdza w myślach, że wsłuchując się w wypowiedzi Beaty, stracił z pola widzenia czerwoną pandę z Markiem i trzema samotnicami.

— W Sławie wszystkie drogi prowadzą nad jezioro — pociesza go Magda. — W miasteczku jest tylko jeden parking z prawdziwego zdarzenia, na placu Pamięci Narodowej.

— Mimo że nazwa placu patriotyczna, to za postój trzeba płacić — zrzędzi Beata. — Oczywiście i tutejsi radni podjęli uchwałę, na której mocy oni są zwolnieni z kupowania biletów parkingowych. To zhora większości małych miejscowości, gdzie wszyscy się znają. Coś takiego byłoby niemożliwe w Legnicy.

— W Wałbrzychu tym bardziej — dopowiada Pola z wyższością w głosie.

— Jest propozycja burmistrza, aby za parkowanie w miasteczku płacili wyłącznie przyjezdni. Będzie to wymagało zatrudnienia kasjerów lub postawienia automatów, co na początek wiąże się z dodatkowymi kosztami. Dlatego do końca tegorocznego sezonu nikt nie pobiera opłat za postój.

Na pierwszy rzut oka wszystkie miejsca na wielkim parkingu są zajęte. Samochody stoją również po obu stronach ulicy Odrodzenia Wojska Polskiego, niektóre blokują wyjazd z bocznych uliczek.

— Gdyby wybuchł pożar, wóz gaśniczy mianowicie wtedy nie przejedzie — twierdzi Eugeniusz, wyciągając rękę przed siebie.

— Karetka pogotowia również. Że policja na to pozwala...

— Jestem ciekawy, gdzie Marek postawił swoją pandę.

— Ty martw się o siebie i o mnie — strofuje męża Beata. — Długo tak będziemy warowali bez nadziei na znalezienie miejsca? Ja wysiadam. Tu jest goręcej niż na Synaju, gdzie nawet Egipcjanie sobie nie radzą z klimatem. — I wysiada. Najpierw odlepia sukienkę od spoconych pleców, potem poprawia kapelusz i się rozgląda, czy ktoś patrzy w jej stronę. Nad tłumem dostrzega Inez machającą do niej ręką. — Tam jest wolne miejsce. — Beata wskazuje tryumfalnie rozłożyste drzewo, przy którym nie stoją samochody.

— Placyk wyznaczony dla niepełnosprawnych kierowców — wyjaśnia Magda, rozważając, czy w sobotnie popołudnie znajdzie wolne miejsce za Kormoranem. Stamtąd do restauracji Maryla-Fish niewiele dalej niż z centralnego parkingu.

Eugeniusz włączył silnik i kieruje suzuki pod dyktando żony. Widzi wolną przestrzeń akurat przed białą tabliczką ze znaczkiem inwalidzkiego wózka.

— Nie mamy uprawnienia do zajmowania tego miejsca — mówi Magda przekonana, że Eugeniusz tam nie wjedzie.

— Posłowi jak policjantowi nikt nie ma prawa zabronić parkować tam, gdzie uzna to za właściwe — poucza ją Beata.

— Mianowicie chroni mnie immunitet parlamentarny — dodaje Eugeniusz.

— Gdybyś załatwiał sprawę służbową, może i tak, ale ty jesteś w Sławie prywatnie. W dodatku na miejscu

dla inwalidy postawiłeś nie swoje, lecz moje auto. Każdy policjant...

— Jako parlamentarzysta zawsze i wszędzie jestem służbowo, droga Magdo. A policjant, który odważy się zwrócić mi uwagę, przestanie być policjantem bez względu na to, za kierownicą czyjego auta siedziałem. Policja musi stać na straży prawa.

Magda już miała powiedzieć, że prawo obowiązuje wszystkich, a Eugeniusz jako poseł szczególnie powinien go przestrzegać, ale przecież to by nic nie dało.

— Eużen nigdy nie łamie prawa, moja wielce szanowna koleżanko. Jako poseł na sejm Rzeczypospolitej korzysta z należnego mu przywileju — broni męża Beata. — A że przy okazji jego bliscy i znajomi wykorzystują ten przywilej, to zupełnie inna kwestia. Często godna potępienia.

## **Chrupiąca psychota**

Kelner nawet nie odwraca głowy, gdy Magda pyta, gdzie jest wejście do salki nad wodą, jakby nie słyszał, a przecież to jej sąsiad z wieżowca, podczas wakacji zarabiający na studia. O, źle się zaczęło, ocenia sytuację Marek, robiąc niezadowoloną minę. Magda idzie za kelnerem, żeby go chwycić za koszulę, gdy ktoś z gości czekających na wolne miejsce przy stoliku pokazuje rozsuwane drzwi obok bufetu.

— Tłok większy niż u nas w Lamusie — dziwi się Inez. Chciała pochwalić się jeszcze bardziej ekskluzywną restauracją w Gorzowie, ale poza tą jedną do żadnej nawet nie zajrzała.

— U nas w Adrii też trudno o miejsce w porze lunchu — obwieszcza Beata wyniosłym tonem. — W ogóle w Legnicy powinno być więcej restauracji. Gdybym została radną, od rozwiązania tego problemu zacząłabym swoją działalność.

— W czerwcu miałam gości z ministerstwa, zwyczajne potwierdzenie wniosków, zaprosiłam ich na kolację do Książęcej, a tam dosłownie ani jednego wolnego krzesła. Gdyby nie to, że poznałam właściciela, gdy Nikos był wicewojewodą, najmniejszej szansy byśmy nie mieli na skosztowanie wspaniałej rolady po walcbrzysku. Dosłownie tłok — skarży się Pola. — Gdy będziecie u mnie, przypomnijcie, abym was tam zaprowadziła.

Jeszcze nie zdążyli obejrzeć rybek pływających w akwariach i napaść wzroku widokiem jeziora, gdy w salce zjawia się właścicielka restauracji i pokazując na zegarek, mówi z przyganą, że spóźnili się prawie dziesięć minut.

— Spóźnienie do piętnastu minut jest nawet w dobrym stylu — śmieje się Eugeniusz. — Premier na żadne spotkanie nie przyszedł wcześniej.

— Pani Marylko...

— Pani zapewniała mnie, że przyprowadzi swoich gości punktualnie o trzynastej trzydzieści. Tylko pod takim

warunkiem zgodziłam się przyjąć zamówienie — restauratorka przypomina Magdzie. — O piętnastej przyjdą goście zastępcy pana burmistrza na uroczystość związaną z chrztem. Na przygotowanie sali moja załoga potrzebuje pół godziny. Czyli za pięćdziesiąt minut was tu nie słyszę. I nie wi-dzę — sylabizując, wycofuje się z salki.

Na naprawdę ładnie udekorowanym stole, na co uwagę pierwsza zwraca Jadźka, czekają na nich roladki z łososia w sosie pomidorowym z dodatkiem bazylii.

— Zioło nie z marketu dla ubogich, jakich wiele w każdym mieście — twierdzi Pola tonem znawczyni.

— W Szwecji wszystko można kupić w supermarkecie, ale, niestety, smakiem nie dorównuje to produktom naszych ogrodników — dodaje Natalia.

Jeszcze nie skończyli jeść przystawki, już restauratorka stawia na stole wazę z zupą pachnącą cebulą, jakby chciała, aby goście nadrobili spóźnienie.

— *Soupe a l'oignon gratinée*, czyli zapiekana zupa cebulowa, klasyczne danie kuchni francuskiej. Francuzi nazywają ją po prostu *gratinée* — objaśnia Magda i zaraz dodaje, że cebulaczka jest najlepsza na kaca i przeziębienie, a w skrajnych przypadkach nawet na gripę żołądkową.

— Do tego by się przy-ydało zimne piwo.

— Nikos, pani Maryla poda piwo do drugiego dania — zapewnia go Magda.

Marek nie lubi zupy cebulowej, ale nie chce się wyróżniać. Dla świętego spokoju nalał do swojego talerza

może pół chochelki i zamiast przyłączyć się do chóru chwającego szefa kuchni, ocenia stroje koleżanek Magdy. Wczoraj przyjrzał się Inez i tyle mu wystarczy, żeby więcej nie zerkać w jej stronę. Dziwi się wdowcowi, który zarzuca na nią sieć oczarowania. Ona pewnie jeszcze ma nadzieję, że uwiedzie kogoś podobnego do Kirka Douglasa, w którym zakochała się jeszcze na pierwszym roku polonistyki. Nata nigdy nie umiała się ubrać, a po przejściu na emeryturę kupuje najtańsze łaszki w supermarketach, czyli pogardzane nawet przez mieszkanki domów spokojnej starości. Jadźka założyła na siebie za dużą męską koszulę w kolorowe palmy, co nie świadczy o braku gustu, a o swobodzie, z jaką się nosi. Pola ma na sobie białą sukienkę z rozcięciem prawie do pępka, w którym, gdy się pochyla nad talerzem, Marek widzi kopczyk lewej piersi, powinien więc na nią łypać wzrokiem, a on nie okazuje specjalnego zainteresowania. Beata wystroiła się na żółto, nawet na szyi ma jasnożółte korale, w uszach złote klipsy z żółtymi kropkami, na lewej ręce zegarek na żółtym pasku i z żółtą tarczą, na prawej aż dwie żółte bransolety. Nie zwrócił uwagi na jej buty, ale pewnie również są żółte. Oczywiście pod żółtą sukienką z falbankami musi mieć żółty staniczek i żółte figi. A może ona, gdy się natrząży na uczennice w swojej szkole, na zgrabne studentki pedagogiki na stażu, na młodsze nauczycielki, też wciska się w stringi? Chyba jednak nie, bo kobiety w wieku emerytalnym uważają ten rodzaj bielizny za niehigieniczny. Marek zerka na Magdę i zachwyca się jej luźną bluzką,



delikatnym wisiorkiem między pagórkami piersi, małymi kolczykami do kompletu, makijażem w sam raz. Magda nie pochyła się nad talerzem jak Pola, nie siorbie zupy jak Nikos, tylko siedzi oparta plecami o krzesło i podnosi łyżkę do ust. Wygląda bardzo ładnie. Gdybym miał ponownie wybierać kandydatkę na żonę, wybrałbym ciebie, myśli Marek i puszcza uwodzicielskie oko do Magdy.

— Na śmierć zapomniałam, że nie lubisz cebulaczki — mówi ona głosem zakochanego dziewczęcia, posyłając mu uśmiech proszący o przebaczenie.

— Powinieneś jeść cebulę we wszelkich postaciach. Szczególnie jesienią, kiedy trzeba uodpornić organizm przed grypą.

— Czy to jest zalecenie szwedzkich medyków? — udaje zainteresowanego Eugeniusz, czego Natalia nie umie potwierdzić.

Z tarapatów wybawia ją pani Maryla, stawiając na stole dwa pachnące półmiski, udekorowane świeżym tymiankiem i plasterkami cytryny. Kelner, ten sam, który nie pokazał Magdzie, gdzie są drzwi do salki nad wodą, podaje właścicielce restauracji salaterkę z sosem majonezowym i miskę z ziemniakami pieczonymi na gęsim smalcu.

— Tak jak się umawialiśmy: sielawa smażona w cieście piwnym — mówi pani Maryla do Magdy. — Gdyby goście mieli ochotę na więcej porcji, niestety, dziś to niemożliwe ze względu na poczynione przygotowania do chrzcin wnuczki pana wiceburmistrza. Zapraszam za tydzień.

Nikos bardziej lubi owoce morza niż ryby z polskich jezior. Gdyby wrócił do Grecji, jak mu proponowali kuzyni ze strony ojca, jednego dnia jadłby kalmary z ziołami, drugiego małże z kiwi, trzeciego ośmiornice w winie, pewnie i homary, ostrygi, langusty, omułki. W Wałbrzychu czasem Pola dodawała krewetki do jajecznicy; jadł dlatego, że zapach skorupiaków przywoływał dziecińne lata, chociaż z dzieciństwa pamięta jedynie, jak zakonnik dał mu wielką grudę cukru, z którą zasypiał i się budził.

— Ry-ryby pewnie z miejscowego je-jeziora — mówi Nikos, sięgając po półmisek.

Eugeniusz powinien sobie przypomnieć, że co roku posłowie przyznają niemało pieniędzy na oczyszczenie Jeziora Ślowskiego. Gdy woda w jeziorze będzie przejrzysta, a stanie się to nie wcześniej niż za dziesięć lat, może wędkarze znowu będą łowili sielawy i sieje. Marek już miał to powiedzieć, gdy zdał sobie sprawę, że nie ma sensu wyprowadzać Nikosa z błędu. Jeszcze zacznie się dopytywać, skąd w takim razie sielawy w cieście piwnym na półmisku w ślowskiej restauracji. Lepiej nie psuć mu smaku.

— Dla takiego rarytasu warto było przyjechać — Beata uśmiecha się do Magdy, jakby ją przeproszała za swoje zachowanie w samochodzie. — Coś wspaniałego. W domu, gdybym się sprężyła, nie byłabym w stanie tak znakomicie upiec rybę. Jestem ciekawa, jak oni robią ciasto piwne.

— Wprost chrupiąca pychota — zachwala Pola.

— Tu się zgadza.

Magda słyszała, że przygotowanie ciasta piwnego nie wymaga nadzwyczajnych umiejętności. Zamiast gorącej wody do mąki trzeba wlać piwo i dodać świeże żółtko. Białko ubić na pianę, wymieszać z ciastem, które powinno mieć konsystencję gęstej śmietany. Oprawione ryby, wcześniej posolone i skropione sokiem z cytryny, zanurzać w cieście i smażyć w głębokim oleju.

— Proste jak budowa dzidy bojowej?

— A jednak skomplikowane — uważa Pola i zwraca głowę w stronę Marka. — Każdy zna litery i wie, jak trzymać długopis w ręce, a, niestety, tylko nieliczni potrafią napisać książkę. Co istotne, nie każda książka jest arcydziełem, po które ustawiają się czytelnicy w kolejce po autograf, czego doświadczyłam na własnej skórze jako autorka opublikowanej w wydawnictwie macierzystej uczelni rozprawy doktorskiej. Moi drodzy, pomiędzy kucharzem i autorem książki nie ma większej różnicy, obaj bowiem są niepospolitymi twórcami. Komu dobry Pan Bóg dał więcej talentu, tego sława szerzej niesie się po świecie. A przy okazji: czy to prawda, że pisarze są tak samo dobrzy w kuchni jak w łóżku?

— Sukces można osiągnąć w każdej dziedzinie — twierdzi Marek, trochę skrępowany opinią Poli.

— Masz bogate doświadczenie, więc nie zaprzeczysz, że do tego oprócz talentu potrzebne jest jeszcze coś, co jedni nazywają szczęściem, a drudzy przypadkiem — ku jego zaskoczeniu Inez odzywa się jak znawczyni.

*Sukces jest celem każdego prawdziwego amerykańskiego mężczyzny i prawdziwej amerykańskiej kobiety. A największym sukcesem jest właśnie zostać nie papieżem, nie szefem Oenzetu, nie Mister Universum, lecz prezydentem Stanów.*

Edward Redliński, Bzik prezydencki

---

## **Eugeniusz straszy restauratorkę**

Swoje wejście pani Maryla obwieszcza głośnym chrząknięciem, podnosi lewą rękę i bez słowa pokazuje na zegarek, co oznacza, że gdyby konsumenci jeszcze nie zjedli sielawy w cieście piwnym, to muszą wyjść z salki, w której za pół godziny będą świętowali goście zastępcy burmistrza.

— A co by pani zrobiła, gdybyśmy mianowicie tu jednak zostali? — pyta Eugeniusz przekonany, że pani Maryla ustąpi. — W Warszawie każdy restaurator byłby zadowolony z tylu konsumentów. W stolicy potrafią robić interesy.

— Proszę cię, nie wykorzystuj swojej pozycji — mówi Magda. — Moja wina, przepraszam. Powinnam była zmusić was do szybszego wyjazdu z Jodłowa. Skoro ustaliłam z panią Marylą konkretne godziny naszego posiłku w tej salce, nie mogę teraz postąpić wbrew umowie.

— Mąż spytał teoretycznie — Beata próbuje usprawiedliwić Eugeniusza. — Proszę pani, jako dyrektor dużej

szkoły często muszą stanąć między nauczycielem i rodzicem. Jeszcze nie było tak, abym nie potrafiła rozwiązać sporu. Z doświadczenia wiem, że nawet z najtrudniejszej sytuacji jest wyjście zadowalające obie strony. Trzeba tylko chcieć przyznać się do błędu i mieć nieodpartą wolę zrozumienia drugiej osoby.

— To jest mój lokal, proszę panią, najlepszy w Sławie, co nie. Tu zawsze było, jest i będzie wyłącznie tak, jak ja sobie życzę — odpowiada władczym głosem restauratorka.

— Koleżanka nie miała niczego złego na myśli — Magda próbuje załagodzić sytuację.

— Nie spodziewałam się, że z gośćmi tak miłej osoby, za jaką pani uchodzi, będę miała jakiś kłopot. Brak kultury i w ogóle — pani Maryla wyrzuca Magdzie, a kelnerowi pokazuje ręką, jak ma ustawić stoły.

— Trzeba będzie polecić Najwyższej Izbie Kontroli, aby sprawdziła, czy przy przyznawaniu koncesji wszystko odbyło się zgodnie z prawem — mówi Eugeniusz, przenosząc wzrok z restauratorki na jacht dobijający do przystani.

— Nie będziesz mnie, pan, straszył! Wynocha, bo zawołam policję! I w ogóle...! Chamstwo!

## **Szwecja po raz czwarty**

Gdy z nadzieją na wolny stolik pod parasolami wyszli przed restaurację, miny im zrzedły: tu też wszystkie miejsca były zajęte. Wzdłuż żywopłotu wytyczającego granicę

między letnią kawiarnią a parkiem cierpliwie stali spragnieni i zmęczeni wczasowicze.

— Chciałam was zaprosić na szampana, okej. Niestety, jak widzę, chyba nic z tego nie będzie — kręci głową Natalia. — Cała nadzieja w Marku, że zaprowadzi nas tam, gdzie nie ma tłoku.

— Jakaż to okazja? Czyżbym o czymś nie pamiętała? — pyta niepewnie Beata.

— Przecież moje imieniny, dziewczyny. Byłabym straszną niewdzięcznicą, gdybym... Złożyliście mi życzenia płynące z głębi serca. Marek ułożył piękny limeryk na moją cześć. Więc choćby z tego powodu powinnam odpłacić się butelką szampana albo wina musującego. Okej?

Marek oparł się ramieniem o pień klonu i patrząc przed siebie, myśli, w której restauracji w porze poobiedniej mogą być wolne miejsca. Za rzadko zagląda do Sławy, to i jego zasób wiadomości o usługach gastronomicznych wczasowego miasteczka jest taki sam jak o pomocy medycznej, czyli: szukajcie, może znajdziecie.

— Mam! — obwieszcza, klaszcząc w dłonie.

— Daleko stąd? — dopytuje się Natalia pewna, że Marek przypomniał sobie, w której restauracji lub kawiarni na pewno czekają na gości.

— Jeśli podtrzymujesz swoją propozycję, zaprowadzę cię do delikatesów. Kupionym tam szampanem poczęstujesz nas w Jodłowie.

Natalia spodziewała się czegoś innego, nie jest więc zadowolona z odpowiedzi.

— Gdy byłam w Szwecji... Pewnie wiecie, dziewczyny, że Szwedzi w przeciwieństwie do nas nie obchodzą imienin, tylko świętują urodziny. U nas urządza się luksusowe przyjęcie w domu, oni natomiast zapraszają gości do restauracji. Nie liczcie na to, że zachowają się wedle zasady: *zastaw się, a postaw się*. Po lampce wina, ewentualnie ciastka i kawa. *Tack, adjo, hej då*. Co znaczy: dziękuję, do widzenia.

— Ja jednak wolę świętowanie po polsku — odzywa się Nikos. — W ostateczności może być tak jak w Grecji, byle nad ciepłym morzem.

— Zauważyłam, że gdy Nikos mówi o czymś przyjemnym, to się nie jąka — Beata dzieli się swoim spostrzeżeniem z Polą.

— Ano, tak to jest.

## **Ruskie kurewki**

Natalia przypomniała sobie, że kiedy wczoraj jechała do Jodłowa, z okien autobusu wzdłuż drogi między Legnicą a Lubinem co kilkadziesiąt metrów widziała młode kobiety w króciutkich spódniczkach. Mimo że szczerzyły zęby do wszystkich kierowców i pasażerów, ich twarze wcale nie były radosne.

— Pewnie autostopowiczki, tylko dlaczego nie miały żadnych plecaków?

— Rosyjskie agentki — uważa Beata.

— Agentki? — nie rozumiała Natalia.

— Kurewki. W nocy przyjmują klientów w agencjach towarzyskich, w dzień wychodzą na drogi. Zajęcie mają przez siedem dni w tygodniu.

— Nie ruskie, lecz ukraińskie lub białoruskie. Ewentualnie mołdawskie, chociaż mołdawskie kobiety za bardzo przypominają Cyganki. U nas takie nie mają dużego wzięcia. Co innego przy autostradzie A4. Tam większość klientów to Niemcy. Zachodniak płaci i się nie targuje — rzekł Eugeniusz.

— Dla mnie wszystkie dziwki ze Wschodu są Rosjankami — upiera się Beata.

— Gdy byliśmy na Krecie, miejscowi brali nas za Ruskich — wtrąca Magda.

Natalia chciała spytać, dlaczego Rosjanki czy Białorusinki lub Ukrainki przyjeżdżają do Polski, lecz nie wie, czy się nie ośmieszy. Na ulicach Wrocławia nigdy nie spotkała prostytutki. Może spotkała, ale jak taką odróżnić od pospolitej kobiety?

— Dlaczego akurat aż tyle jest ich przy drodze między Legnicą a Lubinem?

— Gdzie jest największej kopalni miedzi? — pyta Eugeniusz i odpowiada: — W okolicy Lubina. Kto pracuje w kopalni? Żonaci, ale i samotni, przeważnie młodzi. Zarabiają nieźle, tyle że muszą tyrać. Jak się facet naha-ruje, marzy o dwu rzeczach: żeby wypić piwo i poruchać.

— Eużen, mam dość wulgaryzmów. — Beata gani wzrokiem Inez. — I jeszcze ty? Tobie nie przystoi.



— Jestem ciekawa, ile te agentki, jak je określiła Beata, biorą za taką usługę?

— Na pewno nie co łaska — rzuca bezceremonialnie Pola. — Gdzieś czytałam, że prostytutki dzielą się na klasy. Te z najwyższej półki mają wyższe wykształcenie, mówią kilkoma językami i nigdy nie spotykają się z klientami w hotelu. Zresztą nie klienci je wybierają, lecz one klientów.

— Kurewka przez dzień w Polsce zarobi tyle, ile nauczycielka na Ukrainie przez miesiąc — wyjaśnia Eugeniusz jak znawca. — Robota lekka, języka znać nie trzeba...

— Nie bałbyś się takiej dymać? — pyta Inez.

— Gdybym był na miejscu górnika z Rudnej, dlaczego nie? Gdzieś musiałbym rozładować napięcie seksualne. Mam na swoim miejscu to, co ma każdy facet. No, powiedz — Eugeniusz odwraca się do Beaty — czy jestem odmieńcem?

Beata zacisnęła usta i opuściła głowę.

— I by ci kuśka stanęła? — nie ustępuje Inez.

— A dlaczego nie?

— Jaka to przyjemność, kurwa, pierdolić dziwkę?

— Taka sama jak każdą inną kobietę. Po to facet ma ten narząd, żeby mu stawał na widok kobiety. Po to kobieta ma cipkę, żeby ją zapychać. He, he, he.

— Ruchałbyś ruską kurwę z taką samą przyjemnością, z jaką tej nocy rznąłeś Beatę?

Beata się zaczerwieniła i chciała coś powiedzieć, ale Eugeniusz ją wyprzedził:

— Skoro płacę kurwie nie co łaska, a tyle, ile wymaga, mam prawo wymagać usługi na najwyższym poziomie. A w ogóle one w tej robocie muszą być superpierwsza klasa. W przeciwnym razie nie wyszłyby na swoje.

— Eużen, za dużo sobie pozwalasz...

— Chłop po to ma fiuta, żeby go używać.

Inez wstała, odeszła pod płot. Przymrużywszy oczy, rzuca w stronę Eugeniusza:

— Tylko udajesz takiego jebakę, prawda?

## **Ryżego znowu ssie**

Ryży uwiesił się na furtce i patrzy na samochody wracające ze Sławy jak na tęczę po burzy. Nagle jego półżywa twarz jaśnieje, nawet zrywa czapkę z głowy i nisko się kłania, co robi tylko wtedy, gdy liczy na jałmużnę.

— Mogule trochu porobić — pochylony zaciera dłonie.

— Jeszcze nie odpracowałeś tego, za co już wziąłeś pieniądze i je przepiłeś — przypomina mu Marek. To najlepszy sposób, żeby Ryży sobie poszedł. — Sklepowy powinien całować cię po rękach. On jest na twoim i takich jak ty utrzymaniu. To znaczy na utrzymaniu moim, moich sąsiadów i naszych gości.

— Jo.

— Ile jest warte twoje życie, Ryży? Każdy grosz, który wycyganisz ode mnie, przepuścisz przez gardło.

— Jo.

— Gdybyś chociaż raz kupił sobie chleb i coś na omastę... Ale ty zjadasz resztki z mojego stołu. Gdyby nie moja Magda, kipnąłbyś z głodu.

— Ni.

— Co: ni? A kto jeszcze, oprócz mojej żony, cię podkarmia?

— Uło, kuruła. — Ryży prostuje plecy i chichocze, jakby coś sobie przypomniął. — Dyntystka.

Mąż dentystki rzadko przyjeżdża do Jodłowa, a kiedy tu jest, nie kosi trawy, nie przesadza kwiatów i nie strzyże żywopłotu, chociaż powinien, bo to najlepsze zajęcie dla kogoś, kto ma płuca przesiąknięte śródmiejskim dymem, pyłem i odorem. Od lat jego żona w połowie maja przewozi swój gabinet z Wrocławia do garażu w Jodłowie i leczy zęby do pierwszych przymrozków, kiedy we wsi zostają tylko tacy jak Ryży. Ludzie opowiadają, że we wtorek wieczorem Ryży też pije, ale mniej, w środę aż do południa musi być trzeźwy, wtedy kosi, podlewa i strzyże przed domkiem dentystki, a potem znika. Dentystka też jakby zapada się pod ziemię, tego popołudnia gabinet jest zamknięty, dopiero wieczorem Ryży pojawia się w sklepie wymyty, ogolony, w wytartych dżinsach z lumpeksu i spranym T-shircie, na nogach ma sandały albo laczki, funduje kompanom po butelce piwa. Sklepowy mógłby powiedzieć więcej, lecz milczy lub uśmiecha się dwuznacznie, bo gdyby dentystka dowiedziała się, kto roznosi takie wiadomości, po sprawunki jeździłaby do delikatesów w Sławie, a on nie chce stracić stałej klientki.

Czasem przypatruje się Ryżemu i jego kompanom i się zastanawia, co takiego mają ci prości mężczyźni, a czego jemu, właścicielowi niemałego przecież sklepu, brakuje, że wykształcone kobiety na nich polują.

Czy Ryży chodził do szkoły? Pewnie tak, bo w przeciwnym razie matka zapłaciłaby karę za, jak to dawniej urzędowo określano, umyślne uchylanie się od obowiązku szkolnego. Do szesnastego roku życia musiał chodzić, a że nie w głowie mu była nauka, to inna sprawa. Ile skończył klas? Trzy, najwyżej cztery. Potrafi się podpisać, przesylabizuje etykietkę na butelce, liczy na poziomie przedszkolaka, załamując palce. Tacy jak on są bardzo potrzebni, może bardziej niż poeci czy nauczyciele, ponieważ Pan Bóg stworzył ich do najprostszej pracy na roli, w lesie, przy naprawie dróg, sprzątaniu ulic. Ryży też ma dwie nogi, dwie ręce, tułów, głowę i potrzeby fizjologiczne, a różni się ode mnie jedynie wielkością i zawartością mózgu, myśli Marek.

— Znowu cię ssie, Ryży?

— Jo.

Jeśli teraz nie dam mu pieniędzy na kartonik nalewki, uwiesi się na furtce i będzie tkwił tak długo, aż Eugeniusz albo Nikos się nad nim zlituje. Natalia natychmiast stanie po jego stronie i nie zechce patrzeć na mężczyznę, który rujnuje swoje życie. Inez ogłosi, że wbrew temu, co opowiada Magda, nie mam serca dla słabszych, potrzebujących wsparcia, którzy przecież nie z własnej winy są słabi. Człowiek bez serca niewiele dostrzega, wtrąci Jadźka.

Patrzy się oczyma, a widzi sercem i rozumem. Beata nie pierwszy raz jako winnego oczywistej niedoli Ryżego wskaże poprzedni system społeczny w Rzeczypospolitej, który na szczęście został uznany za niesprawiedliwy, ale owoce jego jeszcze będą zbierały nasze prawnuki. Pola dołączy do chóru, bo pisarz powinien nie tylko podpowiadać w książkach, jak pomagać słabszym, lecz i świecić dobrym przykładem. Po co mi ten wstyd? Marek sięgnął do kieszeni po drobne pieniądze.

— Dziś koniec dobroczynności. Dzienny plan miłosierdzia wykonałem z nawiązką. Choćbyś po rękach mnie całował, więcej nie dostaniesz. A w poniedziałek... — pokazał, co Ryży musi zrobić na podwórzu.

— Jo.

## **Wniosek w sprawie kuźni**

Gdy tylko Ryży zniknął za płotem, na podwórzu wyszedł Nikos w rozpiętej koszuli i krótkich spodniach. Pokazując głową chaszcze, z których wygląda komin zrujnowanej kuźni, mówi do Marka:

— Na tym miejscu mo-ożesz zrobić niczego so-obie interes.

— Najpierw musiałbym zostać właścicielem zabytku. Nie byłoby to trudne, tylko po co mam brać na swoją głowę kłopot? Zaraz po waszym wyjeździe zabieram się do kontynuowania powieści pod roboczym tytułem *Zjazd*

*koleżeński*, o czym ci już mówiłem. Zawsze staram się doprowadzać swoje plany do końca.

— Na początku, o-owszem, jest kłopot, potem jednak... Jeszcze będziesz mi dzięki-ował za podpowiedź. Jako były wicewo-owejoda mam wie-wiedzę o prowadzeniu interesów. Skończyłem studia po-podyplomowe na Uniwersytecie Eko-onomicznym we Wrocławiu. Więcej jak rok raz w miesiącu na dwa dni je-żdżiłem na Komandorską.

— Studiowałeś z własnej woli?

— Kazali i pła-placili, to jeździłem. Dyplom specjalisty od strategii organizacji mam.

— A ja staram się robić wyłącznie to, co najlepiej potrafię, czyli opowiadać na papierze historie, które bawią i uczą czytelników.

— Z kuźnią poradzi sobie każdy głupi. Ty masz znajomości gdzie trzeba, to weźmiesz na siebie inicjatywę. Całą ro-obotę zrobi ten niczego nieświadomy pi-pijusek.

— Ryży miałby...?

— Przed południem rozmawialiśmy o bajzlu za płotem? — pyta Nikos i nie czekając, aż Marek przytaknie, prowadzi go na skraj podwórza, splata ręce przed sobą i podpowiada, jakby wszystko przemyślał. — Plan byłby taki. Zgłosisz wojewódzkiemu konserwatorowi za-abytków chęć kupienia ruin kuźni za symboliczne pieniądze. Na pewno się zgo-zgodzi. Tym bardziej że zaproponujesz mu, za wynagrodzeniem, o-opracowanie

koncepcji wykorzystania obiektu jako karczmy z kuchnią regionalną i muzeum ko-kowalstwa. Gdy już będziesz notarialnym właścicielem nieruchomości, w starostwie złożysz wniosek o zgodę na odbudowę ruiny zgodnie z koncepcją opracowaną przez konserwatora za-abytków. Na pewno cię za to pochwalą i postawią jako wzór do naśladowania. Jeszcze zaproponują ci po-pożyczkę albo nawet bezzwrotną dota-tację z jakiegoś funduszu europejskiego, bo kuźnia znajdzie się na szlaku turystycznym, powiedzmy, Śladami Zdobyczy Cystersów. Nikt cię nie spyta, czy masz własne pieniądze. Potem każesz Ryżemu wyciąć chaszcze wokół kuźni, kupisz kilka wo-orków najtańszego cementu, trochę najwykniejszych cegieł, jakie walają się przy każdym wysypisku śmieci, ogrodzisz plac, nie zapomnij o ta-tablicy informacyjnej z zakazem wstępu na budowę. I niech praca wre. To znaczy niech Ryży coś tam ro-obi. No i teraz najważniejsze: budowę koniecznie musisz ubezpieczyć. Bez tego moja odpowiedź nie ma se-sensu. Zabytek cenny dla kultury narodowej, to i kwota ubezpieczenia powinna być odpowiednia, a to oznacza, niestety, dość wysoką składkę, ale tym się nie-nie przejmuj. Jest możliwość rozłożenia wpłat na raty. Przed latem na placu odbudowy wybuchnie pożar. Powiedzmy, że od pa-apierosa, którego palił robotnik, czyli Ryży, mimo iż przy wejściu wisiała tabliczka „Palenie surowo wzbronione”. Rachunek za zakup tabliczki musisz zachować.

— Ryży pije, ale nie pali.

— Tym lepiej. Przyjdzie do niego w odwiedziny pałacy ko-koleżka, przyniesie jabcoka czy coś winopodobnego, ubzdryngolą się do nieprzytomności, przysną. Kto udowodni, że to nie oni podpalili, o-oczywiście nieumyślnie? Ty będziesz kryty, bo zrobiłeś wszystko, co należy do inwestora, czyli ogrodziłeś plac, postawiłeś tablicę z zakazem wstępu i palenia na bu-budowie.

— A czy znajdzie się taka firma, która zechce ubezpieczyć remont wedle twojej podpowiedzi?

— Pod jednym warunkiem: o-odszkodowaniem z ubezpieczenia podzielisz się z przedstawicielem tej firmy. Pół na pół. Na pewno nie stracisz.

— Ja tak nie potrafię, Nikos.

— Nie jesteś, Ma-areczku, pierwszym, któ-óry... Dziś takie czasy, że kto nie umie dostosować się do o-otoczenia, powoli tonie w ba-agnie bezradności.

— Naciągacze jak wszyscy niegodziwcy wcześniej czy później wpadają. Zauważ, jak głupio usprawiedliwiają się ci, którzy byli tajnymi współpracownikami i kapusiami służby bezpieczeństwa. Czy kiedykolwiek spodziewali się, że prawda wyjdzie na jaw?

— Skąd twoi sąsiedzi mieli pieniądze na te rezydencje z basenami, fontannami, ko-kortami tenisowymi, kutymi płotami? — pyta Nikos, zataczając ręką koło przed Markiem.

— Na mój dom zarobiłem książkami i pisaniem w gazecie.



Nikos wziął Marka pod ramię i poprowadził pod czereśnię, patrząc pod nogi, jakby się zastanawiał, czym go przekonać.

— Interesuje cię moja odpowiedź czy nie było rozmowy?

— Nikos, to przecież...

— Dobrze, podjąłeś decyzję, zanim poradziłeś się żony.

— Gdybym się zgodził, z którą firmą ubezpieczeniową i jak rozmawiać?

— Jestem licencjonowanym agentem jednego z zachodnich u-ubezpieczycieli.

— I nikt się nie dowie, że to szwindel?

— Tu się zgadza.

## **Nieźła pustelnia**

Eugeniusz pyta Marka, czy mu pomóc w przygotowaniu wieczornej balangi przy ognisku, połączonej z pieczeniem kielbasek i piciem piwa oraz z przeżuwaniami jeszcze czegoś, co przygotowała Magda, a o czym Marek nie ma pojęcia. Odkąd są małżeństwem, nigdy wcześniej nie interesował się tym, co Magda zamierza podać do jedzenia, gdy w domu pojawią się goście. Marek jest przekonany, że nikt tak dobrze nie zna się na kuchni jak jego żona, dlatego jego porady, nawet te wyczytane w internecie, są zupełnie zbędne. Właściwie to Eugeniusz chciał spytać, czy

przynajmniej raz w miesiącu mógłby uciekać z Legnicy do Jodłowa, lecz nie ma odwagi zadać tego pytania wprost, tym bardziej że wczoraj Beacie nie podobały się chaszczcze i dzikie bzy przy kuźni, za wąska droga prowadząca od skrzyżowania do lasu tuż obok domku oraz, na co Marek nigdy nie zwrócił uwagi, nieufny celnik. Zanim wygłosisz opinię, przeanalizuj ją co najmniej dwa razy, bo przede wszystkim możesz skrzywdzić niewinnego człowieka, powtarza Eugeniusz w myślach i się zastanawia, jak wyjść na swoje.

— Mianowicie urządziłeś niczego sobie atrakcyjną pustelnię.

— Pustelnię? Aa! Masz na myśli domek... Ja nie żyję jak odludek. Kąpię się w jeziorze, bywam w sklepie, kłaniam się sąsiadom, mimo wszystko podziwiam Ryżego, harcerki mnie odwiedzają. A gdy mam dość żywych ludzi, wymyślam bohaterów książek i z nimi gwarzę. Z nikim nie da się tak szczerze i o wszystkim rozmawiać, jak z postaciami literackimi. To są najlepsi przyjaciele pisarza. I, często bywa, czytelnika również.

— Prawdziwa pustelnia w centrum Europy dwudziestego pierwszego wieku — nie ustępuje Eugeniusz. — Nawet nie ma łączności telefonicznej.

— Przesadzasz.

— Jak próbowałem dodzwonić się do ciebie, automatyczna sekretarka operatora sieci mianowicie odpowiadała, że abonent jest poza zasięgiem.

— Nie do każdego miejsca w Jodłowie docierają fale telefonii komórkowej. Założenie linii światłowodowej to za drogi interes, dlatego nigdy nie było tu telefonów przewodowych. Została tylko radiolinia i pewnie kiedyś będzie.

— A ja bez telefonu i internetu nie mógłbym funkcjonować. Ale na sobotę i niedzielę raz w miesiącu chciałbym uciec z miasta. Sam. Żeby spać do południa. Nie golić się. Żywić się zwykłymi bułkami i mlekiem prosto z kartonika. Nie widzieć i nie słyszeć tych z opozycji. W ogóle nie oglądać telewizji, nie słuchać radia, nie czytać gazet... Tylko czy poza Jodłowem jest takie miejsce, gdzie nikt mnie nie pozna?

— Przyjeżdżaj więc do Jodłowa. Tutejsi mieszkańcy nawet nie domyślą się, kim jesteś. A jeśli Ryży czy celnik im powie, będą zadowoleni, że postavili swoje domki w miejscu, które i tobie się podoba.

— Czasem jednak powinienem mieć łączność z parlamentem. Naród płaci mi za to, że reprezentuję go w najwyższych organach władzy ustawodawczej. Pustelnia jest dobra dla kogoś takiego jak ty. A gdyby doszło do kryzysu rządowego i miałbym szansę zostać ministrem? Mieszkając w Jodłowie, nawet się o tym nie dowiem, bo skąd?

— Z telewizji — Marek pokazał na talerz anteny satelitarnej uczepiony komina. — Z internetu. Kiedy będziesz miał ochotę, to porozmawiasz z każdym człowiekiem na ziemi. Nie przez telefon komórkowy czy przewodowy,

lecz przez internet. Naprawdę sądzisz, że wybierając Jodłów jako miejsce do życia na wolności, odciąłem się od świata problemów, kłótni, wojen, pochwał, strajków? Autor książek, który nie wie, co wokół niego się dzieje, nie istnieje jako pisarz, ponieważ nie pisze dla czytelników współczesnych. Owszem, są utopiści, futuryści, twórcy powieści fantasy, alternatywnych... Nikt rozsądny nie zaprzeczy, że może i oni kiedyś odniosą sukces. Tylko co mi z sukcesu, którego smaku nie mogę poznać osobiście?

— Samotnia oznacza miejsce dla jednej osoby. Jak są dwie, a nie daj Boże trzy, to muszą rozmawiać, dyskutować, oceniać, wyciągać wnioski.

— Prawdziwa samotnia oznacza wolność i swobodę. Miejsce, gdzie, jak powiedziałeś, nie musisz się golić codziennie, gdzie śpisz do woli w pidżamie albo nago, gdzie jesz to, na co masz ochotę i co potrafisz sobie przygotować. W takim miejscu możesz siedzieć pod czereśnią od świtu do zmroku, nawet w nocy, w deszcz, i nic nie robić. Możesz robić dobrze albo źle. Nikt cię z tego powodu ani nie obsztorcuje, ani nie pochwali. Twoje życie, twoja sprawa. A jak ci się znudzi nicnierobienie pod czereśnią i pójdziesz ścieżką wzdłuż jeziora do lasu, to możesz skrócić w lewo lub w prawo albo iść prosto. Jeśli zabłądzisz, będziesz miał pretensję tylko do siebie. Dziś takie czasy, że w pojedynkę niewiele znaczysz. Musisz korzystać w dorobku innych.

— Mądrze gadasz — przytakuje Eugeniusz, starając się przypomnieć sobie tytuł książki, którą ostatnio

miał w ręku. Jeśli Marek spyta go o lektury współczesne, przecież nie odpowie, że niczego nie czyta, wyłączając projekty ustaw i tytuły w najważniejszych gazetach.

— Jeśli myślisz o mojej pustelni jako o dystansie do świata, to nic z tego. Ta pustelnia ma łączność z każdym miejscem na globie. Komputer jest połączony kablem z anteną przymocowaną do komina. Stąd sygnał radiowy odbiera urządzenie stojące na poddaszu domu jednego z profesorów politechniki. Ja za pomocą komunikatora internetowego mogę nie tylko słyszeć tego, kto do mnie telefonuje, ale i zobaczyć go na ekranie monitora. Zresztą on również może mnie widzieć.

— Mianowicie?

— Mianowicie, pośle na Sejm Rzeczypospolitej Polskiej z okręgu legnickiego, dziś nie ma takiego miejsca na świecie, gdzie mógłbyś się skutecznie ukryć. Nie bez powodu mówi się, że żyjemy w globalnej wiosce. Pustelnie istnieją jedynie w żywotach świętych. I to też weź pod uwagę, że każdy człowiek zawsze jest dla kogoś. Nawet jak człowiek wybiera życie samotnika, też jest dla kogoś. Dla siebie w pojedynkę. Taki samotnik jest uzależniony od siebie.

---

— Z ZAPISNIKA —

---

*Znamy ludzi, którzy poszukują samotności: są to pokutnicy, życiowi popaprańcy, święci albo prorocy. Najczęściej wycofują się na pustynię, gdzie żyją szarańczą oraz miodem dzikich pszczoł. Niektórzy zamieszkują*

*jaskinie albo pustelnie na odległych wysepkach, albo też siedzą — dość widowiskowo — w klatkach, zamocowanych na drągach i widzących wysoko na górze. Czynią tak, aby zbliżyć się do Boga. Umartwiają się samotnością, pokutują przez samotność. Działają w przekonaniu, iż ten sposób życia jest miły Bogu. Albo też miesiącami i latami czekają, że w samotności objawi im się jakieś boskie posłanie, które chcą potem co prędzej zanieść między ludzi.*

Patrick Süskind, *Pachnidło*

---

## **Wieczorem Marek wraca do zawodu**

Beata zamieniła żółtą sukienkę na płócienną bluzkę w haftowane zygzaki i zielone rybaczki. Pola też ma na sobie zielone spodnie i coś na pierwszy rzut oka przypominającego giezło. Jadźka okryła się pelerynką z błękitnego polaru, w jakich pielęgniarki przemykają z budynku do budynku w szpitalu. Natalia zarzuciła sweterek na ramiona i również wygląda atrakcyjnie. A Inez, mój Boże, wyszła na podwórze w tych samych džinsach, w których przyjechała wczoraj. Koszuli i sandałów też nie zmieniła. Magda mierzy ją krytycznym okiem znad stołu, ale milczy, nawet nie daje po sobie poznać, że się zastanawia, dlaczego Ina nie dba o swój wygląd.

— Nie będzie ci za chłodno, gosposiu? — Nata martwi się o Magdę, również łypiąc na Inez.

— Zaraz Marek rozpali ognisko, upieczemy kaszaneczkę i będziemy ją popijać czymś specjalnym z jego piwniczki, co rozgrzewa szybciej niż pierzyna — odpowiada Magda, stawiając na udekorowanym świecami stoliku szóstą miskę z czymś, co jedynie ona potrafi nazwać.

— Po co aż tyle tego jadła? — pyta Jadźka. — Po powrocie do mojego Gottliebusia będę musiała się odchudzać.

— Czyżby na starsze lata twój pan stał się przeciwnikiem miękkich i okrągłych bioder?

— Osobnik po przekroczeniu czterdziestki, czy to profesor zwyczajny, czy murarz, jednym słowem: każdy men bez względu na wykształcenie, zajmowane stanowisko, religię czy poglądy polityczne wybałusza ślepia na chude podfruwajki — twierdzi Pola. — Jedna z moich koleżanek, nawiasem mówiąc, specjalizująca się w socjologii diety, przeprowadziła naukową analizę tego zjawiska. Okazało się, że nawet studentki pierwszego roku, jeśli mają do wyboru egzamin u mężczyzny lub kobiety, wybierają mężczyznę. Zdawalność wynosi sto procent.

— A mój pan na starsze lata zachowuje się jak nienasycony samiec. Viagra mu niepotrzebna. Zresztą ja teraz też mam więcej ochoty na figielki niż dawniej. Wreszcie nauczyłam się szczytować. A ty?

Zamiast odpowiedzieć wprost, Pola zwiesza głowę i się uśmiecha, a Magda robi tajemniczą minę, co

dostrzega Natalia. Beata też milczy, Inez zaś wodzi wzrokiem po gałęziach czereśni, jakby akurat ta kwestia jej nie interesowała.

Wszyscy słyszą narastający dźwięk ni budzika, ni telefonu, nastawiają uszu, a gdy Marek zrywa się z ławki i cwałuje do domku, zwracają pytające oczy na Magdę.

— Skype — mówi Magda i domyślając się, że nikt nie rozumie, co powiedziała, wyjaśnia: — Ktoś z redakcji gazety ma palącą sprawę do Marka. Ponieważ automat telefonii komórkowej odpowiedział, że abonent, czyli Marek, jest poza zasięgiem, ten ktoś chce się z nim skontaktować za pomocą systemu Skype. — W oczach gości Magda widzi nowe pytania, tłumaczy więc jak nauczycielka na kursie dla analfabetów: — Skype to komunikator internetowy, umożliwiający prowadzenie rozmów na odległość. Jak przez telefon. Do tego celu potrzebny jest komputer podłączony do sieci, mikrofon ze słuchawką, przydaje się wideokamera. A ponieważ, jak wiecie, nie do każdego miejsca w Jodłowie można się dodzwonić, Marek i dziewięciu innych mieszkańców wioski założyli radiolinię, która umożliwia prowadzenie rozmów nawet z kimś, kto przebywa na chilijskiej wyspie Navarino, uznawanej za najdalej wysuniętą na południe, czyli na końcu świata. Nie licząc wydatków na urządzenie, taki sposób kontaktowania się z cywilizacją nic nie kosztuje i w Jodłowie jest bardziej przydatny niż typowa telekomunikacja autorstwa Alexandra Bella. Jednak nie Bell, jak dotąd uważano, wymyślił łączność na odległość, a Antonio Meucci, gdy zachorowała jego żona...



— O czymś identycznym, mężu mój, mówiły nasze dzieci! — nie zważając na to, że Magda nie skończyła swego wykładu, Beata zwraca się do Eugeniusza. — Podobno moglibyśmy z nimi rozmawiać do woli, za darmo i jeszcze je widzieć. Eużen, w poniedziałek koniecznie musisz coś takiego doprowadzić do naszego mieszkania. Jako poseł powinienes wyprzedzać czas — twierdzi Beata, ale Eugeniusz puszcza polecenie żony mimo uszu. — Słyszaleś, co powiedziałam?

Eugeniusz otrząsnął się z zamyślenia i przytaknął akurat wtedy, gdy Marek wrócił z domu.

— Dzwonił sekretarz redakcji z błagalną prośbą. Pół godziny temu między Sławą a Radzyniem pędzący z ogromną prędkością peugeot zatrzymał się na drzewie. Za kierownicą podobno siedział burmistrz lub jego zastępca. Reszty dowiem się na miejscu.

— Pewnie pijany zastępca burmistrza wracał z chrzcina swego wnuka — domyśla się Magda, odchrząkując.

— A dlaczego tym się zajmujesz? Przecież jesteś na zasłużonej emeryturze! — Eugeniusz przypomina Markowi.

— Od pierwszego dnia po ślubie mój mąż traktuje pracę nie jako dodatek do życia rodzinnego, jak robi to większość. Dla niego życie jest suplementem do pracy. Nadal często wraca do zawodu wtedy, gdy trzeba pomóc. Mógłby odmówić, ale on tego nie robi. Marek zachowuje się jak lekarz, który zawsze i wszędzie jest lekarzem. Aktor do śmierci pozostaje aktorem. Ksiądz księdzem...

— Wilka ciągnie do lasu — Pola usprawiedliwia Marka.

— Wrócę najpóźniej za godzinę!

— Dziennikarze to dranie. Dotychczas myślałem, że zdarzają się wyjątki. Pomyłka... Są tacy, którzy nawet kolegów zostawiają, aby jako pierwsi zdobyć informację — mówi Eugeniusz, ale w jego głosie jest więcej zrozumienia niż pretensji. Przecież ja, gdybym miał okazję być przydatny wtedy, kiedy nikt nie może nic zrobić, zachowałbym się identycznie, myśli. — Marek zaraz wróci i będzie, co miało być. Jedynie nie załapie się na kiełbasę prosto z grilla.

## **W nocy Marek będzie to przeżywał**

Marek wrócił po trzech godzinach, gdy ognisko dogasało, na stole stały puste miski, a Eugeniusz sięgał po czwartą puszkę piwa. Był bardziej spragniony niż głodny. Zawsze po powrocie z terenu, jak nazywa zbieranie materiałów do tekstu w gazecie, przede wszystkim chce mu się pić i szybko zmienia koszulę mokrą od potu. Gdy pisze swoje artykuły i książki, wypija kilka kubków kawy rozpuszczalnej, żeby uzupełnić tę ilość wody, którą wypocił.

— Zrobiłem parę zdjęć komórką i zanim policjant dostał zgodę na rozmowę ze mną, wysłałem je do redakcji. Kilka minut później powinny się pojawić na stronie internetowej gazety. Dziś to medium jest lepsze, które

najszybciej zamieści gorącą wiadomość. Zdjęcia z miejsca wypadku mają przekonać czytelnika, że właśnie ta gazeta jest jego najlepszym źródłem informacji — mówi, jakby się usprawiedliwiał, dlaczego zostawił gości i z taką werwą pojechał do wypadku. — Kiedy skończyłem dyktować tekst sekretarzowi redakcji przez telefon, dopiero zjawili się reporterzy z radia. Ekipę telewizyjną spotkałem w drodze powrotnej do Jodłowa.

— Jeszcze nie powiedziałeś nam, co się tam stało — Beata odzywa się głosem dyrektorki i jak osoba najważniejsza w szkole dodaje stanowczo: — Czekam na wyjaśnienie.

— Parafrazując relację policyjną, do wypadku doszło na łuku drogi ze Sławy do Radzyna. Kierujący samochodem osobowym marki Peugeot 308 jechał z nadmierną prędkością, nie zachował należytej przeczorności i uderzył w drzewo. Pasażerka poniosła śmierć na miejscu, dwie inne osoby, mężczyzna i dziecko, zostały przewiezione do szpitala w stanie ciężkim. Ich życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. W wyniku badania alkotestem stwierdzono, że kierowca miał ponad dwa promille alkoholu w wydychanym powietrzu. Okoliczności wypadku bada policja pod nadzorem prokuratury.

— Teraz to samo powiedz po ludzku.

— Po mocno zakrapianych chrzcinach w restauracji Maryla-Fish część gości poszła do swoich domów przez park. Rodziców chrzestnych i ich nastoletniego syna dziadek, czyli zastępca burmistrza, postanowił odwiedzić

do Radzyna, chociaż w pobliżu restauracji mieli swojego volkswagena. Podobno przekonywali go, że też powinien zostawić peugeota na parkingu i do domu wrócić piechotą. Brzegiem jeziora to najwyżej trzy kilometry. Zastępca burmistrza postawił jednak na swoim, bo przecież on tu jest panem i władcą. Nieszczęśnicy więc wsiedli do jego auta. Na zakręcie zastępca burmistrza nie wyrobił i przypieprzył peugeotem od strony pasażerki w drzewo.

— Kto jest ofiarą?

— Kobieta, która siedziała obok kierowcy.

— Dużo za coś takiego grozi?

— Teoretycznie nawet dożywocie. Pewnie jednak dostanie dwanaście lat, odsiedzi połowę i za dobre sprawowanie wyjdzie z kicia na wolność.

— Co potem? Czy taki człowiek potrafi spojrzeć w oczy tym, którym odebrał matkę i żonę? — zastanawia się Pola.

— On powinien pokutować w warunkach najtrudniejszych do zniesienia. O suchym chlebie i wodzie w kopalni węgla, a jeszcze lepiej uranu. Być przestrożą dla innych bezmózgowców za kierownicą. A telewizja, radio, gazety, księża, nauczyciele... słowem wszyscy, których głos ma wpływ na ludzi, nie powinni ustawać w przypominaniu, co się stało na tej drodze — mówi Inez tonem zdecydowanym. — Albo... życie za życie.

— To nie po chrześcijańsku. Od wymierzania sprawiedliwości jest Pan Bóg — przypomina jej Eugeniusz. — On daje i on ma prawo zabierać, nawet karać najsurowiej.

— Ty się specjalnie nie przejąłeś wypadkiem — mówi Pola do Marka, jakby miała mu to za złe. — Ja na twoim miejscu byłabym błada, nie mogłabym niczego przelknąć, a ty...

— A on dopiero w nocy będzie to przeżywał — wtrąca Magda.

— Jestem jak policjant na służbie. Gdyby policjant każdą ofiarę wypadku, każdego złodzieja, każdego pijaka za kierownicą traktował jak osobę najbliższą, nie mógłby być policjantem. Dziennikarz, nawet na emeryturze, jest trochę policjantem i lekarzem, trochę prokuratorem i sędzią, i nawet trochę spowiednikiem. To, co robi, za co bierze pieniądze, powinien robić tak, żeby nikogo nie skrzywdzić. A tak się nie da, bo nawet zabójca ma coś na swoje usprawiedliwienie. Dziennikarz krzywdzi więc siebie i dlatego do niedawna mógł przejść na wcześniejszą emeryturę, żeby chociaż troszkę być dziadkiem. Czy wiecie, że w środowisku dziennikarskim nie ma naprawdę starych emerytów? Ludzie całe życie płacą składkę na ubezpieczenie, a z dobrodziejstwa emerytury korzystają najwyżej kilka lat. Dziennikarstwo jest jednym z najbardziej stresujących zawodów. Mam na myśli nie bleblanie w gazetce powiatowej czy plotkowanie, kto z kim i gdzie był. Mnie chodzi o takiego autora, który zdaje sobie sprawę ze znaczenia każdego słowa.

— I mimo to ty...

— Marek zachowuje się jak lekarz, który zawsze jest lekarzem — powtarza Magda. — Aktor do grobowej

deski pozostaje aktorem. Ksiądz do śmierci księdzem...  
Zamiast tu dywagować, chodźmy nad jezioro.

## Kąpiel w jeziorze

Jedynie Jadźka nie miała ochoty na spacer. Chciało się jej spać. Dopiero Markowi udało się ją przekonać, że wycieczka nad jezioro wieczorową porą lepiej służy zdrowiu niż zestawy witamin i minerałów, solarium, błoto z dna Morza Martwego, masaże i gimnastyka przy otwartym oknie, od której ona zaczyna każdy dzień nawet w Jodłowie. Na plaży jest pusto, z pola namiotowego na cyplu dochodzą przytłumione dźwięki gitary, chichoty młodych ludzi i zapach dogasających ognisk. Jadźka siada na pomoście, zdejmuje sandały i powoli wsuwa nogi do wody, przygotowana na to, że zaraz cofnie je z okrzykiem przerażenia.

— Ciepłutka jak w łaźni — cieszy się zaskoczona.

— W dzień nagrzała się od słońca — wyjaśnia Pola głosem znawczyni środowiska. — Właśnie w takiej wodzie najlepiej się pływa. Kiedy jesteśmy w Grecji, u rodziny Nikosa, to codziennie wieczorem kąpiemy się w Morzu Egejskim. Potem idziemy do tawerny na miejscowe wino. Ja jednak wolę szklaneczkę ouzo z wodą mineralną.

— Moglibyśmy popływać, gdybyśmy mieli stroje — odzywa się Magda z pretensją nie wiadomo do kogo.

— Sądziysz, że ktoś wezwie policję, jeśli będziemy pluskali się na golasa? Robiliśmy to wiele razy, Madziu — przypomina Marek żonie.

— Bez kostiumów, kurwa, mamy się kąpać w publicznym miejscu? — pyta Inez takim głosem, jakby komuś obiecała dbanie o moralność. — Na plaży wyznaczonej dla naturystów, kurwa, owszem. Ale tam są tablice ostrzegawcze i podobno przy bramce siedzi cieć, który tekstylnych nie wpuszcza za ogrodzenie.

— Coś takiego ja widziała nad jeziorem Helene koło Frankfurtu, jak leśne dziadki swój Vaterland podziwiali — przypomina sobie Jadźka i zaraz wybucha tubalnym śmiechem: — O, niektórym nawet kuśki się podniosły.

— Jak pierwszy raz przyjechałam do Malmö, akurat zaczynała się owa wolność seksualna, która kilka lat później zalała cały świat, w Szwecji nagości nie traktowano jako czegoś wstydliwego. Oni...

— Daj już spokój ze Szwecją, Nata — prosi ją Magda nie wiadomo który raz.

— Jak sobie chcecie... Ja idę do wody. — Ku zaskoczeniu wszystkich Natalia rzuca sweterek na piasek, zdejmuje sukienkę, na niej kładzie okulary, oburącz zsuwa figi i po omacku biegnie w stronę brzegu. — Na co czekacie?! Jesteście z innej gliny?!

Jadźka: Taka okazja nigdy się nie powtórzy! Ja za tobą!

Nikos: Jako dziecko zawsze kąpałem się na nagusa.

Pola: Czy w łazience albo w sypialni wstydzisz się swojej nagości? Masz coś przeciw temu, żeby mąż zobaczył cię taką, jaką Pan Bóg stworzył?

Beata: Eużen... co innego. Małżeńska nagość podtrzymuje związek mężczyzny i kobiety.

Pola: Może któraś z was nie rozbiera się u lekarza, a to przecież nie kochanek, tylko obcy mężczyzna.

Beata: Jako studentka i zaraz po ślubie tak się wstydziłam, że chodziłam do kobiety ginekolog. Teraz wolę, kiedy bada mnie mężczyzna. Odnoszę wrażenie, że kobieta oprócz tego, że robi to, za co jej płacę, spogląda na mnie krytycznym okiem. Nie daj Boże, żeby pacjentka była zgrabniejsza od lekarki, lepiej utrzymać, bardziej zadbaną...

Magda: W przeciwieństwie do mężczyzny kobieta częściej zwraca uwagę na to, co masz na sobie, niż jaka jesteś.

Marek: Do wody!

Beata: Mimo to uważam, że osoby zajmujące poważne stanowiska w państwie czy w firmie nie powinny zachowywać się jak prostytutki. Eużen, a jeśli ktoś cię sfotografuje i roześle zdjęcia po redakcjach tabloidów?

Eugeniusz: Mianowicie, kto mnie rozpozna w Jodłowie?

Nikos: Tu się zgadza.

Eugeniusz: Czego się wstydzisz, Ina? Przecież masz pod bluzką to samo, co moja żona, co Polcia, co Madzia... A może dlatego mianowicie nie chcesz wyjść za tego lekarza, co cię adoruje, bo jednak...?

I Inez też się rozebrała.



*Cywilizacja współczesna to cywilizacja odarcia — z tajemnicy, z duchowości, z sacrum. — Chce ona pokazać, że wszystko jest materią, czyli że wszystko jest lub stanie się wkrótce padliną.*

Ryszard Kapuściński, *Lapidarium VI*

---

# CZWARTY DZIEŃ

## Szwecja po raz ostatni?

Przy niedzielnym śniadaniu Beata pyta, czy ktoś oprócz niej zauważył, że nareszcie wśród uczestników zjazdu nie ma palaczy. Dawniej gdy tylko ona jedna nie paliła papierosów, w tej sprawie nawet nie próbowała protestować, po prostu wychodziła z pokoju tonącego w dymie.

— Owszem, już nikt nie pali, za to niektórzy lubią wypić więcej, niż wykształconemu człowiekowi wypada — odzywa się sarkastycznie Pola, pokazując oczyma na Nikosa. — Są takie dni, kiedy proszę moją patronkę, świętą Apolonię z Aleksandrii, żeby Nikos rzadziej zaglądał do kieliszka. Może gdyby palił, papierosy by go uspokoiły.

— Zapach z ust palacza dla osoby niepalącej jest nie do zniesienia. Brr — potrząsa głową Beata i zwraca się do Eugeniusza: — Gdybyś, mój mężu, jak mówią młodzi ludzie, olał prośbę żony i dalej palił, na pewno nie wpuściłabym cię do małżeńskiego łóża.

— Po przekroczeniu czterdziestki sporo mężczyzn, w przeciwieństwie do kobiet, podejmuje próbę rzucenia tego nałogu. Większości to się udaje. U części jednak głód nikotynowy zostaje zastąpiony głodem alkoholowym. Który z nich jest trudniejszy do zniesienia przez otoczenie? — pyta Magda, nie spodziewając się odpowiedzi, chociaż Pola akurat na ten temat wie więcej niż niejedna terapeutka z poradni odwykowej.

— Chwała Panu, że w czasie naszych studiów poza winem wytrawnym czerwonym marki Egri bikavér jedyłą znaną i stosowaną używką był tytoń — mówiąc to, Jadźka powoli składa dłonie jak do modlitwy i przechyla głowę w lewo niby Maryja z rokitniańskiego wizerunku. — Wyobraźcie sobie, że jako studentki jesteśmy uzależnione od trawki albo, co gorsze, od jakiejś kompotu halucynogennego.

Zadnej nie interesują dywagacje Jadźki, jakby powiedziała coś w niezrozumiałym języku, ale to prawda, że kiedy one studiowały polonistykę, w słowniku ortograficznym jeszcze nie było takich wyrazów. Zastrzyki z morfiny robiono jedynie śmiertelnie chorym na raka, o czym Jadźka dowiedziała się dopiero wiele lat później w domu spokojnej starości, gdy ktoś z mieszkańców związał się z bólu.

— Palenie tytoniu powoli i u nas staje się niemożliwe — nie wiadomo na jakiej podstawie twierdzi Natalia.

Z tą opinią Magda się nie zgadza, wszak jej syn i synowa dzień zaczynają od wypalenia wspólnego papierosa jeszcze w łóżku. Beata przestała walczyć z nauczycielkami

palącymi podczas przerw między lekcjami. Pola kazała wywiesić w każdym pokoju tabliczkę „Palenie surowo wzbronione”.

— Jak mój Gottliebuś przestał palić, problemów z tymi sprawami nie ma. Czasem to ja już zasypiam, a on by jeszcze mnie rżnął.

— W Szwecji... Zauważyłam, że nie lubicie, gdy opowiadam o Szwecji. Skończę myśl i już będę milczała, okej? Obiecuję. Jeśli idąc ulicą Malmö, poczułam zapach dymu papierosowego dochodzący zza narożnika, mogłam iść o zakład z każdym, że palacz ma ciemną karnację skóry. Tylko raz nie zgadłam.

— Zmylił cię polski marynarz — wtrąca Marek z taką pewnością, jakby też tam był.

— Skąd wiesz?

— Niestety, ja nie pasuję do waszego wzorca emerytki — mówi Inez urażonym tonem. — W towarzystwie pijących lubię sobie golnąć, a wśród palących zapalić.

Cisza, tylko słyszeć szept radia. Wszystkie oczy są wycelowane w Inę. Dotąd jej nie zauważali.

— Nie obawiajcie się. Przy was, kurwa, nie zapalę. Zresztą nie zabrałam papierosów z pokoju.

Beata się rozchmurza i szczyrzy zęby z niedowierzaniem, Eugeniusz podchwycza śmiech Nikosa, a Jadźka zachodzi w głowę, bo nie rozumie, dlaczego Inez również przed nią się kryje. Ona, gdy nie widzi męża, zawsze robi to, na co ma ochotę, nawet wtedy, gdy wie, że jej postępowanie nie zyska aprobaty koleżanek.

— Nigdy nie zostanę emerytką — zapiera się Magda, ale po namyśle już nie jest taka pewna swojej decyzji: — Chyba że mnie zwolnią i zatrzasną drzwi. Emerytura oznacza koniec marzeń. Człowiek staje się zbyteczny. To początek czekania na chorobę i śmierć. Trzeba spisać testament. À propos ostatniej woli, czy ktoś z was określił, gdzie i jak ma być pochowany? Kto w dębowej trumnie, a kogo należy skremować?

Natalia otwiera usta, aby opowiedzieć, co widziała w Szwecji, ale przecież obiecała, że więcej się nie odezwie. Pozostali też nie odpowiadają, jakby się nad tym jeszcze nie zastanawiali albo to wyjątkowo ich nie dotyczyło. Magda również myśli, że za wcześnie próbowała wywołać dyskusję, powinna więc jakoś się wytłumaczyć, gdy Marek ją uprzedza:

— Póki emeryt jest zdrowy, nie widzi potrzeby spisania ostatniej woli. Co innego chory. A chory często staje się ten, kto po latach aktywności, uważania się za niezastąpionego, nagle ma za dużo wolnego czasu, z którym nie wie co zrobić. Kobietę zajmuje sprzątanie mieszkania, gotowanie, zmywanie naczyń, doglądanie wnuków, robienie zakupów, wypadki do fryzjerki. Życie wielu emerytów na chodzie jest umieraniem z nudów. Na szczęście ja mam tyle pomysłów... A że na razie nic mi nie dokucza, ciągle wierzę w zrobienie tego, co sobie zaplanowałem.

— Kiedy wyjedziemy stąd, zaczniesz pisać książkę o naszym zjeździe. Być może ostatnim takim zjeździe.

— Marek jeszcze mi się nie przyznał, ale ja przecież znam go tak samo dobrze jak siebie: on pisze tę powieść od tygodni — mówi Magda szeptem, jakby zdradzała tajemnicę. — Marek pisze powoli, co oznacza, że będzie miał zajęcie przez wiele miesięcy. Kiedy pisze, żyje w świecie bohaterów swojej książki. I wtedy ma hysia.

— Każdy człowiek powinien mieć jakiegoś hysia. Kto uważa, że go nie ma, jest niebezpieczny dla otoczenia.

### **Inez też napisała testament**

Marek chce coś powiedzieć, aby zmienić temat dyskusji, ale nic konkretnego nie przychodzi mu do głowy. Na sporcie zna się mniej więcej tak jak na samochodach, politykę traktuje na równi z amatorską satyrą, najchętniej więc rozmawiałby o literaturze albo o historii, tylko z kim? Nie ma odwagi spytać, kto i co czyta. Pola pewnie by odparła, że na bieżąco musi przeglądać literaturę naukową. Beata, jeśli coś czyta, to zarządzenia kuratora oświaty. Nacie wystarcza pieniędzy na jedzenie i czynsz. Jadźka... Podnosi na nią wzrok w chwili, gdy odzywa się Inez:

— Przysięgnijcie, że nie będziecie się śmiali.

Nikos natychmiast wyciąga dwa palce i się rozgląda. Po namyśle to samo robi Eugeniusz, mrugając do Beaty, aby i ona identycznie się zachowała.

— Nic na ślepo. Muszę wiedzieć, o co ci chodzi — rzuca Pola jeszcze wściekła na Inę za to, jak jej wczoraj dogryzła.

— Jako badaczka wiesz, że w nauce obowiązuje zasada kredytu zaufania, czyli najpierw teza, potem dowód — mówi Marek, układając w myślach kolejne zdanie, gdyby Pola na niego naskoczyła.

— Nie przyjechaliśmy na sympozjum.

— Tyle przeszłam w życiu... Na mojej twarzy nie zobaczysz ani kpiny, ani śmiechu — Natalia zapewnia Magdę. — Jadzia też nie będzie się śmiała.

Nie czekając, co powie Beata, Inez rzuca krótko:

— Też napisałam testament.

— Ty? A po co? — pyta zdziwiona Natalia. — Nigdy mi o tym nie wspominałaś — dodaje z pretensją.

— To nie jest zwykły testament, jaki sporządzają ludzie zdrowi na umyśle w obecności notariusza. To jest moja decyzja. Ostatnia wola.

— A jakąż jest ta twoja ostatnia wola? — wyraźnie kpi sobie Natalia.

— Akurat w tej sprawie niczym nie różnię się od Magdy.

— To znaczy? — pyta z wyższością Beata i natychmiast komentuje: — Magda ma dzieci, męża, jakiś majątek, dlatego będąc przy rozumie postanowiła uporządkować swoje ziemskie sprawy. Ty natomiast...

— Po śmierci chcę być spalona — przerywa jej Inez.

Beata patrzy na nią jak skamieniała, nie mając pewności, czy powiedziała to na serio. Eugeniusz też się nie

odzywa, chociaż przed chwilą chciał coś rzec. Na wszystkich twarzach zaskoczenie i powaga jak na przykościelnym cmentarzu.

— Żeby tam — Inez podnosi lewą rękę i palec wskazujący kieruje w dół — nie drżała z zimna. Ja tak lubię ciepło...

— To powinnaś kazać po-ochować się w Grecji. Haha — rechocze Nikos.

— Na ogół pleciesz bzdury. Tym razem powiedziałaś coś, co oceniam na trójkę z plusem — oznajmia Inez.

Nikos pewnie nie zrozumiał jej szyderstwa, bo śmieje się zadowolony.

— Ty, Ina, jak chcesz, możesz być miła — twierdzi Pola. — I nie klniesz.

Beata najpierw kręci głową z niedowierzaniem, potem przeszywa Inez potępiającym wzrokiem, a ponieważ ona już się odzywa, szuka wsparcia u męża:

— Eużen, zawsze masz tyle do powiedzenia.

— Kościół nie akceptuje takiego rozwiązania. Ciało zmarłego trzeba oddać ziemi wedle zasady zawartej w pierwszej księdze Pisma Świętego: „Prochem jesteś i w proch się obrócisz”. Upewnia nas o tym Kohelet, mówiąc, że wszystko powstało z prochu i wszystko do prochu powraca.

— W żadnym zdaniu Pisma Świętego, na które z taką ochotą się powołujesz, nie ma sprzeciwu wobec kremacji zwłok — twierdzi Inez. — Tak jak i nie ma zdania przeciw pobieraniu organów do przeszczepu.



— Kościół oficjalnie się nie sprzeciwia... Zauważ, że ciało Jana Pawła II włożono do trumny.

— Wcześniej poddając je balsamowaniu — Jadźka na to. — W Niemczech kremacja jest bardziej powszechna niż tradycyjny pochówek. Czasem na spalenie zwłok trzeba czekać i dwa tygodnie.

— Ja i Magda sporządziłyśmy akty ostatniej woli. Jesteśmy w porządku wobec siebie i naszych bliskich. A wy co zamierzacie? — pyta Inez z wyraźną ciekawością.

Magda podniosła głowę na Marka.

— Póki człowiek nie choruje, pracuje, marzy, nie zastanawia się nad tym, co będzie z jego ciałem po śmierci — odpowiada Marek, posyłając wzrok na dach domu sąsiada. — Boję się, że jeśli zostanę pochowany w trumnie i tam pod ziemią się obudzę, nikt nie usłyszy mego wołania. Wtedy uduszę się z braku powietrza. Czy wiecie, że Szopen z tego samego powodu kazał wyjąć swoje serce? Jego grób jest na najslawniejszym paryskim cmentarzu Père-Lachaise, a serce w warszawskim kościele Świętego Krzyża.

— Podobno gdy ekshumowano grób Gogola, aby trumnę przenieść w bardziej reprezentacyjne miejsce na cmentarzu Nowodziewiczym w Moskwie, jego ciało było skulone w śmiertelnym skurczu. Podejrzewano, że został pochowany żywcem w stanie śpiączki — mówi Pola drżącym głosem.

— Miałem zamiar to przypomnieć, ale mnie uprzedziłaś. Jeśli zostanę pochowany w trumnie i sobie przypomnę, że jeszcze muszę coś pilnego załatwić, to jak się wydostanę

na ziemię? — pyta Marek, przenosząc wzrok z dachu najpierw na Polę, a potem na Magdę. — Dlatego po śmierci też każ mnie spalić. Urna zajmuje mniej miejsca na cmentarzu. I mniejszy jest koszt nagrobka.

Magda milczy. Zaskoczona oświadczeniem męża, nie wie, co odpowiedzieć.

— Jeśli ja pierwsza odejdę z tego świata — Beata zwraca się do Eugeniusza — zanim pochowasz mnie w trumnie, masz zamówić kosmetyczkę, manicurzystkę, fryzjerkę... Na koniec muszę tak wyglądać, aby wszyscy, którzy przyjdą na mój pogrzeb, mówili, że ładnie wyglądałam.

— Bo pogrzeby są dla żywych — pada z ust Natalii.

## **Eugeniusz chce iść do kościoła**

Marka już nie trzeba przekonywać, że im człowiek jest bardziej leciwy, tym chętniej i częściej wraca we wspominkach do tego, co naprawdę było znaczące w porze jego młodości. Odróżnianie faktów od złudzeń w późnym wieku staje się prawie niemożliwe. Nawet uczynek niezamierzony albo taki, jakich wiele się zdarza i o których nikt nie pamięta, po latach nad wyraz bujnie udekorowany, może zostać uznany za heroiczny, a jego autor za bohatera. Dlatego opowieści z odległej przeszłości Marek słucha niczym bajek wielokrotnie opowiadanym przez ojca, kiedy był dzieckiem: pamiętał, jak się skończą, mimo to z wypiekami na policzkach zawsze

czekał na szczęśliwe zakończenie. Nikos nie lubi mówić o sobie, a Eugeniusz pewnie zaraz zacznie opowiadać nie wiadomo który raz o tym, jak wykiwał służbę bezpieczeństwa lub o pielgrzymce rozklekotanym autobusem do Watykanu. W rzeczywistości był na trzydniowej wycieczce w Rzymie, gdzie pierwszego dnia zobaczył Koloseum, Schody Hiszpańskie i to, co jest zgromadzone w Muzeum Narodowym, drugiego po śniadaniu przejechał się metrem ze stacji Torre Spaccata do stacji Parco di Centocelle, później chodził po sklepach, nie mogąc się zdecydować, na co wydać niewiele dolarów, żeby Beata była zachwycona okazałym prezentem, trzeciego przed południem wysiadł z autobusu w pobliżu placu Świętego Piotra, przeciągnął się i tak wyglądała jego pielgrzymka do Watykanu. Podczas zjazdu, który odbył się zaraz po śmierci Jana Pawła II, chwalił się nawet, że widział to miejsce na podziemnym cmentarzu pod bazyliką Piotrową, gdzie został pochowany papież z Krakowa.

— Skąd wiedziałeś, że tam spocznie ciało Polaka, skoro złożono je cztery lata później w miejscu, gdzie do końca drugiego tysiąclecia znajdował się grobowiec Jana XXIII? — pyta go Marek wyraźnie wątpięcym głosem.

— Prawdziwy katolik czuje to swoim jestestwem.

Marek nie chciał robić mu przykrości, chociaż wiele razy zastanawiał się, co sprawia, że zagorzały przeciwnik wiary nagle staje się taki religijny. A czy tylko Eugeniusz wrócił do Kościoła swego ojca? Iluż generałów, profesorów nauk politycznych, ministrów na emeryturze,

esbeków, dyrektorów i prezesów wyrzuciło legitymacje partyjne i teraz chwali Boga w co drugim zdaniu! Może to jednak prawda, że w chwili narodzin każdemu człowiekowi Bóg wyznacza jego drogę, której przebiegu nie zna nikt śmiertelny.

— Jak w piątek wjeżdżaliśmy od strony Sławy, rozglądałem się, ale nie zauważyłem, czy w Jodłowie jest kościółek — mówi Eugeniusz.

— Niewielki na osiedlu Dębowym, pod wezwaniem Boga Ojca. Kiedyś, zanim Jodłów stał się kolonią wczasową, wszyscy wierni mieścili się wewnątrz kościółka. Teraz przychodzi tylu okresowych jodłowian, że i na placu przed świątynią brakuje miejsca.

— Zdążymy? — Eugeniusz wstaje i pochyla się nad prawą ręką Beaty, na której ona ma wyjątkowo duży zegarek.

— Na pewno — odpowiada Marek głosem tym razem irytującym Magdę.

— A o której zaczyna się suma?

— Kto z miejscowych chce częściej się modlić, jedzie do Sławy albo do Lubięcina. W Jodłowie ksiądz odprawia wyłącznie w niedzielę o jedenastej.

— Raz w tygodniu? — Eugeniusz nie dowierza, oczywiście prosi go o powtórzenie. Marek kiwa głową.

— O której godzinie odprawia się w naszym kościółku? — Marek pyta Ryżego, który wisi ramionami na furtce, jakby drzemał na stojąco. — Jeśli odpowiesz, pan poseł da ci na piwo.

— Uł ydynasty.

— Mianowicie o jedenastej?

— Jo.

— W takim razie będę musiał pójść wieczorem do katedry w Legnicy, a sądziłem, że po przyjeździe od was trochę odpocznę w domu.

— Kto ci każe iść wieczorem do katedry? — chce wiedzieć Inez i patrzy na Eugeniusza zdumiona. — Więcej korzyści będzie z tego, jak zostaniesz w domu z żoną.

— Mój mąż ślubował Przenajświętszej Panience, że jeśli za jej wstawiennictwem zostanie posłem, każdej niedzieli, bez względu na to, gdzie się znajdzie, pójdzie na mszę świętą. I, jak dotąd, słowa dotrzymuje — wyjaśnia Beata, czym bardziej dziwi Inez niż zaskakuje Marka i Magdę. — Nawet podczas podróży służbowych do krajów niechrześcijańskich stara się uczestniczyć w mszy świętej, oczywiście duchowo.

— A co Przenajświętsza Panienka ma do posłowania Eugeniusza, kurwa? — Inez przechyla głowę, szparki jej oczu się zwężają, zaciska palce obu rąk, żeby nie zadać pytania, którego będzie żałowała.

— Jak to co? Przecież zostałem posłem z jej woli.

— I może za sprawą Ducha Świętego, kurwa — dodaje Inez półgłosem, coraz bardziej zaciskając palce.

— Oczywiście.

— Aha... Twój chłop reprezentuje w sejmie Przenajświętszą Panienkę, a nie wyborców z okręgu legnicko-jeleniogórskiego?

— Oczywiście.

— I te wszystkie przekręty...

— Wyborcy są potrzebni raz na cztery lata — Eugeniusz nie pozwala dokończyć Inez.

— I zdając sobie sprawę z tego, że jesteś posłem z woli Przenajświętszej Panienki, nie wstyd ci wygadywać te bzdury, które wygadujesz? Nigdy nie zastanowiłeś się, kurwa, komu przynosisz wstyd? Po kiego chuja siedzisz w tym sejmie?

— Wedle konstytucji Rzeczypospolitej jako poseł występuję na własną odpowiedzialność — przypomina Eugeniusz o tym, o czym Inez wie.

— Ja cię pierdolę, alem naiwna! Byłam przekonana, że w Polsce parlamentarzysta jest reprezentantem narodu. Że jego jedynym zadaniem jest uchwalanie najlepszego prawa, które, kurwa, przede wszystkim nie będzie krzywdziło najsłabszych.

— Za długo byłaś nauczycielką, moja droga Inko — mówi mentorskim tonem Beata. — I zbyt dosłownie powtarzałaś zdania z książek starego pana Żeromskiego. A w ogóle, jak mogłaś uczyć młodzież, skoro co drugie słowo w twojej wypowiedzi jest niecenzuralne? Gdybyś pracowała w mojej szkole...

— Już to mówiłaś, kurwa — przypomina jej Inez.

Marek nie pamięta, który prozaik napisał, że los każdego człowieka jest określony w jego charakterze. Nigdy nie szukał potwierdzenia tej tezy w swoim otoczeniu, dopiero teraz, kiedy patrzy na koleżanki Magdy i ich

mężów, słucha, o czym rozmawiają i jakimi argumentami wspierają swoje stwierdzenia, nie ma wątpliwości, ile prawdy zawarł ów pisarz w swoim spostrzeżeniu.

---

Z ZAPISNIKA

---

*Wszystkie imiona świata mają jakieś mniej lub bardziej odjechane powody. Po kimś, na cześć kogoś, po ojcu, po dziadku, dla szpanu. Bo po tacinie Margerytka znaczy perła. Bo babka była praczką, a Klara to patronka praczek. Bo św. Klaudiusz broni przed krostami, a w naszej rodzinie wszyscy mieli krosty. Bo chcieliśmy, żeby, jak dorośnie, była stewardesą, a św. Bona strzeże stewardes. Bo 13 maja było Serwacego. Bo Greta Garbo tak się nazywała. Bo bohater tej książki śnił mi się po nocach. Na pamiątkę pierwszej miłości. Na pamiątkę Marszałka. Na pamiątkę piłkarza, co strzelił bramkę na Wembley. Bo u nas wszyscy mieli imiona na A. Zawsze są jakieś mniej lub bardziej odjechane powody.*

Jerzy Pilch, *Miasto utrapienia*

---

## **Sąsiad wybiera się do szpitala**

Najpóźniej za dwie godziny Magda wychyli się przez okno z kuchni i każe Markowi pociągnąć kilka razy za ringabulinę, rozlegnie się donośny dźwięk, słyszalny aż przed sklepem, przerażone ptaki, drzemiące w chaszczach

obok kuźni, zerwą się do lotu, a gdy dzwon ucichnie, zaprosi wszystkich na obiad. Marek nie wie dlaczego, ale jest przekonany, że to będzie ostatni wystawny obiad w takim towarzystwie. Sześć wyraźnie starzejących się kobiet nigdy więcej nie usiądzie przy jednym stole na dorocznym zjeździe absolwentek wrocławskiej polonistyki i nie będzie wygłaszało pochwał na temat wyglądu koleżanek, przerywanych skargami na lekarzy czy zdrowie i uwagami o niewiadomej przyszłości. Co nie znaczy, że w ogóle nie będą się spotykały. Będą, może nawet nie jeden raz w roku, lecz częściej, tyle że w topniejącym gronie i z przerażeniem w oczach ukrytych pod okularami z ciemnymi szkiełkami. Gdyby to powiedział głośno, Pola pierwsza chciałaby wiedzieć, dlaczego tak twierdzi, skoro ona jeszcze nie doczekała pierwszego wnuka. A przecież musi być i drugi, i może nawet trzeci. Beata też by spytała, kiedy go naszły czarne myśli i czy akurat teraz musi dzielić się nimi z koleżankami Magdy. Inez, dotąd niewiele się odzywająca, dopiero wtedy objechałaby go jak święty Michał diabła pod Barbakanem i może nawet powiedziała, że wbrew jego wieszczeniu zaprosi wszystkich na swój cichy ślub z Donem. Pewnie tylko Nata kiwałaby głową, nie mając nic przeciw wnioskowi, do jakiego doszedł Marek. Ona już postanowiła, że resztę życia spędzi w domu starców w Szklarskiej Porębie. A Jadźka jeszcze nie zaczęła się zastanawiać nad swoją starością. Kiedyś powiedziała Markowi, że jej babka dostała specjalny dyplom na setne urodziny, matka również



żyłaby tak długo, gdyby nie to, że wpadła pod samochód na przejściu dla pieszych.

— I by nas niespodziewanymi odwiedzinami męczyła. Ona wszędzie zajrzeć musiała. I musiało być po jej myśli. Ojciec nie wytrzymał, gdy miałam dwanaście lat, dlatego od niej odszedł — zakończyła Jadźka, a Marek zrozumiał, że w tym wypadku wiadomość, chociaż musiała być najtragiczniejsza, przyniosła ulgę.

— Czyżby już wasi goście zbierali się do wyjazdu? — pyta sąsiad, widząc, z jaką zaciętością Inez zeszkrobuje zaschnięte muchy z szyb swojego samochodu.

— Zjemy wspólny obiad i... — Marek nie kończy zdania, tylko pokazuje na drogę. Jest ciekawy, dlaczego sąsiad interesuje się gośćmi. — Przyjechał pan odpocząć do Jodłowa, a tu za płotem paczka obcych ludzi, którzy w dodatku zachowują się jak jaskiniowcy. Przepraszam. To się więcej nie powtórzy.

— Przeciwnie, jestem zadowolony z takiego towarzystwa — oznajmia sąsiad wdzięcznym głosem. — Mnie obecność mądrych ludzi nie przeszkadza. Tym bardziej że większość wśród nich stanowią kobiety, że daj Boże zdrowie.

Aha, o Jadźkę ci chodzi, domyśla się Marek, ale nie mówi tego głośno, tylko kiwa głową, jakby się z nim zgadzał. Może zbędnie się czepiam koleżanek Magdy?

— A ten pijus tylko przynosi nam wstyd — sąsiad pokazuje na Ryżego, ramionami uczepionego furtki, ze zwisającą głową. Pewnie śpi na stojąco.

— Dlaczego wstyd?

— Po prostu wstyd.

— Ryży tu się urodził, na tutejszym cmentarzyku są groby jego matki i ojca, tu mieszka, w przeciwieństwie do nas jest więc u siebie i ma prawo zachowywać się swobodnie. Prawda, z punktu widzenia nowych mieszkańców Jodłowa wygląda to cudacznie. Ale przecież nie kradnie, nie zabija, nie mówi fałszywego świadectwa przeciw bliżniemu swemu, nie ubliża... tyle że ciągle jest na widoku. Można się zastanawiać, czy robi coś pożytecznego i jaki sens ma takie życie. A swoją drogą chciałbym wiedzieć, co Ryży i jego kumple myślą o panu, o mnie, o dentystce, o profesorze, w ogóle o naszych sąsiadach. Może właśnie nas mają za takich, którzy przynoszą wstyd?

— Jo. Niyy — odzywa się Ryży, nie podnosząc głowy.

Marek zamiera w bezruchu i pąsowieje na twarzy, a celnik nic sobie nie robi z odpowiedzi Ryżego, jakby nie usłyszał jego głosu.

— Jadę do szpitala.

— Chyba nie z sobą? — pyta Marek, chociaż po tym, co robił z Jadźką w nocy z piątku na sobotę, powinien być pewny, że sąsiad ma końskie zdrowie.

— Drugi tydzień żona leży na oddziale chorób kobiecych.

— Coś poważnego?

Sąsiad nabiera powietrza głęboko w płuca i długo wypuszcza je z sykiem, jakby nie wiedział, czy to dobrze, że ujawni prawdę o chorobie żony. Marek nie powtarza

pytania nawet wtedy, gdy długo podąża za wzrokiem sąsiada aż do talerza anteny satelitarnej.

— W zeszłym roku usunęli jej całą lewą pierś... Niedawno dwa guzki pojawiły się w prawej piersi. Lekarz pobrał próbki do analizy. Jeśli potwierdzi się, że to groźny nowotwór, będzie musiał go wyciąć. Ale to jeszcze nic strasznego, chociaż dla kobiety usunięcie piersi oznacza niemal koniec świata. Oby nie wystąpiły przerzuty...

Marek nie wie, co powiedzieć. Nigdy nie zastanawiał się nad tym, jak ważne dla kobiety są piersi. Pomyślał o Magdzie i zaraz złapał się na tym, że nigdy nie słyszał, aby kiedykolwiek wspominała o oględzinach na mamмоgrafie. Pewnie chodzi systematycznie do lekarza i traktuje to niczym badanie okresowe. Przecież gdyby z jej zdrowiem było coś nie tak, wiedziałby o tym.

— Jak żona powiedziała... ja w te pędy na prześwieślenie. Od dawna nie palę, to płuca mam w porządku. Serce też. Do czytania muszę zakładać okulary, ale po czterdziestce to normalne. Bęben trochę za duży, ale w moim wieku to nie wada, a nawet zaleta — podwinął koszulkę i poklepał się po brzuchu. Marek wybałuszył oczy ze zdziwienia. — Jako mężczyzna, dziękować Panu Bogu, na razie jestem bez poważniejszych usterek. Mam nadzieję, że tak będzie jeszcze długo.

A czy ja też powinienem poddać się badaniu prostaty? Mimo szronu na głowie, nie dostrzegam zakłóceń w funkcjonowaniu tego, co świadczy o mężczyźnie, pociesza się Marek. Jego młodsza koleżanka napisała artykuł

o tym, że najlepiej byłoby, gdyby każdy facet po skończeniu pięćdziesięciu lat poszedł do urologa, ale to jest takie krępujące. Tylko raz w życiu Marek pokazał swoje przyrodzenie lekarzowi, było to na pierwszym roku polonistyki podczas badania przed komisją poborową do studenckiego wojska.

— Dom zamknę, a klucz do garażu dam panu.

Marek już otwierał usta, aby spytać, po co mu klucz do garażu sąsiada, gdy sobie przypomniiał, że za tamtymi wrotami od czterech dni drzemie passat Jadźki, porsche Eugeniusza i peugeot Nikosa.

— Drogi sąsiedzie, serdecznie dziękuję za okazaną pomoc — Marek wyciąga rękę do celnika i długo nią potrząsa z wdzięcznością. — Odpłacę się stokrotnie, gdy pan będzie miał podobną potrzebę.

— Prawda to, że Jadzia mieszka w Niemczech? — pyta sąsiad. Marek najpierw zastanawia się, dlaczego Jadźka interesuje celnika, a potem przypomina sobie, z kim ona była poprzedniej nocy, i kiwa głową. — Ja cię nie mogę... Fajna kobieta.

## **Nieprzydatne studia**

— Owszem, w sobotę, w niedzielę... poodychać świeżym powietrzem — mówi Eugeniusz i wyciąga rękę w stronę jeziora, skąd dochodzą głosy — ale nie mógłbym tu siedzieć tygodniami. Ja jestem człowiekiem czynu. Mnie ciągnie do ludzi.

— To miejsce ma bardzo dużo zalet — zachwala Marek. — A najważniejsza to ta, że nie słyszę dzwonka komórki. Ledwie wyjadę na drogę zielonogórską, odzywa się komórka. Ona zawsze dzwoni w nieodpowiednim momencie. W Jodłowie ja decyduję o tym, co mam robić.

— Czy zwróciliście uwagę, że żadna z nas nie pracuje w wyuczonym zawodzie? — pyta Magda. — Wszystkie skończyłyśmy polonistykę ze specjalnością nauczycielską z niemieckiego, a której przydał się dyplom? No?

— Kiedy po studiach zaczynałam pracę, w Niechłowie była jedynie szkoła podstawowa, dlatego nie mogłam uczyć niemieckiego.

— To dlatego Beata uczyła rosyjskiego i prowadziła bibliotekę. W Legnicy też była rusycystką.

— Z ogromną niechęcią, Inko. Wręcz z obrzydzeniem.

— Ja bez owijania w bawełnę wyjaśniam, że gdybym mocno się uparła, byłoby inaczej, ale nie chciałam zadziierać z dyrektorką. Ona uczyła niemieckiego, ja biologii. Tak się wciągnęłam, że nawet jak ją wypierdolili z liceum, to powiedziałam: ni chuja. Czy wiecie, że dwie moje uczennice skończyły medycynę w Poznaniu i są wziętymi onkolożkami? W razie czego...

— Mnie polski się przydał. I to mocno. Dzięki znajomości literatury napisałam dysertację doktorską i pracę habilitacyjną, obie ocenione bardzo wysoko.

— Do czego jest potrzebna znajomość literatury polskiej w ochronie środowiska? — śmieje się Inez.

— Mam przecież zajęcia w szkole wyższej, która nie-  
bawem zostanie akademią.

— A co wykładasz w tej szkole wyższej?

— Prowadzę zakład europeistyki — odpowiada Pola  
i wstaje od stołu obrażona.

— Mnie w inspekcji sanitarnej by się przydała ad-  
ministracja albo nawet biologia. Raz tylko, gdy do szefa  
przyjechała delegacja z Frankfurtu, okazałam się trochę  
przydatna ze swoją koślawą, ale zawsze, znajomością nie-  
mieckiego.

— Trochę? — dziwi się Eugeniusz.

— Okazało się, że to młodzi Niemcy i zupełnie po-  
prawnie mówią po angielsku. Mój szef też z angielskim  
sobie radzi.

— Muszę się przyznać, że w Szwecji nie, za to w Danii...  
— zaczyna Natalia i zganiona spojrzaniem koleżanek  
milknie.

— Jedyne ja miałam nosa, wybierając polonistykę  
z dodatkową germanistyką — cieszy się Jadźka.

— Jesteś ewangeliczką — przypomina Beata.

— W takim razie ty jako katoliczka rytu łacińskiego  
powinnaś studiować łacinę, a Nikos grekę — rzuca  
Inez. — Poszłyście na polonistykę z niemieckim, bo wie-  
rzyłyście, że to jak anglistyka, której wtedy nie było na  
naszym uniwersytecie. Miałyście nadzieję, że będziecie  
jeździły do Niemiec i wyjdziecie za mąż za nadzianych  
niemiaszków.

— Nie bądź ordynarna — potępia ją Beata.

## Prośba specjalna

Przed obiadem Eugeniusz chwytą Marka za łokieć niby stary kawaler mężatkę, która mu się podoba bardziej niż panny na wydaniu, i w milczeniu prowadzi go w stronę lasu. Dopiero za ostatnim domkiem odzywa się głosem przyciszonym, jakby się obawiał, że za każdym płotem fachowcy z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego ukryli urządzenia podsłuchowe.

— Mam do ciebie, Mareczku, ogromną prośbę. — Rzeczywiście to musi być ogromna prośba, dochodzi do wniosku Marek na podstawie przesadnie rozłożonego akcentu w dwu ostatnich wyrazach, ale nie przerywa Eugeniuszowi. — Możesz odmówić, masz do tego święte prawo, chociaż w moim przekonaniu, i zdaniem żony mojej, nie powinienes tego robić dla własnego dobra. Mianowicie nadarza się naprawdę wyjątkowa okazja, abyś zaistniał jako rozpoznawalny, sławny na cały kraj autor. Kto wie, może nawet znajdziesz się wśród laureatów nagrody Cogito, a jeśli nie, to na pewno będziesz w gronie nominowanych. Gdyby to się niestety nie udało, bo trzeba brać pod uwagę i taką okoliczność, dostaniesz nagrodę artystyczną naszego obozu, czego jestem więcej niż pewien. Właśnie zgłosiłem wniosek o ustanowienie takiego wyróżnienia. Na razie nikt go nie utracił, a prezes partii publicznie uznał to za kolejny krok na drodze do przejęcia władzy w państwie. Chciałem ją nazwać

imieniem Jana Pawła II, ale Beata twierdzi, że pomników, placów, ulic, szkół podstawowych, średnich i wyższych, szpitali, których patronem jest papież z Krakowa, mamy za dużo. Wpadamy z deszczu pod rynnę, bo jak kiedyś najczęstszymi patronami byli Lenin, Bierut i Ludowe Wojsko Polskie, tak teraz Jan Paweł II, Piłsudski i Armia Krajowa. Ponadto moja partia musiałaby zwrócić się do Watykanu z prośbą o aprobatę, a oni ostatnio niezbyt chętnie się zgadzają na sławienie pamięci papieża z Polski. Będziesz zatem, Mareczku, pierwszym laureatem nagrody artystycznej Curriculum Vitae. Cieszysz się?

— Marzeniem niemal każdego autora jest uznanie. Im nagroda rzadsza i bardziej nobliwa, tym sukces głośniejszy. Już sama nominacja do nagrody oznacza większą sprzedaż książek i rozgłos. Czy znasz kogoś, kto nie lubi sławy?

— Mianowicie... nie.

— Sam więc odpowiedziałeś na swoje pytanie. Co miałbym zrobić, aby zasłużyć na owo Curriculum Vitae?

— pyta Marek z powagą w głosie, chociaż nie jest przekonany, czy zadawanie się z Eugeniuszem nie będzie stratą czasu. — Zazwyczaj nagrodę przyznaje niezależne, kompetentne jury, powołane przez fundatora spośród znawców problemu. Owszem, bierze ono pod uwagę oczekiwania tego, kto daje pieniądze, ale nagrodzone dzieło przede wszystkim musi mieć niepodważalną wartość artystyczną, poznawczą, nieść nadzieję. Ja, jak dobrze wiesz, w swoich tekstach nie merdam ogonem z powodu tego, co głosi twoje ugrupowanie.



— Wszystko przed tobą, Mareczku. Ja też dawniej niewiele miałem wspólnego z prawicą, tym bardziej z demokracją. A dziś odrąbałbym łapę każdemu, kto by się zamachnął na program mojej partii. Ci, którzy nas krytykują, są nieświadomi tego, że błędzą. Może gdyby rządząca koalicja dopuściła nas do środków masowego przekazu...

— Dajmy spokój polityce — prosi, a właściwie decyduje Marek. — Czego ode mnie oczekujesz? Bo chyba tę nagrodę twojego obozu, Curriculum Vitae czy jak się tam ona będzie nazywała, jeśli dostanę, to nie dlatego, że znamy się od bez mała pół wieku?

Eugeniusz splata dłonie z tyłu, pochyla się, idzie, patrząc pod nogi i się zastanawia, od czego zacząć, żeby Marek przestał zadawać mu pytania. Najważniejsza jest modulacja głosu w trakcie przekonywania, na co zwracał uwagę prezes partii podczas kursu dla początkujących posłów, przedstawivszy im popularnego aktora. Umiejętności przemawiania uczą w szkole teatralnej i w seminarium duchownym.

— Zbliżają się kolejne wybory parlamentarne? Zbliżają. Mianowicie kto o tym nie pamięta, niech nie liczy na reelekcję. A przecież może być i tak, że w najmniej spodziewanym momencie prezydent rozwiąże parlament, wtedy w ciągu dwóch miesięcy naród musi wybrać swoich reprezentantów do najwyższych organów państwa. Osoba wiążąca swoją przyszłość z polityką nigdy o tym nie powinna zapominać.

— Przestań dryblować. Powiedz wreszcie, dlaczego wzięłeś mnie na spacer i czego oczekujesz.

Eugeniusz zatrzymuje się, podnosi głowę i patrzy Markowi prosto w oczy, ale nic nie mówi, tylko zaciska usta i mruczy, jakby się zastanawiał, od czego zacząć, wzdycha, chrząka, cmoka, pociąga nosem, dopiero po chwili podnosi lewą rękę, wyciąga palec wskazujący i się odzywa:

— Po obiedzie każde z nas wsiądzie do swego samochodu i wyjedzie z Jodłowa. Nawet twoja żona wróci do Zielonejgóry, do pracy w sanepidzie, a ty zostaniesz w tym ładnym domku, do którego nie można się dozwonić, bo nie ma zasięgu. W klasztorze jest przyjemniej. Gdybyś chociaż umiał łapać ryby...

— Jak ty szczerze, to i ja szczerze. Nie mogę się doczekać, kiedy wszyscy wyjedziecie z Jodłowa. Od dawna przygotowuję się do napisania powieści współczesnej. Może nawet znajdzie uznanie jury nagrody twojej partii. To będzie powieść o takich jak ty i twoja żona, Pola i Nikos, Natalka, Inez, nawet o Ryżym i sąsiedzie, który pod nieobecność żony zerznął Jadźkę. Moim zamiarem jest napisanie powieści o szukaniu swego miejsca w czasach, kiedy...

— Mianowicie mam taką propozycję — Eugeniusz nie pozwala dokończyć Markowi. — Przeprowadzisz ze mną wywiad-rzekę.

— Ja miałbym...?

— Rozmawiałem z kilkoma pisarzami w Warszawie, ani jeden nie odmówił. Tylko dlaczego mam forować obcego, skoro mogę pomóc swojakowi? Zgadzasz się ze mną?

— O czym miałbym z tobą rozmawiać, aby to kogośkolwiek zainteresowało? — śmieje się Marek przekonany, że Eugeniusz wycofa się ze swego pomysłu.

— Na przykład o tym, jak przepędziłem esbeka z mojego mieszkania.

— Ty przepędziłeś esbeka? Chyba go zaprosiłeś do swego mieszkania i jeszcze postawiłeś mu wódkę.

— Przed olimpiadą zimową w Sarajewie udało mi się wkręcić Beatę na wycieczkę autokarem do Jugosławii. Wieczorem, dzień przed jej wyjazdem, usłyszałem dzwonek, otworzyłem drzwi, w korytarzu stał facet, powiedział, że chciałby rozmawiać z panią Beatą. Spytałem, w jakiej sprawie. Osobistej. Żony nie ma i nie wiadomo, kiedy wróci, odpowiedziałem grzecznie, a on spojrzał na zegarek, jakby mu się spieszyło. Pan to kto? Mąż może? Mąż. A pan? Pańska żona jedzie do Sarajewa? Jutro z rana, odpowiedziałem i spytałem, czy może coś jest nie tak z wycieczką. Nie, nie, wszystko w porządku. W takim razie...? Mam do niej sprawę. Chciałbym poprosić pańską żonę, żeby podczas podróży do Jugosławii i w czasie pobytu w Sarajewie zwracała uwagę na otoczenie. Gdyby coś interesującego rzuciło się jej w oczy, niech cyknie fotkę. Albo gdy ktoś spośród wycieczkowiczów będzie zachowywał

się nieodpowiednio, niech zapisze jego nazwisko. Za dwa tygodnie przyjdę... A po co panu te informacje? Kapitan taki i taki, przedstawił mi się facet i dopiero wtedy zaskoczyłem, że to esbek. Ożeż ty, kutasie złamany! Kapusia chcesz zrobić z mojej żony?! Spierdalaj! Mianowicie tak mu dałem do wiwatu, że spieprzał po schodach szybciej niż pan samochodzik.

— Chciałbyś, aby jedno z pytań w wywiadzie-rzece dotyczyło tego właśnie wydarzenia?

— Musi być co najmniej cały rozdział o mojej walce z komuną. Znajdzie się więcej przykładów. Na przykład spytasz: czy był pan działaczem opozycji demokratycznej? A ja odpowiem, że w moim mieszkaniu zbierali się członkowie pewnej nielegalnej organizacji, której nazwy nie mogę ujawnić ze względu na dobro jej osób, pełniących dziś odpowiedzialne funkcje w administracji państwa.

— Przecież to, Eugeniusz, blef! Nie należałeś do żadnej organizacji opozycyjnej. Jeszcze na studiach zapisałeś się do tej jedynej wtedy partii robotników i chłopów oraz inteligencji pracującej, która twierdziła, że ma władzę nieograniczoną.

— A kto to dziś sprawdzi? Sądzisz, Mareczku, że wśród tych, którzy podczepili się pod prawicę, są sami dawni opozycjoniści? W moim klubie w razie potrzeby po omacku wskażę kilku przebierańców. Życie każdego człowieka jest krótkie, Mareczku, trzeba umieć z niego korzystać. Komu uda się wdrapać na górę, niech tam

siedzi i spycha konkurentów. Nie uda się, trudno, trzeba w innym miejscu popróbować. Tylko, to dobra koleżeńska podpowiedź, przynigdy się nie poddawaj.

Marek już jest przekonany, że gdyby nawet miał dostać tę najwyższą nagrodę twórczą i furę pieniędzy, choćby Beata go błagała, nie napisze wywiadu-rzeki z Eugeniuszem w roli pierwszoplanowej. Mimo to pyta:

— Jeśli przyjąłbym twoją propozycję, musiałbym odłożyć pisanie mojej powieści, którą mam w głowie rozdział po rozdziale. I jestem przekonany, że na tę książkę czekają moi czytelnicy. Wywiad-rzeka, na jakim ci zależy, to co najmniej pół roku harówki.

— Czyżbyś brał generalską emeryturę i nie chciał dorobić bez podatku? — Eugeniusz znowu ściska Marka za łokieć. — Gdybym zlecił książkę pisarzowi z Warszawy, też musiałbym mu zapłacić. A ile taki zaśpiewa? Dlaczego obcy ma zarobić i jeszcze zyskać sławę?

— Ja się cenię. Zastanów się, czy cię na pewno stać na taki wydatek. Zwykle za arkusz wydawniczy płaci się średnią pensję obowiązującą w poprzednim kwartale. Czyli mniej więcej третią część zarobku posła zawodowego.

— Mianowicie jakoś się załatwi, Mareczku. Przecież kolegi nie skrzywdzę.

— O mnie mówisz?

— Dostaniesz niezły etacik w jakiejś firmie. Uważasz, że nie znam prezesów, którzy mają wobec mnie zobowiązania? Niech się jeden z drugim odwdzięczy. Dodatkowo

dam ci ryczałcik w moim biurze poselskim. Od pierwszego września będziesz moim asystentem odpowiedzialnym za organizowanie spotkań z wyborcami. Nie, wcale nie musisz przychodzić do biura jak urzędnik. Podasz numer konta, na które każdego pierwszego dnia miesiąca zostanie przelana gotówka.

Marek ma zamiar powiedzieć Eugeniuszowi, że jeśli tak jak on postępują inni parlamentarzyści, to dzisiejsi rządzący niczym nie różnią się od tych, którzy władali Polską do Jesieni Narodów. Tamci może byli mniej bezczelni i jednak bardziej wyczuleni na krzywdę prostych ludzi. Przynajmniej tak się zachowywali. Również kradli, tyle że nie więcej niż mogli upchać w służbowej wołdze. Nie wszyscy, pewnie odpowiedzialby Eugeniusz. Nie wszyscy, potwierdziłby Marek, wskazując na siebie.

— Założmy, że się zgodzę...

— Nie miałem wątpliwości — mówi ze spokojem Eugeniusz, nie pozwalając Markowi dokończyć zdania. — Przyznam ci się jak bratu rodzonemu, że nie miałem zamiaru jechać na ten zjazd koleżeński naszych dam. Jodłów, Jodłów. Posiedziałbym w domu. Mianowicie Beata mnie przekonała, gdym się zastanawiał, komu zlecić ten wywiad-rzekę. Prawdę mówiąc ty, Mareczku, jesteś jedynym, któremu ufam.

— Zrobię to, o co prosisz, czyli napiszę tekst, i co dalej? Ktoś musi książkę wydrukować, a to kosztuje. Ktoś musi wprowadzić ją do hurtowni, dowieźć do księgarń. Bez natarczywej reklamy nikt jej nie zauważy wśród

gniotów, jakie okupują księgarskie półki. Nie chciałbym zostać na lodzie z maszynopisem pod pachą.

— Spokojna głowa, Mareczku, znajdzie się wydawca. Będą też tacy, którzy zapłacą za papier i druk. Nie pożałują pieniędzy na reklamę. Nawet recenzje w gazetach się załatwi. Oczywiście ty je przygotujesz, a któryś z dziennikarzy tylko się podpisze. Mianowicie za forszę...

— „Za pieniądze książd się modli, za pieniądze lud się modli” — powtarza Marek po Oskarze Kolbergu bardziej do siebie niż do Eugeniusza. — Jeszcze jedna uwaga. Gdybym się zgodził na przeprowadzenie tego wywiadu, wystąpię pod zmienionym imieniem i nazwiskiem.

— Jeśli jako Edward Władysław Zofisyn... będę zaszczycony.

— Ten pseudonim jest zastrzeżony dla moich powieści i tomików opowiadań. Książki publicystyczne podpisuję imieniem i nazwiskiem z dowodu osobistego.

— Zrobisz, jak uważasz. I tak... Mnie chodzi o to, aby najpóźniej do połowy przyszłego roku ukazał się wywiad-rzeka w twardej oprawie, minimum dwieście stron zwartego druku. Na okładce musi być kolorowe zdjęcie, na którym prezes partii składa mi gratulacje. W środku też fotki, o, obok prymasa, w gabinecie prezydenta, na pielgrzymce do Lichenia, z żoną na balu charytatywnym, z wnukami na stadionie Górnika w Lubinie albo na Miedzi w Legnicy, między górnikami, zapomniałbym, z naszym biskupem. Powinna się znaleźć chociaż jedna fotografia z papieżem Polakiem, a ja nie mam żadnej.

Człowiek był głupi, mógł na wszelki wypadek... Po-  
kombinuj, Mareczku, jak to zrobić, żebym stał obok Jana  
Pawła II, a jeszcze lepiej całował go w rękę.

Marek zdaje sobie sprawę, że Eugeniusz nie będzie  
miał czasu na rozwlekłe rozmowy, a on chciałby szybko  
odwalić ten wywiad-rzekę, dlatego pyta:

— Pierwsze spotkanie w tej sprawie u mnie czy  
u ciebie?

— Po co? Siadaj i pisz. Jak skończysz, naniosę po-  
prawki, może coś dołożę, zmienię... Teraz to ja mam na  
głowie obronę dysertacji doktorskiej.

— Czyjej?

— Jak to: czyjej? Mojej.

Marek zatrzymuje się, robi krok do tyłu i patrzy na  
Eugeniusza nagle skamieniałymi oczyma, jak Wincenty  
Witos z cokołu pomnika na placu Trzech Krzyży w War-  
szawie.

— Dziwisz się? U nas w klubie co drugi ma doktorat.

— Będziesz doktorem... jakich nauk? — W głosie  
Marka słychać drwinę.

— Mianowicie filozofii natury. Wolałbym z polito-  
logii albo z ekonomii, ale ci, których nieźle znam, nie są  
samodzielnymi pracownikami naukowymi. Mianowicie  
Beata zadzwoniła do Poli, ta pogadala z kim trzeba i...  
Trochę mnie to kosztowało, ale praca gotowa, trzy recen-  
zje pozytywne, została tylko publiczna obrona. Mogę do  
niej przystąpić po zdaniu dwu egzaminów. Nie powinno  
być problemu z językiem obcym. Kto mieszkał w Legnicy



za socjalizmu, ten potrafi szprechać po rosyjsku nie gorzej niż Jewgienij Puszkina.

— Aleksander Puszkina, autor poematu dygresyjnego *Eugeniusz Oniegin*.

— Mam problem z filozofią w ogóle. Nie lubię tego przedmiotu i już. Może znasz jakiegoś profesora od filozofii ogólnej na Uniwersytecie Zielonogórskim, z którym da się...? Zapłacę każdą cenę.

— Miałem do niedawna kolegę w uniwersyteckim instytucie filozofii, specjalizował się w teocentryzmie. Od czasu gdy zostawił żonę i z doktorantką uciekł do Jeleniej Góry, przestał się do mnie odzywać. Pewnie mu wstyd, że żyje bez ślubu.

Eugeniusz przytakuje i uśmiecha się zadowolony, jakby właśnie tylko na to czekał.

— Jeśli zdam u niego filozofię, pomogę w unieważnieniu jego poprzedniego małżeństwa. Mianowicie przecież Jelenia Góra jest w moim okręgu wyborczym i należy do diecezji legnickiej.

## Pożegnalny obiad

Magda trzyma łyżkę w lewej dłoni, ale jeszcze nie je, tylko kątem oka zerka na gości i czeka, kto pierwszy ją pochwali albo kto odsunie talerz od siebie i powie z pogardą, że taką supę podają w najbiedniejszych domach. Przez kilka wieczorów przeglądała książki kucharskie

i nie umiała wybrać, chociaż w pracy natychmiast decyduje, poprosiła więc Marka, aby odpowiedział, czym gości najbardziej zaskoczy: chuletą de cerdo czy enchiladą. Zupełnie, żeby była świeża, musiałaby ugotować dopiero w niedzielę, dlatego przygotowuje chłodnik z hiszpańskimi pomidorami, który może stać w lodówce nawet tydzień. Czego nie zjedzą goście, dostanie Ryży i pewnie będzie bardzo zadowolony.

— Sprawisz wszystkim największą radość, jeśli podasz najzwyklejszą pomidorówkę, na drugie kotlet schabowy z kapustą zasmażaną i na deser kompot z jabłek z łupinami — powiedział Marek przekonany, że Magda go wyśmiewa.

— Jak za naszych dobrych studenckich lat — cieszy się Eugeniusz. — Nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłem na takim lanczu. W restauracji Sejmowej we wtorek zamawiam grillowany stek z polędwicy, w środę eskalopki ze schabu, w czwartek znowu stek, w piątek eskalopki. Z zup najczęściej jest krem z kurczaka i bulion drobiowy. Na popitkę mogę wybrać piwo albo napój energetyzujący.

— Do pełnego szczęścia przy dzisiejszym obiedzie brakuje szczerbatych talerzy, poobijanych kubków i aluminiowych łyżek, od których palce robią się czarne — śmieje się z pełnymi ustami Inez.

Marek zerka na Magdę i gdy ich spojrzenia się spotykają, prosi oczyma o publiczną pochwałę, bo przecież to on odpowiedział, co powinno być na ostatnim obiedzie. Magda też się cieszy, lecz nie z tego, że pomidorówka

wszystkim smakuje, tylko ze swego wyglądu, który pochwalił najpierw Nikos, potem Eugeniusz, a wczoraj sąsiad. Nawet zmęczona przygotowywaniem zjazdu prezentuje się korzystniej niż wypoczęta Pola. Żyjąca z wiejskiej emerytury Nata się nie liczy, a Jadźka i Ina nigdy nie dbały o siebie. Jedynie Beata mogłaby z nią konkurować, gdyby poszła do dobrego dentysty i zaczęła chodzić na ćwiczenia wyszczuplające.

— Za-azdroszczę Markowi — odzywa się Nikos, przerywając za długą ciszę.

— Czego zazdrościsz? — natychmiast pyta Pola.

— Takiej żony i takiej kuchni — odpowiada za niego Marek.

Eugeniusz odwraca głowę w stronę Magdy i, szczerząc zęby do niej, przytakuje z uznaniem. Magda zawsze mu się podobała, a teraz gdy na nią patrzy, widzi najbardziej atrakcyjną kobietę w swoim otoczeniu. Kiedy wsiądą do porsche, powie Beacie, że jednak powinna się wybrać do solidnego dentysty i od poniedziałku musi chodzić na gimnastykę wyszczuplającą. Na pewno jej byli uczniowie prowadzą takie gabinety, więc niewiele będzie ją to kosztowało, a może nie zechcą pieniędzy od swojej nauczycielki.

— Nigdy nie powiedziałaś, jak to się stało, że wyszłaś za Marka, a nie za Adaśka, z którym, o ile dobrze pamiętam, chodziłaś jeszcze na ostatnim roku studiów — Pola chce dokuczyć Magdzie. Zachowuje się tak zawsze wtedy, kiedy towarzystwo, w którym przebywa, zwraca uwagę na kogoś innego, a nie na nią, doktor habilitowaną.

— Poleciałam na inteligencję Marka, jego wzruszająco długie rzęsy i oczy jak błękit nad Jeziorem Sławskim — odpowiada Magda ze spokojem, opierając się plecami o poręcz krzesła, aby Pola widziała, jaka jest jeszcze zgrabna.

— Ja na śniadą cerę i krucze włosy Nikosa.

— A ja... — Beata też chciałaby się pochwalić, lecz nie wie, czym zaskoczyć koleżanki. Rozwiodła się jeszcze na studiach, w Niechlowie była szkolną bibliotekarką, ponieważ wszystkie nauczycielki miały mężów, ona też chciała wyjść za mąż. Pierwszy raz zobaczyła Eugeniusza podczas kolacji po akademii pierwszomajowej, na którą naczelnik gminy zaprosił całą inteligencję, czyli nauczycielki, przedszkolanki i urzędniczki z mężami oraz obie pielęgniarki z kierownikiem ośrodka zdrowia. U Eugeniusza spodobało się jej jedynie to, że w rok po studiach został zastępcą dyrektora krochmalni.

— A ty, moja żono, już wtedy chciałaś być panią posłową z ambicją na mandat radnej lub senatorki — strzela krótkim śmiechem Eugeniusz, jakby ujawniał tajemnicę.

Marek podnosi dwa palce niby gimnazjalista, czym natychmiast ściąga na siebie wszystkie spojrzenia. Pewnie zaraz przypomni, że nie on mnie, lecz ja jego uwiodłam i po pierwszej randce zostałam jego kochanką, myśli Magda.

— Kiedy zaraz po studiach rozpocząłem pracę w redakcji, chciałem mieć brzuch wystający ze spodni, siwe włosy na skroniach, a jeszcze lepiej wysokie czoło. Mimo

że odnosiłem sukcesy na miarę udanego stażysty, starsi redaktorzy traktowali mnie na równi z gońcem. Gdy zabrakło im wódki, mnie kazali pędzić do delikatesów.

— Teraz pewnie ty, piździelcu, wysyłasz młodszych od siebie po piwo do supermarketu — mamrocze z przyganą Inez.

— Teraz w towarzystwie młodszych dziennikarzy wciągam brzuch. Chociaż komu mogę, temu tłumaczę, że nie wierzę w cudowną moc płynów na odrost włosów, mimo to z odrobiną zainteresowania analizuję reklamy. I zaraz po waszym wyjeździe dobiore się do tabletek prostajahru, czyli specyfiku zapobiegającego przerostowi prostaty, którego większą ilość podarowała mi jedna z koleżanek mojej żony, domyślając się, że wkraczam w taki wiek, kiedy to właśnie może być mi najbardziej potrzebne.

— Tu się zgadza — odzywa się Nikos i natychmiast milknie, rażony krytycznym spojrzeniem Poli.

---

Z ZAPISNIKA

---

*Później otoczą go czytelnicy, a on lekką ręką będzie podpisywał egzemplarze swojej ostatniej książki, w pokornej zadumie wysłucha słów pochwały pod własnym adresem — przy czym na jego twarzy raz po raz zagości uśmiech przypominający stłumione ziewnięcie — a potem spróbuje ostudzić gniew doktora Pesacha Jikhata, tego krewkiego wychowawcy o szerokich szczękach*

*i bujnych siwych brwiach, rozkrzewiających się nawet przez nozdrza i uszy, zapewniając go, że nowoczesna literatura bynajmniej ani w całości, ani całkowicie nie neguje patriotyzmu: potępienie krzywd okupacji, cięta satyra na ogólne zepsucie i zezwierzęcenie, obnażanie powszechnej degeneracji i znieczulicy, wszystko to przecież nie neguje naszego państwa, lecz niejednokrotnie płynie prosto z rozdartego serca.*

*Amos Oz, Rymy życia i śmierci*

---

## Najtrudniej napisać książkę, którą czytelnicy uznają za uczciwą

Beata, Inez, Jadwiga, Magda, Natalia i Pola – polonistki. A obok nich ich partnerzy. Wszyscy, jak co roku, przyjeżdżają na zjazd koleżeński do domu Magdy i Marka. Spotkanie przyjaciół prowokuje do podsumowań dokonań życiowych i zwykłych spraw tworzących ich codzienność. Podsumowania te znajdują literacki komentarz w przywoływanych przez Marka w *Zapiskach* dzieł największych światowych twórców. Życie tworzy literaturę, literatura życie.

**Alfred Siatecki** – pisarz i dziennikarz. Ma w swoim dorobku literackim powieści kryminalne, jak „Postrzelony”, oraz obyczajowe, między innymi „Jubel” (1987), „Zmowa pułkowników” (2000) czy „A jednak będzie noc poślubna” (2007), zbiory opowiadań oraz bio-bibliografie lubuskiego środowiska literackiego. Jest autorem słuchowisk, zajmuje się też krytyką literacką i historią literatury. Jego utwory przekładano na białoruski, łużycki, niemiecki i rumuński.



Oficyna

[www.oficyna.pl](http://www.oficyna.pl)

cena detaliczna 30 zł  
(zawiera VAT)

ISBN 978-83-64307-39-3



9 788364 307393